DZIECI Z UKRAINY
Nie twórzmy getta dla wojennych sierot

ROPA I GAZ
Czy Europę stać na niezależność

SZANTAŻ ZBOŻEM
Putin chce wziąć nas głodem

ROGATE DUSZE
Dlaczego warto czytać Rosjan

DZIKOŚĆ ŻYCIA
Zobacz świat po raz pierwszy

Kraków 10 kwietnia 2022 nr 15 (3796) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Armia warta zachodu

GENERAŁ MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

festiwal ludwiga van beethovena

26. wielkanocny

3–15.04.2022 / warszawa

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Filharmonia Narodowa
dwójka
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy
PARTNER GŁÓWNY LOTTO
MECENAS ORLEN

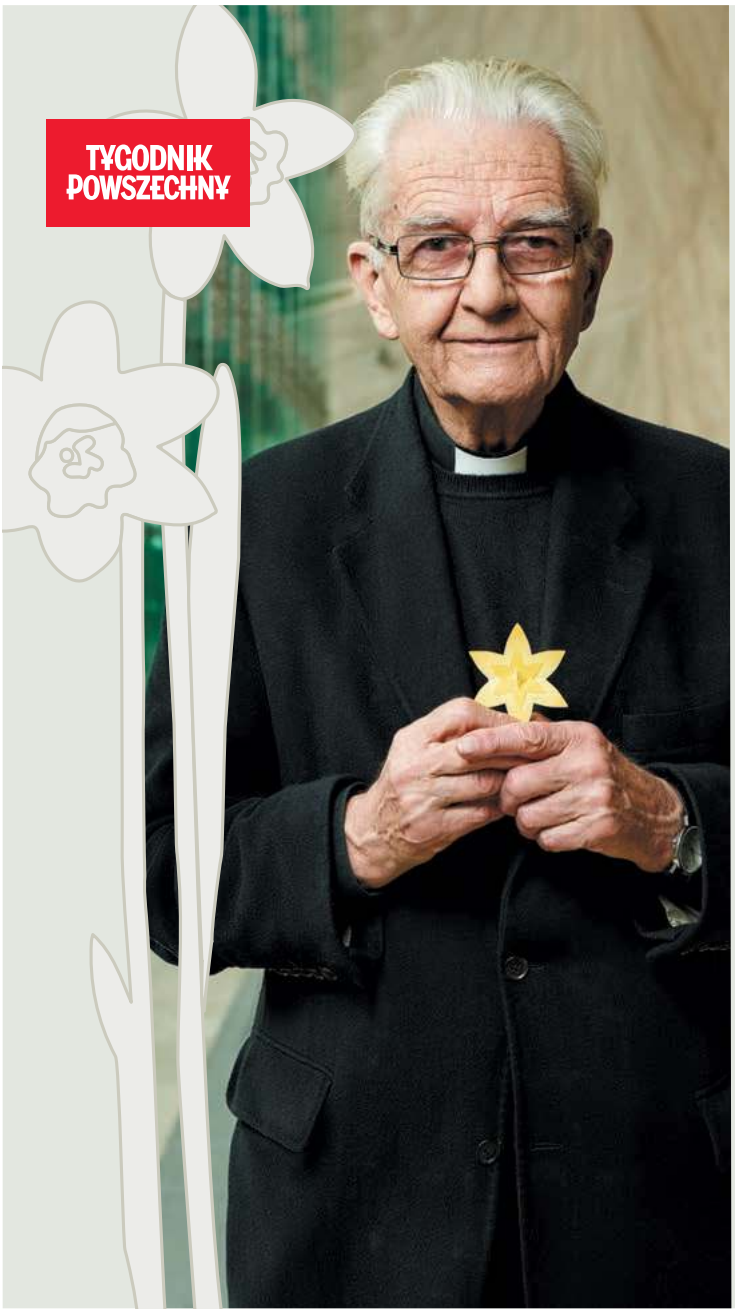

Łączy nas pamięć

19 kwietnia mija kolejna rocznica Powstania w Getcie Warszawskim. Dla jego upamiętnienia do następnego wydania „Tygodnika” dołączamy naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy.

Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji „Żonkile”, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik” towarzyszy jej od wielu lat.

Obszerny dodatek poświęcony powstaniu znajdziecie na: ***powszech.net/pamietamy***

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943 POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. KAJUS W. PYRZ

TP

Drogie Czytelniczki i Czytelnicy,

dziś po raz pierwszy nie ukazuje się edytorial ks. Adama Bonieckiego.
Po latach nieprzerwanej pracy nasz Redaktor Senior potrzebuje należnej chwili wytchnienia.
Ks. Adam odpoczywa, a my postanowiliśmy mu w tym nie przeszkadzać.
Życzymy zdrowia naszemu Redaktorowi Seniorowi, wspólnie czekamy na jego powrót na łamy.

REDAKCJA

20 Anna to zapamięta
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Tysiące dzieci-uchodźców z placówek oraz rodzin zastępczych trafiło na otwarte serca i otwarte domy. Ale dla niektórych z nich Polska z Ukrainą szykują status „sierot drugiej kategorii”.

40 Domu nie da się spakować
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA
Przynajmniej 10 milionów Ukraińców musiało opuścić swoje miejsca zamieszkania. Marzą, by zobaczyć je znowu.

30 Doktryna do remontu
ARTUR SPORNIAK
Kryzys ma tę dobrą stronę, że wymusza nowe myślenie o skostniałej doktrynie. Widać to dobrze w precedensowej wymianie listów między Kościołami polskim i niemieckim.

54 Gdy spichlerz świata płonie
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Napaść Rosji na Ukrainę ma jeszcze jedną konsekwencję: światowy kryzys żywnościowy. A głód nie jest ani nowym, ani rzadko stosowanym narzędziem wojny.

74 Rady dla bezradnych
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ TERPIŃSKĄ, REŻYSERKĄ:
Żyjemy po to, by pracować, i cały czas czujemy, że gonimy w piętkę. Wciąż nie spełniamy oczekiwań – czyichś lub własnych.

86 Rok dzikiego serca
ADAM ROBIŃSKI
Według starej krajoznawczej anegdoty należy zamknąć oczy, a chwilę potem je otworzyć. „Boże, jak tu pięknie!” – powie nam się samo.

OKSANA DRACHKOVSKA // THOMAS LOHNES / GETTY IMAGES // AHMED ZAKOT / ZUMA PRESS / FORUM // GINA KELLY / ALAMY STOCK PHOTO / BEW // WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS // PAWEŁ PIENIĄŻEK DLA „TP”

6 Bomba węglowodorowa
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Anna to zapamięta
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

24 Wszyscy wiemy, dokąd one jadą
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ SZADKOWSKĄ *o transporcie żywych zwierząt*

27 Drapieżnik
ROZMOWA Z PROF. ZBIGNIEWEM GRENIEM, DZIEKANEM WYDZIAŁU POLONISTYKI, *o molestowaniu na UW*

WIARA

30 Doktryna do remontu
ARTUR SPORNIAK

34 Klęska „rosyjskiego świata"
MICHAŁ KLINGER: *Wojna obnaża kryzys rosyjskiej Cerkwi*

37 Franciszkowi jest przykro
MARTA ZDZIEBORSKA: *Po latach nacisków papież przeprosił rdzennych Kanadyjczyków*

ŚWIAT

40 Domu nie da się spakować
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA

44 Kobiety z Mariupola
KACPER DZIEKAN, DMITRIY PANTO: *Marina i Luba uciekły z piekła do Gdańska. Oto ich historia*

47 Żebyśmy nie zapomnieli
PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI: *Jak Brytyjczycy pomagają Ukrainie*

TEMAT TYGODNIKA

12 Armia maszeruje na brzuchu
ROZMOWA Z GENERAŁEM MIROSŁAWEM RÓŻAŃSKIM:
Polska doktryna obronna od lat sprowadza się do tego, że jesteśmy w NATO i Sojusz nas obroni. Zachowujemy się jak dziecko, które w każdym sporze zasłania się starszym bratem.

KPR. DANIEL CHOJAK / ARCHIWUM PRYWATNE MIROSŁAWA RÓŻAŃSKIEGO

68 Misteria Paschalia

FELIETONY

29 DOROTA MASŁOWSKA **39** ZUZANNA RADZIK **63** TOMASZ STAWISZYŃSKI **84** JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MIROSŁAW RÓŻAŃSKI
FOTO: DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

49 Skąd weźmiemy ropę?
DOMA MATEJKO: *Rynek energetyczny wywrócony do góry nogami*

51 Wojna z końca świata
MAGDALENA BARTCZAK: *Ameryka Łacińska wobec rosyjskiej inwazji*

CYWILIZACJA

54 Gdy spichlerz świata płonie
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

HISTORIA

58 Jak zdefiniować upadek
KAMIL KOPIJ: *Gdy przychodzi koniec cywilizacji*

NAUKA

64 Podróż w głąb siebie
BARTOSZ KABAŁA: *Jak zbadać ludzkie ciało?*

KULTURA

70 Nadal czytam Ruskich
RENATA LIS: *Antyrosyjska trauma jest dla nas strefą komfortu*

74 Rady dla bezradnych
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ TERPIŃSKĄ

78 Latający dywan
KAJETAN PROCHYRA: *Muzyka improwizowana i wolność*

82 Ukryta wspólnota
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Lingui" Mahamata-Saleha Harouna*

84 Dom na Krupniczej
LEKTOR *o książce Jana Polewki „Dom pod wiecznym piórem. Leksykon legendarnego Domu Literatów w Krakowie"*

ZMYSŁY

86 Rok dzikiego serca
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL /TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

Azja Środkowa w pułapce
Dawne republiki ZSRR są zbyt zależne od Rosji, by przeciwko niej wystąpić, ale żadna nie popiera napaści na Ukrainę – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Kijów łapie oddech
Po tygodniach niepewności mieszkańcy powoli wychodzą na ulice. Szukają życia, które próbowała zrujnować rosyjska ofensywa – pisze **PAWEŁ PIENIĄŻEK** | tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

„Tygodnik Powszechny" na Wielkanoc!

Ukraińska Wielkanoc ▸ Mesjasz polityczny ▸ Gdzie był między śmiercią a zmartwychwstaniem ▸ Medytacja dnia codziennego ▸ Moc Marty z Betanii Niechciani uchodźcy ▸ Rewolucja chodzi piechotą

MICHAŁ CICHY ▪ MAGDA HEYDEL ▪ WOJCIECH JAGIELSKI ▪ RYSZARD KOZIOŁEK
HANNA KRALL ▪ KAROLINA LEWICKA ▪ ANDRZEJ MUSZYŃSKI ▪ PAWEŁ PIENIĄŻEK

Wydanie świąteczne już OD ŚRODY 13 KWIETNIA w najlepszych punktach z prasą

MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

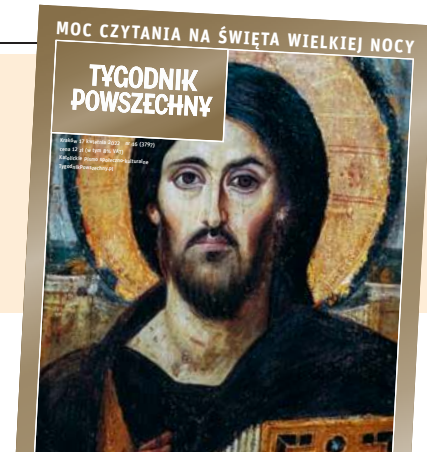

OBRAZ TYGODNIA

BOMBA WĘGLOWODOROWA

Putin znów przegrywa. Grając ważną dla Zachodu kartą bezpieczeństwa energetycznego, zamiast podzielić sojuszników Ukrainy, kolejny raz uzmysłowił im konieczność współdziałania.

MAREK RABIJ

Węgiel z Rosji na nabrzeżu portu w Elblągu, luty 2022 r.

Wielka polityka od dawna nie była tak blisko polskich kuchenek i piecyków grzewczych. Pod koniec marca Władimir Putin podpisał dekret nakazujący od 1 kwietnia rozliczanie opłat za rosyjski gaz wyłącznie w rublach. Jednocześnie zagroził wstrzymaniem dostaw tego surowca wszystkim, którzy odrzucą te warunki. Ultimatum wymierzono w państwa uznane kilkanaście dni wcześniej przez Moskwę za „nieprzyjazne". Na liście Kremla są m.in. USA, Japonia, Wielka Brytania, Kanada, Australia i członkowie Unii Europejskiej (tymczasem rosyjska ulica wciąż żartuje, że miejsce listy wrogów powinno zająć zestawienie krajów przyjaznych, które w obecnych warunkach łatwiej sporządzić).

Rzecz w tym, że gazowe ultimatum na razie nie działa. Przeciwnie – można zaryzykować stwierdzenie, że grając ważną dla zachod-

nich demokracji kartą bezpieczeństwa energetycznego, Putin osiągnął rezultat odmienny od założonego i zamiast podzielić sojuszników Ukrainy, kolejny raz uzmysłowił im konieczność współdziałania. Nie licząc w pełni uzależnionej od rosyjskich surowców Słowacji, która przystała na warunki Moskwy, zachodni odbiorcy zgodnie odrzucili żądania Putina. Ministrowie gospodarki grupy G7, zrzeszającej najpotężniejsze ekonomicznie państwa świata, stwierdzili nawet, że stawiając takie warunki Rosja jednostronnie łamie umowy i że ich kraje są gotowe na natychmiastowe wstrzymanie dostaw przez Gazprom. Oczywiście, dużo w tych zapowiedziach politycznej tromtadracji niepopartej umowami z nowymi dostawcami, ale też nie ulega wątpliwości, że o wymianie handlowej z Moskwą Europa mówi dziś słowami, które jeszcze dwa miesiące temu jej liderom nie przeszłyby publicznie przez usta.

Na razie gaz bez przeszkód płynie z Rosji do Europy. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow w rozmowie z dziennikarzami Reutersa ostrzega jednak, że jego kraj po prostu realizuje dostawy opłacone przed wejściem w życie prezydenckiego dekretu. Problemy mają zacząć się „dopiero w drugiej połowie miesiąca, gdy trzeba będzie dokonać nowych płatności".

Czy Moskwa może zakręcić gazowy kurek? To w gruncie rzeczy pytanie o to, czy dociśnięta sankcjami Rosja poradzi sobie bez setek milionów dolarów, które każdego dnia zasilają jej budżet – zwłaszcza w sytuacji, gdy rubel odrobił większość strat po wprowadzeniu sankcji i chwilowo nie potrzebuje takiego wzmocnienia. Z drugiej strony Zachód mówi wprost, że jego strategicznym celem jest jak najszybsze uniezależnienie się od rosyjskich surowców. Kreml może więc dojść do wniosku, że na potrzeby wewnętrzne lepiej będzie przekuć tę porażkę w swoje zwycięstwo i rzeczywiście odciąć dostawy.

Nie można też zlekceważyć szerszego aspektu tego sporu, jakim jest gra państw BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i RPA) na pozbawienie dolara rangi głównej waluty w światowym handlu. Rząd premiera Indii Narendry Modiego zapewnia o chęci nabycia rosyjskich węglowodorów za ruble. Indyjskie zakupy ropy i gazu z Rosji są oczywiście zbyt małe, by stać się w tym sporze przeważającym argumentem, USA wolą jednak działać wyprzedzająco. Temu ma służyć, między innymi, ogłoszony przez prezydenta Joego Bidena program uwolnienia rezerw strategicznych ropy (po milionie baryłek dziennie przez najbliższe sześć miesięcy) oraz kary dla amerykańskich koncernów, które nie będą eksploatować złóż. Więcej ropy i gazu z USA oznacza większy udział dolara w handlu tymi surowcami. ©℗

STANISŁAW BIELSKI / REPORTER

Bucza: cywile zabici „metodą katyńską"

SYTUACJA STRATEGICZNA na Ukrainie się zmienia. W pierwszych dniach kwietnia wojska rosyjskie zostały zmuszone do wycofania się z Kijowszczyzny, co znamionuje fiasko operacji otoczenia i zdobycia stolicy. Radość Ukraińców stłumiły jednak obrazy, jakie ich żołnierze zastali po wejściu do wyzwolonych miejscowości. Zwłaszcza 30-tysięczna Bucza stała się – obok Mariupola – symbolem rosyjskich zbrodni podczas tej wojny: w mieście znaleziono już ponad 400 ciał mieszkańców – zakatowanych, leżących na ulicach ze związanymi rękoma i przestrzelonym tyłem głowy. Nieliczni pozostali na miejscu mieszkańcy opowiadają o bestialstwach Rosjan w czasie miesięcznej okupacji.

Skala tej zbrodni spowodowała szok także na Zachodzie. Pojawiły się wezwania do nowych sankcji, które uderzyłyby wreszcie w eksport rosyjskich surowców energetycznych. Prezydent Zełenski obiecuje, że każdy Rosjanin odpowiedzialny za zbrodnie zostanie znaleziony i ukarany. Rosja zaś oskarża Kijów o „prowokację".

Armia rosyjska kontynuuje też wycofywanie się z obwodu czernihowskiego, zarazem wzmacniając się w sąsiednim obwodzie sumskim i Donbasie. Moskwa zapowiada, że „wyzwolenie" tego ostatniego regionu jest teraz kluczowym celem. Oznacza to, że Putin został zmuszony do poważnych modyfikacji swoich ambicji. Przed zbliżającym się 9 maja, obchodzonym w Rosji jako dzień zwycięstwa w II wojnie światowej, Putin koniecznie chce mieć się czym pochwalić. Tym czymś mogłoby być opanowanie całego Donbasu i zdobycie broniącego się wciąż Mariupola, co domknie korytarz lądowy z Krymem. Zarazem Rosjanie będą zapewne nadal ostrzeliwać cele strategiczne na całej Ukrainie i kontynuować jej paraliż gospodarczy – wojna na wyczerpanie ma być ich przepisem na sukces.

Kijów ponawia wezwania o dostawy ciężkiej broni, ale nie wszyscy na Zachodzie rozumieją powagę sytuacji. Zełenski mówi to, co ogromna większość Ukraińców myśli: „Wygramy tę wojnę, nawet jeśli niektórzy politycy [na Zachodzie] nie będą w stanie pokonać swojej niedecyzyjności". © WOJCIECH KONOŃCZUK

Szkoła znowu w trybie awaryjnym

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POLSKA EDUKACJA W CIĄGU KILKU TYGODNI zmieniła się nie do poznania – a to dopiero początek. Dotychczas co najmniej 130 tys. ukraińskich uczniów zapisano do klas (najczęściej w podstawówkach), jednak to niewielki odsetek z 700 tys. wszystkich uchodźców w wieku szkolnym. Mimo to zbliżamy się już do sytuacji, w której każda polska klasa będzie miała – statystycznie – po jednym uchodźcy zza wschodniej granicy. A w dłuższej perspektywie, np. z początkiem nowego roku szkolnego, może ich być nawet kilkoro.

Tymczasem już teraz system pęka w szwach. Nauczycieli brakowało także przed lutym – teraz te braki stają się jeszcze bardziej dotkliwe. Opornie idzie namawianie do pracy zarówno nauczycieli-emerytów, jak i tych będących na świadczeniach kompensacyjnych, a także pedagogów ukraińskich. Samorządowcy, zwłaszcza w dużych miastach, alarmują również, że zaczyna brakować miejsca do nauki. Także dlatego nie powstają – mimo że to najlepsze rozwiązanie dla większości uczniów nieznających języka polskiego – tzw. oddziały przygotowawcze. Natomiast wobec dzieci zapisanych do istniejących już klas władza oświatowa wykonuje gesty, które trudno uznać za przyjazne: zmuszanie ukraińskich nastolatków do zdawania egzaminu ósmoklasisty i maturalnego to największe kuriozum ostatnich tygodni.

Nasza szkoła weszła w kolejny – po tym epidemicznym – tryb awaryjny. Pytanie, jak zda egzamin z działań długofalowych: przygotowania kadr, infrastruktury, podstaw programowych dla bardziej zróżnicowanej kulturowo populacji uczniów. Jeśli znowu ograniczy się do zarządzania kryzysem, od września czekają nas kłopoty, których nie da się już zrzucić na karb wojny. ©℗

Prezes już wie

W SMOLEŃSKU doszło do zamachu – co do tego Jarosław Kaczyński nie ma wątpliwości. Prezes PiS przyznał co prawda, że proces w tej sprawie byłby trudny, ale jego zdaniem sytuacja dojrzewa do działań na arenie międzynarodowej. Nie poznaliśmy jednak nowych dowodów, co sugeruje, że oświadczenie Kaczyńskiego ma więcej wspólnego z panującą na świecie atmosferą głębokiej niechęci do Putina i do Rosji. Poruszające zdjęcia, jakie od wielu dni docierają do nas z dewastowanej bez litości Ukrainy, sprawiają, że nie ma takiej podłości, jaką w przypadku Rosjan dałoby się z góry wykluczyć.

Czy brutalna wojna wraz z wcześniejszymi morderstwami politycznymi Kremla ułożyły się wreszcie prezesowi PiS w całość, czy też jest to tylko jego cyniczna gra? Może nawet nie tyle obliczona na przekonanie zagranicy, co na efekt wewnętrzny. Współbrzmi bowiem z prowadzoną nieustannie w rządowych mediach (zapewne nie bez akceptacji Kaczyńskiego) kampanią oszczerstw na temat Donalda Tuska. I nie chodzi w niej o krytykę pochopnej decyzji z 2010 r. o zastosowaniu konwencji chicagowskiej, co oznaczało oddanie śledztwa w sprawie katastrofy w rosyjskie ręce. Na lidera opozycji wylewają się gorsze kalumnie, sugerujące przyjaźń z Putinem, a nawet udział we wspólnym spisku.

Raport podkomisji kierowanej przez Antoniego Macierewicza, dotychczas raczej wstydliwie ukrywany, tak jak i jego autor – mówi wyraźnie o dwóch eksplozjach na pokładzie samolotu prezydenckiego. Najbliższe dni pokażą, czy stanie się on teraz obowiązującą w Polsce prawdą. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Miejsce katastrofy, kwiecień 2010 r.

NATALIA KOLESNIKOVA / / AFP / EAST NEWS

KRAJ W SKRÓCIE

POMAGANIE

224 mln 376 tys. 706 zł i 35 gr — tyle zebrano podczas tegorocznego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W sumie podczas 30 lat przekazaliśmy fundacji Jerzego Owsiaka ponad 1,5 mld zł, za które kupiono ponad 65 tys. urządzeń medycznych.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

ZAUFANIE

Politykiem cieszącym się największym zaufaniem Polaków – co wynika z sondaży i z okładki ostatniego „Newsweeka" – został Andrzej Duda, który wyprzedził Rafała Trzaskowskiego. W sondażach poparcia dla partii przewodzi Zjednoczona Prawica (ok. 34 proc. wyborców) przed Koalicją Obywatelską (26 proc.) i Polską 2050 (8 proc.).

STRZELANIE

Minister sportu Kamil Bortniczuk ogłosił „program upowszechniania strzelectwa"; w tym roku za rządowe pieniądze ma zostać przeszkolonych ponad 8 tys. osób, nauka strzelania będzie się odbywać również w ramach wracających do szkół lekcji przysposobienia obronnego.

LĄDOWANIE

44 kontrolerów ruchu odeszło z pracy w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej, a niewykluczone, że w najbliższych tygodniach dołączą do nich kolejni. To efekt konfliktu z – odwołanym już – kierownictwem agencji; o tyle niebezpiecznego, że grożącego znacznym ograniczeniem ruchu lotniczego nad Polską.

Mundial: w cieniu awansu

MICHAŁ OKOŃSKI

Choć piłkarska reprezentacja Polski wygrała ze Szwecją 2:0 i pojedzie na mistrzostwa świata do Kataru, z perspektywy jej kibica nie jest to najłatwiejszy czas. Najpierw upojony sukcesem Czesław Michniewicz zwyzywał dziennikarzy, którzy po ogłoszeniu jego nominacji na selekcjonera pytali go o zażyłość z odsiadującym wyrok hersztem ustawiającej mecze mafii. Potem w samym Katarze odbyło się losowanie grup, w których zagrają uczestnicy mundialu, a ociekająca przepychem i hipokryzją impreza była smutnym przypomnieniem absurdu, jakim jest turniej rozgrywany w kraju, którego władze łamią prawa człowieka i który – aby wybudować stadiony pośrodku pustyni – poświęcił życie kilku tysięcy robotników. Relacjonujący ceremonię dziennikarz „The Independent" zauważył, że w kontekście tych tragedii nadużywane przez komentatorów sformułowanie „grupa śmierci" brzmi wyjątkowo niestosownie.

Oczywiście to nie kibice odpowiadają za powierzenie organizacji mistrzostw przez uwłaszczone na ich ukochanym sporcie władze FIFA Katarowi – krajowi, który chce pokazać się światowej opinii publicznej (*ergo*: zapewnić sobie bezpieczeństwo wśród potężniejszych sąsiadów). Ale po tyradach selekcjonera i losowaniu w Dausze świadomość, że na najważniejszej piłkarskiej imprezie Lewandowski zmierzy się z Messim, cieszy ich mniej. ©℗

Nielegalne i niezasadne

TAKIMI SŁOWAMI Sąd Rejonowy w Bielsku Podlaskim określił tzw. push-backi (przewożenie z powrotem na granicę osób, które przekroczyły ją łamiąc przepisy), stosowane przez Straż Graniczną na granicy z Białorusią.

Sprawa dotyczy Afgańczyków, którzy w sierpniu 2021 r. złożyli wniosek o azyl. Straż Graniczna umieściła ich w ośrodku zamkniętym, a następnie, wbrew wcześniejszym zapewnieniom, wywiozła nocą na granicę. Wyrok bielsko-podlaskiego sądu potwierdził, że działania polskich służb są niezgodne z prawem. W uzasadnieniu czytamy, że „zatrzymanie miało na celu wywiezienie cudzoziemców na granicę polsko-białoruską w nocy poza zasięgiem wzroku osób postronnych czy też kamer dziennikarzy".

Według federacji organizacji pozarządowych Grupa Granica w lasach znajduje się obecnie blisko trzysta osób, które dotychczas przebywały w hali w białoruskich Bruzgach. W marcu służby Łukaszenki zamknęły to miejsce, a ludzi przepchnęły do granicy z Polską. Wobec nich bezprawne push-backi stosowane są nadal.

Wyrok z 28 marca daje Afgańczykom podstawy do odszkodowania, a nam świadomość, że polskie służby na granicy z Białorusią łamią przepisy. Nadal też ani aktywiści, ani dziennikarze nie mogą tam swobodnie pracować.

©℗ JACEK TARAN

Viktor Orbán niezwyciężony

NIE PRZESZKODZIŁY pandemia, wojna, drożyzna i zjednoczona opozycja – w niedzielę 3 kwietnia prawicowy Fidesz czwarty raz z rzędu wygrał w wyborach, ponownie zdobywając w węgierskim parlamencie większość konstytucyjną dwóch trzecich mandatów.

Głosowało na niego aż 53 proc. wyborców; sojusz sześciu opozycyjnych partii Wspólnie dla Węgier otrzymał zaledwie 35 proc. głosów (to wyniki wstępne po przeliczeniu 99 proc. głosów). 58-letni Viktor Orbán, który rozpoczyna piątą kadencję na stanowisku premiera, zdołał przekonać wyborców, że to on jest gwarantem bezpieczeństwa kraju w niestabilnych czasach. Na inflację odpowiedział potężnymi transferami socjalnymi, a po napaści Rosji na Ukrainę narracją, że w przeciwieństwie do „wymachującej szabelką" opozycji potrafi utrzymać Węgry z dala od wojny. W zdobyciu głosów Węgrów pomogła mu dominacja w mediach i około ośmiokrotnie wyższe wydatki na kampanię w porównaniu do wydatków zjednoczonej opozycji.

Wspólnie dla Węgier poniosło natomiast sromotną klęskę, której nie przewidziały żadne sondaże. Dobry wynik sojusz opozycyjny uzyskał w zasadzie tylko w Budapeszcie; nie udało mu się wygrać nawet w miastach, gdzie rządzi w samorządach. Z wchodzącym w skład sojuszu Jobbikiem skutecznie podjęli walkę rozłamowcy z tej partii – utworzona przez nich skrajnie prawicowa partia Nasza Ojczyzna uzyskała 6 proc. i przy pomocy nacjonalistycznych oraz antyszczepionkowych haseł weszła do parlamentu.

Po radości ze zwycięstwa Fidesz czeka jednak trudna kadencja. Węgry zmagają się z coraz wyższą inflacją i zadłużeniem państwa. W polityce zagranicznej pole manewru drastycznie się skurczyło i nawet najbliżsi partnerzy z Grupy Wyszehradzkiej krytykują podejście Budapesztu do wojny ukraińsko-rosyjskiej. Pieniądze z unijnego Planu Odbudowy dla Węgier pozostają niezatwierdzone.

Premier Viktor Orbán mógłby teraz dokonać kolejnej wolty w swojej karierze i obrać ponownie kurs na Zachód. Ale przytłaczające zwycięstwo może podtrzymywać go w przekonaniu o słuszności dotychczasowej polityki.

© ANDRZEJ SADECKI

NIHAD IBRAHIMKADIC / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

ZA TYM WZGÓRZEM JEST SARAJEWO. Pod drzewami – murek, na którym dobrze usiąść rano, bez ludzi, z ciepłą bułką od piekarza obok. Widać stąd historię: osmańską starówkę, austriackie nabrzeże rzeki Miljacka, jugosłowiańskie blokowiska Grbavicy. Nocą zaś, patrząc na światła setek domów wysoko nad centrum, ma się wrażenie podróży wśród gwiazd. Był jednak czas, gdy znad tych gwiazd przychodziła śmierć: 30 lat temu, 5 kwietnia 1992 r., serbscy artylerzyści i snajperzy otoczyli Sarajewo. Zaczęło się oblężenie. Przez cztery lata zginęło kilkanaście tysięcy ludzi. W Hadze, podczas procesów sprawców, prokuratorzy mówili: urbicyd, zabójstwo miasta, nie może się już powtórzyć. Na zdjęciu: pierwszy wieczór ramadanu, Sarajewo, 1 kwietnia 2022 r. ©℗ ŻYM

Wybory w Serbii: teatr jednego aktora

MARTA SZPALA

Choć 3 kwietnia w Serbii odbywały się nie tylko wybory prezydenckie, ale też parlamentarne i lokalne, obserwując kampanię można było odnieść wrażenie, że to starcie prezydenta Aleksandra Vučicia z całym światem – o dobrobyt i pokój w kraju. Wstępne wyniki wskazują, że wygrał tę bitwę: już w pierwszej turze zapewnił sobie reelekcję i prawie połowę mandatów w parlamencie. Zapewne jego partia będzie wciąż rządzić w Serbii.

Te wybory trudno jednak uznać za wolne i uczciwe. Dekada rządów Vučicia i jego Serbskiej Partii Postępowej to podporządkowywanie instytucji państwa interesom wąskiej grupy ludzi. Media w zdecydowanej większości należą do popleczników władzy. Aktywiści lokalni, politycy opozycyjni czy dziennikarze ujawniający liczne nieprawidłowości rządzących są celami kampanii nienawiści. W takich warunkach opozycja nie ma szans na przedstawienie programu czy wypromowanie liderów. W dniu wyborów partyjne jaczejki sprawdzają, czy członkowie partii rządzącej – a jest ich ponad 700 tys. (w 6-milionowym kraju) – głosują, jak trzeba. Vučiciowi pomogła też relatywnie dobra sytuacja gospodarcza. To wystarczy, by rządzący nie martwili się o wynik. Choć biorąc pod uwagę skalę nieprawidłowości, nie można wykluczyć protestów opozycji kontestujących rezultaty głosowania.

Symbolem kapitulacji instytucji państwa była decyzja Centralnej Komisji Wyborczej, że nie będzie na bieżąco ogłaszać cząstkowych wyników. Te przedstawił prezydent. Bo w Serbii państwo to partia, a partia to Vučić.

Dla władzy trudności mogą jednak nadejść szybko. Aby społeczeństwo zbyt mocno nie domagało się integracji z UE, rządowe media wzmacniały prorosyjskie i antyzachodnie sentymenty. Rządzący wykorzystywali te nastroje, by szantażować Zachód, żeby nie naciskał zbyt na demokratyczne reformy i odcięcie się od Rosji (Serbia nie przyłączyła się do sankcji). Odbyły się wiece poparcia dla Kremla, co negatywnie wpłynęło na wizerunek Serbii – kandydata do UE. Vučić chciałby kontynuować politykę balansowania między Zachodem a Rosją. Czy jednak w obecnej sytuacji będzie to możliwe, pozostaje kwestią otwartą. ©

MASSIMO FAGGIOLI, TEOLOG:

Odmrożony dialog

ARCHIWUM PRYWATNE

EDWARD AUGUSTYN: Brałeś udział w „tajnym spotkaniu" kardynałów, biskupów, teologów i intelektualistów katolickich.

MASSIMO FAGGIOLI: Wbrew temu, co piszą prawicowe media, spotkanie w Chicago, 25-26 marca, nie było tajne. Było zarezerwowane dla określonej liczby osób, co ułatwiło dyskusję, ale obecni byli też dziennikarze, wszystkie wystąpienia zostaną opublikowane.

Podobne konferencje organizowała dotąd tylko katolicka prawica. Pora na drugą stronę?

To nie było spotkanie lewicy. Zaproszeni byli ci, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z ekstremistami z jakiejkolwiek strony. Którzy nie chcą wojen kulturowych i Kościoła zdominowanego przez jedną frakcję. Chodziło też o nawiązanie dialogu między biskupami a teologami, w ostatnich latach całkowicie zamrożonego. O przekonanie, że tematy, które nas dzielą, nie muszą być narzędziem walki.

Na przykład krytyka Franciszka?

W USA jest ona czymś innym niż w Europie. Sprowadza się do delegitymizacji papieża, twierdzenia, że to heretyk i komunista, który odszedł od prawdziwej tradycji Kościoła.

W swoim wykładzie mówiłeś, że opozycja wobec Franciszka ma korzenie w odrzuceniu Soboru Watykańskiego II.

W Europie Sobór Watykański II był długo broniony, np. przez Jana Pawła II czy – na swój sposób – Benedykta XVI. Katolicy amerykańscy wzięli z nauczania tych papieży tylko to, co ich interesowało, np. postawę wobec komunizmu albo etykę seksualną. Nie zauważyli, jak ważną częścią ich życia i nauczania był sobór, który wielu księży w USA, zwłaszcza młodych, ale też niektórzy biskupi, uważa za samo zło. A Franciszek od początku utożsamiany jest z soborem.

Jakie będą efekty Waszego spotkania?

Po raz pierwszy przedstawiciele szerokiego centrum w Kościele spotkali się i rozmawiali. I słuchali ich biskupi. To może być ważny krok do zakończenia wojen kulturowych i wyjścia poza schematy partii politycznych. ©℗

Cała rozmowa na: **powszechnet.pl/chicago**

MASSIMO FAGGIOLI *jest teologiem i historykiem Kościoła na Uniwersytecie Villanova w Pensylwanii (USA).*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MODLITWA

W tegorocznej liturgii Wielkiego Piątku w modlitwie wiernych znajdzie się dodatkowe wezwanie dotyczące wojny w Ukrainie. Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów zleciła opracowanie go episkopatom. Watykańska dykasteria zatwierdziła też dokładniejsze polskie tłumaczenie wezwania za Żydów.

BIBLIA

Od 2020 r. Biblię przetłumaczono na 15 nowych języków – w tym na używany w północnej Hiszpanii asturyjski oraz używany głównie we wschodnich Indiach, Bangladeszu i Nepalu santali – wynika z raportu Światowej Federacji Towarzystw Biblijnych za rok 2021. Biblia jest obecnie dostępna w całości w 719 językach.

JAŁMUŻNA

Kardynał Konrad Krajewski pojechał jako kierowca do Lwowa karetką podarowaną Ukrainie przez Franciszka. Kierowcą-zamiennikiem papieskiego jałmużnika jest osoba bezdomna z Polski.

REKOLEKCJE

„Takie rekolekcje są zupełnie inne niż te, które znamy" – można było usłyszeć od uczestników Areny Młodych. W największym wydarzeniu ewangelizacyjnym dla młodzieży z archidiecezji łódzkiej w pierwszym dniu (30 marca) uczestniczyło 4 tys. uczniów ze szkół podstawowych, a w następnym dniu – 7 tys. uczniów szkół średnich.

GRZEGORZ MICHAŁOWSKI / PAP

Łatwo nie będzie

PIOTR SIKORA

Instrukcję o tożsamości szkół katolickich opublikował właśnie Watykan. Powodem opracowania dokumentu były m.in. konflikty i spory dotyczące wielu szkół, które powstały jako katolickie, a z czasem traciły – zdaniem np. miejscowych biskupów – swój katolicki charakter. Konflikty dotyczyły najczęściej tzw. czystości doktrynalnej nauczanych w szkole treści oraz niezgodności sposobu życia nauczycieli (np. gejów) z oficjalną moralnością katolicką. Dokument namawia, by wszelkie spory rozwiązywać na drodze dialogu, i szkicuje głębsze kryteria katolickości szkoły.

Powinna być ona wspólnotą kierowaną ewangelicznym duchem wolności i miłości, środowiskiem umożliwiającym doświadczenie relacji opartych na solidarności i sprawiedliwości. Powinna być także otwarta na przemiany kulturowe i nowe metody wychowawcze, uczyć dialogu i wychowywać do kultury troski. Musi być dostępna dla wszystkich, zawłaszcza marginalizowanych społecznie, a także pochodzących z różnych tradycji kulturowych i religijnych.

Z drugiej strony musi też prowadzić do Chrystusa, zaś ważnym kryterium przy zatrudnianiu nauczycieli jest ich przywiązanie do katolickiej doktryny i spójność chrześcijańskiego stylu życia. W żadnej szkole nie będzie łatwo pogodzić wszystkie wymienione tu cechy. ©℗

Papież na Malcie

„JESTEM TU, aby zobaczyć wasze twarze, aby spojrzeć w wasze oczy" – mówił Franciszek do migrantów, z którymi się spotkał w Centrum Laboratorium Pokoju im. Jana XXIII w Hal Far podczas wizyty na Malcie. Europejskich polityków zachęcał do solidarności z migrantami, a maltańskich krytykował za korupcję. W ciągu dwóch dni (2-3 kwietnia) papież odprawił mszę z udziałem 20 tys. wiernych we Florianie, modlił się w grocie i bazylice św. Pawła w Rabacie oraz zostawił złotą różę w narodowym sanktuarium Ta' Pinu na wyspie Gozo.

Drugim tematem pielgrzymki okazała się wojna w Ukrainie. Papież potępił „anachroniczne roszczenia interesów nacjonalistycznych", a dziennikarzom pytającym go o ewentualną podróż do Kijowa, odpowiedział: „Tak, jest na stole". ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

ZAGADKI IBRU

Sundog, w którym pracują osoby związane wcześniej m.in. z firmą CD Projekt, tworzy grę na podstawie powieści Olgi Tokarczuk „Anna In w grobowcach świata". Gra będzie nosić tytuł „Ibru" i ma mieć formę detektywistycznego RPG. Przedstawiono już pierwsze wizualizacje oraz projekty postaci. Współscenarzystką „Ibru" będzie sama noblistka.

SZYFRY IPN

Tymczasem swoją prapremierę miał pierwszy projekt gamingowy Biura Nowych Technologii IPN. Uczestnicy „Gry szyfrów" wcielają się w żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r., a ich zadaniem jest „uratowanie Europy przed komunistycznym zniewoleniem". „Gra" zostanie udostępniona bezpłatnie na platformie Steam 21 kwietnia. Rozwiązania w niej zastosowane powstały na bazie materiałów źródłowych, a przedmioty, którymi posługują się gracze – odwzorowane z historycznych eksponatów.

NIESPODZIANKI ARTE

Od tygodnia platforma Arte.tv prezentuje widzom klasyki kina europejskiego. Selekcja dwudziestu tytułów odbyła się we współpracy ze Stowarzyszeniem Filmotek Europejskich. Wszystkie filmy są świeżo odrestaurowane i dostępne bezpłatnie z napisami w sześciu językach.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyj

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI będzie gościem Pawła Sulika w Radiu TOK FM w środę 6 kwietnia o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 97,4 FM Łódź
95,8 FM Wrocław | 97,7 FM Poznań
97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl

BILL INGALLS / NASA.GOV

ROSYJSKIM STATKIEM, który wylądował w Kazachstanie, wrócili z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) Amerykanin Mark Vande Hei oraz Rosjanie Anton Szkaplerow i Piotr Dubrow. Hei stanął na Ziemi po 355 dniach spędzonych na orbicie. Podróż minęła spokojnie, ale także w kosmosie rośnie napięcie między Zachodem a Rosją. Ciągle nie wiadomo, jak kryzys w relacjach spowodowany wojną w Ukrainie przełoży się na przyszłość samej ISS. ©℗ ŁK

Rozszerzony umysł pająka

NICI SIECI pajęczej są mocne, choć nam akurat łatwo je zniszczyć. Badania opublikowane w „PNAS", czasopiśmie Narodowej Akademii Nauk USA, sugerują, że w ten sposób możemy... ogłuszyć ich mieszkańców. Dotychczas było wiadomo, że pająki mogą odbierać dźwięki z niewielkiej odległości dzięki wyspecjalizowanym włoskom czuciowym umieszczonym na odnóżach. Nitki pajęczyny są też wrażliwe na ruchy cząsteczek powietrza związane z przemieszczaniem się fal dźwiękowych. Zespół Jiana Zhou postanowił sprawdzić, czy pająki z gatunku *L. sclopetarius* korzystają z tej czułości sieci, by wykrywać potencjalne zagrożenie.

Okazało się, że kiedy na odległym fragmencie sieci wyemitowali dźwięk zbyt cichy, by pająk mógł odebrać go bezpośrednio z powietrza, to obserwowany osobnik i tak zareagował – i to dokładnie tak, jakby usłyszał niezbyt głośny dźwięk. Wydaje się więc, że sieci służą pająkom także jako „narządy" zmysłu słuchu, których właściwości nie są ograniczane przez ciało organizmu. Dzięki temu dają się też łatwo dostosowywać, np. do siły wiatru, który mógłby zakłócać odbiór informacji.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Jądro na ratunek

OD DEKAD żywo rozważane jest pytanie, kiedy właściwie powstało jądro wewnętrzne Ziemi – jedni mówią, że towarzyszy nam od samego początku, przeciwko czemu protestują „młodojądrowcy". Jest to ważne, ponieważ ziemskie pole magnetyczne, chroniące nas przed promieniowaniem kosmosu, powstaje dzięki ruchom płynnego jądra zewnętrznego, a wzrost tego wewnętrznego wydaje się je napędzać.

Grupa geologów opisała właśnie ciekawy argument za młodym jądrem. Wygląda na to, że ok. 565 mln lat temu pole znacząco osłabło – było ono wówczas aż 10-krotnie słabsze od obecnego. Gdy nasza tarcza magnetyczna jest tak słaba, promieniowanie kosmiczne może wręcz zagrozić życiu na Ziemi. Tymczasem zaledwie kilkadziesiąt milionów lat później pole tajemniczo wzmocniło się. Czyżby to znak, że zaczęło powstawać jądro wewnętrzne i ożywiło gasnące pole?

Rzecz w tym, że w tym samym czasie na powierzchni Ziemi życie zwierzęce zaznało niebywałego skoku różnorodności, tzw. eksplozji kambryjskiej, dzięki której dziś istnieją choćby mięczaki, stawonogi czy kręgowce. Już dawno podejrzewano, że taki skok ewolucyjny mógłby mieć związek ze wzmożonym strumieniem promieniowania, podkręcającym tempo mutacji genetycznych – które napędzają ewolucję.

Cóż za scenariusz! Słabnący magnetyzm pobudza ewolucję życia, sięgając poziomów niebezpiecznych, jednak w ostatniej chwili zostajemy ocaleni przez jądro wewnętrzne. To by był dopiero piękny zbieg okoliczności.

© ŁUKASZ LAMŻA

TEMAT TYGODNIKA

ARMIA MASZERUJE NA BRZUCHU

GENERAŁ MIROSŁAW RÓŻAŃSKI:

Polska doktryna obronna od lat sprowadza się do tego, że jesteśmy w NATO i Sojusz nas obroni. Zachowujemy się jak dziecko, które w każdym sporze zasłania się starszym bratem.

MAREK RABIJ: Na początek coś, co nie daje mi spokoju od ponad miesiąca: co by było, gdyby 24 lutego Rosja zaatakowała nie Ukrainę, lecz Polskę?

GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI: Myślę, że do wojny by nie doszło. Wieczorem 23 lutego mielibyśmy w Polsce nie 10 tysięcy żołnierzy US Army, ale 100 tysięcy. Do tego setki NATO-wskich myśliwców, śmigłowców i pewnie dodatkowe baterie systemu Patriot. Może nawet po Bałtyku krążyłyby amerykańskie niszczyciele z rakietami Tomahawk, w zasięgu których byłby nie tylko obwód kaliningradzki. Czołgi dojechałyby później, gdyby jednak okazało się, że są potrzebne.

Wtedy mogłoby być za późno.

We współczesnej wojnie przewagę zdobywa się w powietrzu.

I mówi to generał wojsk pancernych?

Wojskowi mają tendencję do zawężonego postrzegania priorytetów pola walki. Pilot powie, że najważniejsze jest lotnictwo, marynarz zawsze będzie podkreślać znaczenie marynarki. Ja jestem piechocińcem, ale doświadczenia, które zdobywałem również w Iraku, pokazały mi, że na współczesnym polu walki kluczowe jest panowanie w powietrzu. Proszę spojrzeć na Ukrainę, która częściowo utraciła kontrolę nad własnym niebem. Na lądzie mężnie stawia opór Rosjanom, ale jakim kosztem! Tysięcy zabitych cywilów, ruiny gospodarki i cywilizacyjnej zapaści, której odrobienie potrwa wiele lat.

W tej chwili nie wiemy jeszcze wszystkiego o założeniach taktycznych Rosji, wszystko wskazuje jednak na to, że plan Moskwy bazował na scenariuszu wojny błyskawicznej. A do tego niezbędne było właśnie sparaliżowanie ukraińskiego lotnictwa i obrony powietrznej. Dzięki informacjom wywiadowczym od krajów NATO Ukraińcy w porę te zasoby rozproszyli i ukryli, przez co Rosjanom nie udało się błyskawiczne wypracowanie pełnej kontroli w powietrzu. I od tego momentu ich plan zaczął się sypać. *Blitzkrieg* zamienił się w operację ciągnącą się tygodniami, dały o sobie znać problemy logistyczne i trudności z uzupełnieniami strat w ludziach oraz w sprzęcie. Jestem pewien, że gdyby Ukraina dysponowała lepszą obroną powietrzną, Moskwa musiałaby tę operację inaczej zaplanować. Możliwe, że doszłaby do wniosku, że nie warto zaczynać.

Czy 46 polskich samolotów F-16 to dostateczny argument za tym, że „nie warto zaczynać"?

Niestety nie. W czasach, kiedy byłem dowódcą generalnym Wojska Polskiego, mówiło się, że nasze minimum obronne ↦

Polsko-amerykańskie ćwiczenia wojsk rakietowych na poligonie w Sochaczewie. 21 marca 2015 r.

MICHAŁ DYJUK / REPORTER

↦ to ok. 160 samolotów. Program F-16 miał być kontynuowany, na razie jednak o tym cisza. Kupujemy za to 32 najnowocześniejsze wielozadaniowe F-35.

To chyba dobrze.

Pierwszy biłbym brawo temu zakupowi, gdybyśmy mieli już w Polsce zrealizowane inne potrzeby. Przede wszystkim powinniśmy zadbać o systemy obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Pierwsze Patrioty dopiero do nas jadą, ale te dwie baterie zabezpieczą ledwie wycinek polskiego nieba. Nowoczesne i bardzo drogie uzbrojenie, jakim jest F-35, będzie więc ustawicznie zagrożone atakiem. Kilka rosyjskich rakiet Iskander, wartych kilkanaście milionów dolarów, może w jednej chwili pozbawić nas kluczowych zasobów militarnych, na które wydaliśmy miliardy dolarów. Bo Polska nie ma również nowoczesnych systemów rozpoznania i łączności. O tym, że nas zaatakowano, zorientujemy się dopiero wówczas, kiedy wybuchną rakiety. Może kilkadziesiąt sekund wcześniej.

F-35 to latający komputer, zdolny do zbierania w czasie rzeczywistym danych z pola walki i przekazywania ich innym jednostkom. Może np. wskazywać czołgom cele ukryte poza ich horyzontem operacyjnym. Ale żeby te wszystkie nowoczesne elementy uzbrojenia spiąć w sieć i uczynić z tego przewagę na polu walki, potrzebny jest wgląd w sytuację operacyjną w czasie rzeczywistym. Kupiliśmy ferrari, ale bez silnika. Dlatego tak dziwi mnie zakup F-35 przy jednoczesnym braku zapowiedzi realizacji bardziej palących potrzeb.

Boi się Pan, że F-35 stanie się przysłowiowym anglosaskim „białym słoniem", czyli zbyt cennym zasobem, żeby zdecydować się na jego użycie i zaryzykować utratę?

Niepokoi mnie to, że do wzmacniania polskiej armii przystępujemy bez porządnego planu, a w tych istniejących planach zmiany wprowadza się decyzjami na szczeblu ministerialnym.

Plan jest: docelowo 3 proc. PKB na obronność i trzystutysięczna armia.

Papier wszystko przyjmie. W rzeczywistości na tak wielką armię nas nie stać. W zeszłym roku na obronność przeznaczyliśmy 2,2 proc. produktu krajowego, czyli ponad 52 mld zł. Około 40 proc. tej sumy stanowiły koszty osobowe, czyli pensje ok. 109 tys. żołnierzy zawodowych, wynagrodzenie blisko 30 tys. terytorialsów, zarobki pracowników cywilnych wojska oraz świadczenia rentowe i emerytalne. Wzrost wydatków na obronność do 3 proc. PKB wraz z rozwojem naszej gospodarki poskutkują tym, że w przyszłym roku budżet MON zwiększy się o jakieś 40 mld zł. Łatwo policzyć, że na zbudowanie trzystutysięcznej armii musielibyśmy wydać właściwie wszystkie dodatkowe pieniądze. Czyli zrezygnować z zakupu nowoczesnego sprzętu, który dodatkowi żołnierze mieliby obsługiwać.

A za dziesięć lat?

Rozsądniej byłoby mieć 150-tysięczną armię z supernowoczesnym wyposażeniem, armię dobrze przeszkoloną do zadań, które ma realizować, niż 250 tysięcy wojska zawodowego, które ma archaiczne uzbrojenie, a na poligonach bywa od święta. W 1939 roku niewiele ustępowaliśmy liczebnością niemieckiej armii. Czy pozwoliło to nam wygrać? Żołnierze bez nowoczesnego sprzętu są mięsem armatnim. Tego chcemy dla naszych dzieci?

Na jedno i drugie, rozumiem, nas nie stać?

Nawet 150-tysięczna armia z nowoczesnym wyposażeniem może okazać się wystarczająco liczna do zapewnienia nam bezpieczeństwa. Polska to nie Ukraina. Mamy dwukrotnie mniejszą powierzchnię do obrony i tylko jeden wschodni kierunek, z którego może nadejść wrogie uderzenie. Nie powinniśmy zresztą rozmawiać o stanie osobowym polskich sił zbrojnych w oderwaniu od planów obronnych. Chodzi o to, żeby ich liczebność i wyposażenie były adekwatne do zaplanowanych zadań, a nie o to, żeby na paradach pokazywać nowe czołgi i epatować wyborców nowymi dywizjami.

Nie jestem przeciwnikiem zwiększania wydatków na obronność. Uważam, że mamy w tej sferze gigantyczne zaniedbania, i być może to jest ostatni moment, żeby się tym na poważnie zająć.

Zgadza się Pan z opinią, że wojna w Ukrainie pokazała, iż będąc w NATO musimy zabezpieczyć zdolności obronne, które pozwolą nam stawiać samodzielnie skuteczny opór przez kilka tygodni, zanim sojusznicy realnie przyjdą nam z pomocą?

Odpowiem następująco: musimy mieć armię, która przez dwa-trzy tygodnie rzeczywiście będzie w stanie odpierać samodzielnie ataki wroga, zdolną do identyfikacji zagrożeń i neutralizowania ich jeszcze poza granicami kraju.

A mamy dziś taką armię?

Obawiam się, że nie.

To ile czasu zajmie jej odbudowa do stanu, o którym mowa?

Od lat polska doktryna obronna sprowadza się do tego, że jesteśmy w NATO i Sojusz nas obroni. Zachowujemy się jak dziecko, które w każdym sporze zasłania się starszym bratem. Tymczasem – obok słynnego artykułu piątego – Traktat Północnoatlantycki zawiera też artykuł trzeci, który mówi, że każdy kraj członkowski ma dążyć do maksymalizacji własnych zdolności obronnych. Jeśli wszyscy będziemy się chować za plecami USA, Wielkiej Brytanii i może jeszcze Francji, NATO stanie się prędzej czy później mocarstwem fasadowym.

Sytuacja międzynarodowa może się też szybko zmienić. Ameryka, która za sprawą ataku Rosji na Ukrainę na nowo zainteresowała się bezpieczeństwem Europy, może być zmuszona do skoncentrowania całej uwagi na Pacyfiku, co jest zrozumiałe w przypadku mocarstwa globalnego. Proszę poczytać dokumenty Departamentu Obrony USA. Tam jest wprost napisane, że Stany spoglądają dziś przede wszystkim w stronę Chin.

Kiedy zmienią się wektory politycznych sympatii USA, na podstawie których budujemy swoją politykę obronną, F-35 i inny drogi sprzęt również może się okazać bezużyteczny.

Do czego pan zmierza?

Można sobie wyobrazić scenariusz, w którym skonfliktowany z Pekinem Waszyngton szuka porozumienia z Moskwą, pozwala jej zająć np. Przesmyk Suwalski i jednocześnie zdalnie ogranicza lub wręcz blokuje nam użycie nowoczesnego uzbrojenia, które zakupiliśmy w Ameryce.

Nie można tego oczywiście hipotetycznie wykluczyć, ale jeśli pan pyta, co o tym sądzę, odpowiem, że nie warto sobie tym zawracać głowy. Według mnie to scenariusz mało prawdopodobny.

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI (ur. 1962) jest generałem broni Wojska Polskiego i doktorem nauk o obronności. W latach 2015-2016 był Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Po przejściu do rezerwy powołał Fundację Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints. Jest także doradcą ugrupowania Polska 2050.

KPR. DANIEL CHOJAK

Pytam raczej o to, czy prawdą jest, że nowoczesne uzbrojenie posiada takie zdalne cyfrowe „wyłączniki"?
Tak.

A zna Pan choć jeden potwierdzony przypadek użycia takiego „wyłącznika"?
Znam.

Jakieś szczegóły?
Nie mogę. Przepraszam.

Nie trąci to Panu technologicznym kolonializmem?
Każdy kraj traktuje sprzedaż uzbrojenia jako jeszcze jedno narzędzie polityki międzynarodowej. Amerykanie robią to z otwartą przyłbicą, bo w dokumentach Kongresu moż+na znaleźć jasną deklarację, że Stany w ten sposób rozszerzają strefę wpływów. Możemy rozpatrywać to w kontekście zagrożenia dla naszej niezależności, ale właściwszym podejściem będzie oszacowanie relacji zysków i strat. Ryzyko rozminięcia się naszych żywotnych interesów politycznych z interesami USA jest nikłe. W zamian zyskujemy unikatowe zdolności obronne i dostęp do technologicznego *know-how*, które inaczej musielibyśmy zdobywać samodzielnie.

Ma pan za to rację wskazując na ryzyko, z jakim wiąże się kupowanie uzbrojenia z jednego źródła. Po pierwsze, w ten sposób tracimy szanse na skompletowanie optymalnego dla nas wyposażenia. W czasach, kiedy byłem czynnym wojskowym, zakup baterii Patriot negocjowaliśmy z USA, śmigłowce wielozadaniowe chcieliśmy zamówić z Francji, a rakietowe systemy ochrony wybrzeża w Norwegii. Teraz rozmawiamy niemal wyłącznie z USA i w ten sposób utwierdzamy je niestety w przekonaniu, że nie muszą się starać.

Zakup uzbrojenia może być takim samym narzędziem polityki międzynarodowej jak jego sprzedaż. Najlepszym przykładem jest Izrael.
Panie redaktorze, nie ma sensu zestawiać Polski z Izraelem.

Dlaczego? Budżety obronne mamy już zbliżone, za to armie wciąż dzieli przepaść. Popatrzmy na samo lotnictwo myśliwskie. My mamy 46 samolotów F-16 i podstemplowane zamówienie na 32 samoloty F-35. Oni w hangarach mają już 27 z 50 zamówionych F-35. Do tego ponad 200 wielozadaniowych F-16 i blisko 60 myśliwców przewagi powietrznej F-15.
Geopolityki pan nie oszuka. Będąc członkami NATO i UE, nigdy nie będziemy mieć takiego znaczenia w polityce zagranicznej Waszyngtonu, jaką na Bliskim Wschodzie od lat odgrywa Izrael. Nie jest tajemnicą, że Tel Awiw kupuje amerykańskie uzbrojenie na warunkach mocno preferencyjnych, niedostępnych dla innych sojuszników USA. Inna sprawa, że ta militarna współpraca obu krajów nie sprowadza się do relacji patron–klient. Izrael współfinansuje wiele projektów, które owocują powstaniem nowego uzbrojenia, w tym także Joint Strike Fighter, z którego wyewoluował samolot F-35.

Izrael ma przemysł zbrojeniowy, który już dziś potrafi przerosnąć swego amerykańskiego mistrza, choćby w przypadku obrony przeciwrakietowej. Dzięki tym atutom uzyskuje nie tylko szerszy dostęp do technologii stosowanych przy produkcji, ale dostaje też gwarancję dostaw zbrojenia w pierwszej kolejności. A nawet udział w zyskach z jego sprzedaży. My wciąż mamy niewiele do zaoferowania. Na polskim przemyśle zbrojeniowym utuczyło się wielu. Niestety, nie polska armia. Dlatego dziś kupujemy sprzęt „z półki" [gotowe czołgi czy samoloty, bez udziału w ich produkcji polskiego przemysłu – red.].

Turcja też była sygnatariuszem Joint Strike Fighter. I co? Nadal czeka na swoje F-35, bo w międzyczasie odważyła się zaopatrzyć także w rosyjskie systemy antyrakietowe S-400.
I została za to z hukiem wyrzucona z tego projektu. Nie będę pana przekonywać, że USA nie próbowały w ten sposób zmusić Turcji do – nazwijmy to delikatnie – dokładniejszego zgrania interesów międzynarodowych z ich polityką. Mimo wszystko nie nazwałbym tego wypowiedzeniem relacji sojuszniczych. Raczej stanowczym upomnieniem, że nie tak się, droga Ankaro, umawialiśmy. Jestem zresztą przekonany, że Turcja prędzej czy później dostanie swoje F-35. ↦

Może Turkom rosyjskie systemy S-400 opłacały się bardziej od amerykańskich odpowiedników?

Ostrożnie z takimi ocenami. Nie ma czegoś takiego jak cena uzbrojenia. Negocjuje się ją niemal za każdym razem od zera. Wiele zależy od skali zamówienia i oczekiwań kupującego, np. tego, czy bierzemy sprzęt w wersji dla armii USA, czy chcemy go doposażać i modyfikować, montując choćby inne systemy łączności. Wreszcie pakiet serwisowy: najlepiej mieć serwis w kraju, dla uniknięcia wysyłki uzbrojenia za granicę i zapewnienia sobie krajowych dostaw.

Koszty niektórych naszych zakupów mimo wszystko wydają się niepokojąco wysokie. Kiedy byłem w służbie, Polska negocjowała zakup ośmiu baterii Patriot za 30 mld dolarów. Później za 20 mld dolarów kupiliśmy dwie.

Po ogłoszeniu decyzji o zakupie czołgów Abrams też pojawiły się głosy, że słono za nie przepłacimy. MON uspokajał, że 23,3 mld zł to cena nie tylko za 250 czołgów, ale też za wozy dowodzenia i wsparcia inżynieryjnego, mobilne mosty, wreszcie za pakiet serwisowy, amunicję i symulatory szkoleniowe.

I poczuł się pan uspokojony? Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego zamówienia. Odpowiedź MON była taka sama, jak w przypadku innych zamówień. Tajne przez poufne. Coraz częściej mam niestety poczucie, że rządzący za nasze pieniądze urządzają populistyczne *theatrum*. Rząd chwali się patriotami za 20 mld zł, ale nie dodaje, że te dwie baterie wystarczą może do osłony połowy Warszawy przed atakiem z powietrza, bo minimum w skali kraju to osiem baterii. Podobnie z artylerią rakietową Himars. Kupujemy 20 wyrzutni. Fajnie, to sprzęt światowej klasy, coś, czym można precyzyjnie ostrzeliwać cele oddalone nawet o 300 kilometrów. Ale 20 wyrzutni nie wystarczy na sensowne włączenie tego uzbrojenia w nasz system obrony.

Rumuni do obrony mniejszego obszaru zamówili 50 baterii Himars. Za to – jak twierdzą dziennikarze zajmujący się branżą zbrojeniową – abramsów chcieliśmy początkowo kupić aż 700. Amerykanie ponoć nas wyśmiali i zasugerowali obcięcie zamówienia.

W to ostatnie trudno mi uwierzyć. W interesie Stanów Zjednoczonych – kiedy już podejmą decyzję o sprzedaży danego uzbrojenia jakiemuś państwu – leży przecież maksymalizacja zysku. Przy tej transakcji zaskoczyło ich co innego. Z abramsami znów zorganizowano w Polsce polityczną pokazówkę. Do tego w nie najlepszym stylu, bo na uroczystość nie zaproszono amerykańskiego ambasadora. Nie było też żadnego przedstawiciela US Army. Wyglądało to tak, jakbyśmy z jakiegoś powodu postanowili upublicznić transakcję bez konsultacji z Waszyngtonem. A dla Amerykanów to nie tylko gesty. Sprzedając gdzieś swoje uzbrojenie, pokazują też, jak już mówiliśmy, swoje związki z tym zakątkiem globu.

Ale sam czołg się Panu podoba?

Świetna maszyna, zwłaszcza w tej wersji wyposażenia, którą zamówiliśmy. Pod pewnymi względami lepszej nie mogliśmy wybrać. Pod innymi – gorsza chociażby od niemieckiej platformy Leopard. Na przykład zużycie paliwa. W terenie abramsy zużywają go nawet dwa razy więcej niż leopardy. Nie chodzi jednak o porównywanie suchych parametrów, tylko o sposób, jak my te czołgi możemy wkomponować w struktury naszych sił zbrojnych. Bo mamy prawie 250 leopardów, z których część stanowić będzie nadal wartościowy zasób bojowy. Armia nadal eksploatuje też posowieckie czołgi platformy T, czyli głównie linię T-72 i polskie PT-91 Twardy, które są dość udanym rozwinięciem tamtej sowieckiej konstrukcji.

Dużo ich jest?

Około 230 Twardych i ze 380 sztuk T-72. I teraz dokładamy sobie do dwóch istniejących już platform technologicznych trzecią *made in USA*. A to duży kłopot. Proszę sobie wyobrazić choćby naprawy maszyn w warunkach frontowych. Z trzech zepsutych leopardów można złożyć jeden sprawny wóz. Z jednego twardego, jednego leoparda i jednego abramsa nic pan nie zmontuje. Logistyka też będzie przyprawiać kwatermistrzów o migrenę, bo zamiast pilnować dostępności części, będą musieli przeliczać na bieżąco, gdzie i ile jakich maszyn znajduje się na linii frontu.

Nie twierdzę, że to niewykonalne. Można było tego po prostu uniknąć. Sprzedać posowieckie maszyny i – zamiast amerykańskich – wybrać najnowocześniejszą wersję leoparda, który również jest świetnym czołgiem. Ewentualnie podjąć decyzję o sprzedaży wszyst-

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem i bólem żegnamy naszą Kochaną
Siostrę, Szwagierkę, Ciocię i Mamę Chrzestną

26 marca 2022 roku odeszła

Ś.† P.

Barbara Perzyna-Przymusińska

artystka plastyk

Barburko, kochałaś ludzi, przyrodę, sztukę i muzykę.
Mimo ciężkich doświadczeń miałaś serce pełne miłości i dobroci.
Będzie nam trudno żyć bez Ciebie.

SIOSTRA MARTA Z MĘŻEM JANEM
MARCIN I EWA Z RODZINAMI

Pogrzeb odbędzie się 6 kwietnia 2022 r. o godzinie 14.30
na cmentarzu Junikowo w Poznaniu.

Msza św. pogrzebowa w kościele pw. Wniebowstąpienia Pańskiego
na os. Wichrowe Wzgórze o godz. 10.45 tego samego dnia.

kich starych maszyn i zastąpieniu ich abramsami, tyle że w znacznie większej liczbie. Chyba że MON doszło do wniosku, że docelowo wystarczy nam 250 nowoczesnych czołgów z USA i pozostałe będzie sukcesywnie wycofywać z użycia. Część zadań pola walki, które spoczywają na czołgach, mogłyby faktycznie realizować bardziej uniwersalne śmigłowce uderzeniowe. Niektóre konstrukcje, choćby amerykański apache, były przecież projektowane z myślą o walce z siłami pancernymi w warunkach geograficznych Europy Środkowo-Wschodniej.

Na technologicznym horyzoncie pojawia się także robotyzacja: w niedalekiej przyszłości drużyny mogłyby składać się z jednego czołgu-dowódcy kierowanego przez ludzi i kilku maszyn sterowanych już zdalnie. Gdyby pan jednak spytał o to wszystko MON, usłyszy pan milczenie. *De facto* nie wiemy, w jakim kierunku będą się rozwijać polskie siły zmechanizowane.

Kreśli Pan pesymistyczny scenariusz, o którym często mówi się w kontekście ustawy o obronie ojczyzny: że wskutek zagrożenia wojną na wschodniej granicy wojskowi dostaną górę pieniędzy na nowe „zabawki". Ale gdy podatnicy zechcą dowiedzieć się, w jaki sposób te pieniądze będą wydawane, usłyszą, że to tajemnica wojskowa.

Żadna armia na świecie nie działa w warunkach pełnej transparentności. Jako cywile, a ja też już nim jestem, nie możemy wiedzieć wszystkiego.

> Kiedyś zakupy uzbrojenia negocjowaliśmy z wieloma krajami. **Teraz rozmawiamy niemal wyłącznie z USA** i w ten sposób utwierdzamy je niestety w przekonaniu, że nie muszą się starać.

Chodzi mi o zmarnowanie specyficznego momentu w najnowszej historii naszego kraju. Nie przypominam sobie takiego zainteresowania obronnością i równie dużego poparcia dla wojska. W budżecie niespodziewanie znalazły się pieniądze, których nigdy nie było. Mundur nagle przestał parzyć. Do terytorialsów spływa tyle aplikacji o przyjęcie, że nie wyrabiają z odpowiedziami.

Bardzo się z tego cieszę. A rozmawia pan z facetem, który całe dorosłe życie spędził w armii i zna zarówno jej blaski, jak i cienie. Ale nie mam też złudzeń, że ta atmosfera się utrzyma.

W latach 30. XX wieku budżet polskiej armii pochłaniał oficjalnie niemal 7 proc. produktu krajowego, oczywiście kosztem innych sfer życia. Wojsko było najważniejsze.

Tymczasem powinno funkcjonować raczej jak polisa ubezpieczeniowa: wydawać się niepotrzebne do czasu, aż staje się po prostu niezbędne. Z wojny w Ukrainie powinniśmy wyciągnąć wnioski. A ona uczy także, że na wojnie o niepodległość kraju walczy się nie tylko na froncie. Nawet najlepiej wyposażone wojsko musi jeść i mieć zapewnioną opiekę medyczną.

Lord Wellington mawiał, że „armia maszeruje na brzuchu", ale ta zasada nie dotyczy tylko wojska. Podczas wojny na ulicach na tyłach musi panować porządek. Cywile będą potrzebować w domach prądu i wody. Na stacjach benzynowych nie powinno brakować paliwa. Równolegle z inwestycjami w sprzęt i szkolenie powinniśmy zatem tworzyć także realne plany mobilizacyjne i organizować zespoły kryzysowe na czas wojny. Każdy z nas powinien wiedzieć, co ma robić w sytuacji konfliktu zbrojnego. Dokąd się zgłosić i czym zająć. Nawet leśnicy powinni mieć zaznaczone na mapach miejsca, w których muszą ściąć drzewa, tworząc przeszkody terenowe.

Samymi tymi działaniami wojny się oczywiście nie wygra, ale można ograniczyć chaos pierwszych dni i zmniejszyć nieuchronne szkody.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Mała i wielka litera

Ci spośród Państwa, którzy nie mieli dotychczas okazji przyjrzeć się bliżej otwartemu zwojowi Tory, być może będą tego słuchać jak bajki o żelaznym wilku. Oto np. w języku hebrajskim nie ma wielkich i małych liter – początek zdania, tytułu czy nazwa własna nie są w żaden sposób wyróżnione. Tym niemniej w zwoju, poza niektórymi znakami alfabetu tradycyjnie ozdobionymi koronkami, znajdziemy jeszcze trochę niespodzianek: litery innej wielkości niż pozostałe, o nietypowym kształcie oraz tzw. kropkowane – z towarzyszącymi im maciupkimi niby-gwiazdkami. Zgodnie z tradycją, każdy ze znaków alfabetu pojawia się w Biblii hebrajskiej jednorazowo w rozmiarze mniejszym niż pozostałe litery i jeszcze ponownie w rozmiarze większym. Wszystkie te nietypowe znaki stanowią ułamek spośród 304 805 w całej Torze, w dodatku zwój będzie uznany za koszerny (czyli nadający się do publicznego odczytywania zeń) nawet wówczas, gdy ma poszczególne litery zawsze równej wielkości i bez żadnych ozdóbek.

Łacińskie tytuły poszczególnych ksiąg Tory – a w ślad za nimi również ich polskie tłumaczenia – są jednowyrazową próbą ujęcia ich treści. Tymczasem ich nazwy hebrajskie są jeszcze odbiciem pradawnej praktyki: to ich pierwsze znaczące słowo. Księga Kapłańska nazywa się po hebrajsku „Wajikra", czyli „(I) zawołał". Kto do kogo? Najwyższy do Mojżesza z Namiotu Spotkania (Cylkow: przybytku zboru), by udzielić mu szczegółowych instrukcji dotyczących składania ofiar.

W tym pierwszym słowie nowej księgi napotykamy niespodziankę: *alef*, ostatnia litera wyrazu *wajikra*, jest zdecydowanie mniejsza od sąsiadek. To oczywiście nie do pomyślenia, by fakt ów umknął uwadze komentatorów. Dość zgodnie upatrują w nim kolejny dowód, iż „Mojżesz, jako człowiek, był skromnym bardzo, bardziej niż który człowiek na ziemi" (Lb 12, 3; Cylkow). Współcześnie parafrazując jeden z głosów z przełomu średniowiecza i renesansu: Nasz Nauczyciel unikał poklasku i świateł reflektorów, Wszechwieczny musiał go więc wywołać, by ten wkroczył na scenę.

Sudyłkowski, wnuk założyciela chasydyzmu, zauważa, że pozbawiony ego Mojżesz podchodził z pietyzmem do każdej nauki płynącej z Tory. Nic nie było dlań zbyt błahe, za bardzo oczywiste lub zanadto znajome, by nie poświęcić temu uwagi. Dzięki takiej postawie odkrył prawdziwe skarby.

Gdzie w Biblii hebrajskiej znajdziemy powiększone *alef*? W słowie otwierającym Księgę Kronik, czyli w imieniu Adama. Tu z kolei jest to wyrazem rozbuchanego ego pierwszego człowieka, który poczuł się zanadto koroną dzieła stworzenia. Mojżesz swoim małym *alef* zrównoważył pychę Adama. Albowiem można pełnić kluczową rolę w historii ludzkości, a jednak pozostać skromnym. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Dwa miecze

W Ewangelii Mateusza Jezus mówi: „Słyszeliście, że powiedziano: »Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził«. A Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. On sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych, i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych. (...) Bądźcie więc tak doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski".

Natomiast w Ewangelii Marka czytamy, że Jezus „wszedł do świątyni, zaczął z niej wyrzucać sprzedających i kupujących; powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki sprzedających gołębie, i nie pozwalał przenosić przez świątynię żadnych przedmiotów", a na koniec oświadczył: „Czy nie jest napisane: »Mój dom będzie nazwany domem modlitwy dla wszystkich narodów«? A wy uczyniliście z niego kryjówkę bandytów". Jak pogodzić te dwa opowiadania? Ten sam Jezus, który nakazywał miłość nieprzyjaciół, naraz poleca „kupić miecz". Na co uczniowie: „Panie, oto tutaj są dwa miecze. Odpowiedział im: »Wystarczy!«". Podczas aresztowania pytają Go: „Panie, czy mamy uderzyć mieczem?". I nie czekając na odpowiedź, „jeden z tych, którzy byli z Jezusem, wyciągnął rękę, dobył miecza, uderzył sługę najwyższego kapłana i odciął mu ucho. Wtedy Jezus powiedział do niego: »Schowaj miecz tam, gdzie jego miejsce, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną«".

Naszym uczonym w Piśmie wciąż trudno poradzić sobie z tym rozdźwiękiem między słowami a postępowaniem Jezusa. Dzisiaj, kiedy w Ukrainie wojska rosyjskie dopuszczają się ludobójstwa, wraca pytanie: czy jest możliwe walczyć i kochać? Leszek Kołakowski mówi, że owszem: „Walczyć i jednocześnie kochać nie jest ani niemożliwe, ani absurdalne". A ksiądz Jan Zieja: „Nam nie wolno przekroczyć granicy, a tą granicą jest fakt, że Niemiec jest człowiekiem! I nie wolno nikomu (...) godności ludzkiej w tym Niemcu poniewierać! (...) Widziałem transport jeńców pomęczonych, spoconych, pochylonych cierpieniem. Przyjeżdża pociąg, otwarte wagony, kobiety polskie rzucają przekleństwa. (...) Takich rzeczy nie wolno robić, jeśli się chce być prawdziwym człowiekiem". Prezydent Zełenski o Putinie: „Próbował siłą osiągnąć to, czego nie można. Poważny błąd. Niech mu Bóg wybaczy", choć chciałoby się powiedzieć: niech ci on będzie „jak poganin i celnik".

„Czas jest ważniejszy niż przestrzeń" – mówi papież Franciszek. Wojna w Ukrainie jest znakiem naszego czasu, czasu walki, który, jak wierzymy, nie wymknął się Bogu z rąk. W herbie Kijowa widzimy Michała Archanioła z płonącym mieczem w prawej ręce, w lewej trzyma tarczę z krzyżem – co to dzisiaj znaczy? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Autorytet

Przez cały ubiegły tydzień wraz z bohaterami Ewangelii św. Jana zmagaliśmy się z pytaniami o Jezusa. Kim On jest? Co oznaczają Jego czyny (uzdrowienie paralityka przy sadzawce Bethesda)? I słowa („Ojciec mój działa aż do tej pory, i Ja działam")? Czy to oznacza, że jest równy Ojcu? Jest Bogiem? I ostatnie: Czy On jest Chrystusem/Mesjaszem? (zob. J 7, 25-30).

Ale przecież...

Przecież wiemy, skąd On jest: z Galilei. Brrrr. Jak można w ogóle wychować się w Nazarecie? I dalej: Czy On się w ogóle gdziekolwiek uczył? Kto wie, jaką szkołę kończył? Kto zna Jego mistrzów? Jezus nie udaje, że nie słyszy pytań, które narastają wokół Niego; nie udaje też, że nie widzi – i nie czuje – zagęszczającej się wokół Niego atmosfery nienawiści („usiłujecie Mnie zabić...").

W odpowiedzi wskazuje dwa źródła swojego autorytetu. Pierwszym jest Jego relacja z Ojcem: „Nie przyszedłem sam od siebie; prawdomówny jest Ten, który Mnie posłał, którego wy nie znacie. Ja Go znam, bo od Niego jestem i On Mnie posłał".

Jezus jest w stałej, życiodajnej, a nieprzenikliwej dla zewnętrznych obserwatorów relacji z Ojcem. To pośrodku niej rodzi się Jego posłanie. Jako wydarzenie. I jako treść. Nie, Jego autorytet nie bierze się z miejsca urodzenia. Ani ze sławy szkoły, którą ukończył. Bierze się z intensywności relacji z Ojcem. To dzięki niej zna i rozumie działanie Boga, i może się w nie włączyć. I dzięki niej Jego słowo o Bogu nie jest wyuczoną „formułką" – ma w sobie siłę rzeczywistego i aktualnego świadectwa.

Drugie źródło autorytetu kryje się w zakończeniu sygnalizowanej wyżej perykopy: „Zamierzali więc Go pojmać, jednakże nikt nie podniósł na Niego ręki, ponieważ godzina Jego jeszcze nie nadeszła" (w. 30). To rodzaj Janowego refrenu, który będzie się teraz coraz częściej powtarzał w Ewangelii – zdanie podkreślające wolność Jezusowej decyzji w odniesieniu do Krzyża. Zostanie „pojmany", uwięziony i ukrzyżowany, wtedy i tylko wtedy, gdy nadejdzie Jego Godzina. Tej zaś nikt nie jest w stanie przyspieszyć. I nie wydarzy się ona bez Jego zgody. Raz po raz przekonują się o tym Jego przeciwnicy – przekonani, że już Go dopadli, i że już teraz nie wypuszczą Go z rąk. Że przyszedł Jego koniec. A On wymyka się z ich rąk, znika, oddala się itd. Po prostu nie mają nad Nim władzy. On odda życie wolnym aktem woli, nie zostanie Mu ono zabrane decyzją Jego wrogów.

A więc: intymna relacja z Ojcem; i chęć – zdolność – oddania życia za tych, do których został posłany. To są dwa źródła autorytetu Jezusa. To także wielkie skrutynium (sprawdzenie) dla tych, którzy się na Jego autorytet mają odwagę powoływać... ©

Bóg jest absolutnie wolny od wszystkich rzeczy i dlatego jest nimi wszystkimi.

MISTRZ ECKHART

Wiatr nie jest widzialny, lecz jego skutki tak. I czujemy, gdy się zbliża.

SOKRATES

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 IV)

Niedziela Palmowa: Łk 19, 28-40; Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Łk 22, 14 – 23, 56;
Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;
Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;
Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14; Ps 116; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;
Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12; Ps 31; Hbr 4, 14-16. 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;
Wielka Sobota – Wigilia Paschalna: Rdz 1, 1 – 2,2; Ps 104 lub 33; Rdz 22, 1-18; Ps 16; Wj 14, 15 – 15, 1a; Ps: Wj 15, 1b-6. 17-18; Iz 54, 4 a. 5-14; Ps 30; Iz 55, 1-11; Ps: Iż 12, 2-6; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28; Ps 42 lub 51; Rz 6, 3-11; Ps 118; Łk 24, 1-12;
Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Flp 2, 6-11; Łk 22, 14 – 23, 56.

OKSANA DRACHKOVSKA

KRAJ

ANNA TO ZAPAMIĘTA

Tysiące dzieci-uchodźców z placówek oraz rodzin zastępczych trafiło na otwarte serca i otwarte domy. Ale dla niektórych z nich Polska z Ukrainą szykują status „sierot drugiej kategorii".

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ania ma sześć lat: w tym wieku sceny z życia mogą się już mocno wryć w pamięć.

Na przykład taka. W słabym świetle widać twarze braci, sióstr i mamy. Siedzą zawinięci w koce, spod których wystają gumowe klapki. W tle odrapana ściana, na półce słoiki z ogórkami. Zimno, ale nastrój z jakiegoś powodu podniosły. Wszyscy śpiewają.

Może po latach Anna dowie się, że była wtedy w piwnicy, a piosenka nosi tytuł „Ukraina to ty"? Zresztą mama może jej to pokazać, tak jak teraz – siedząc na kanapie w bezpiecznym domu na polskim Podlasiu – pokazuje mnie: nagrane na smartfonie. I podobnie wyjaśnić powód nagrania: – Żeby w razie czego coś po nas zostało.

Jakby ktoś łamał drzewa

Sześcioletnia Ania to najmłodsze z siedmiorga dzieci pod opieką Larysy – reszta to już nastolatki. Są rodziną zastępczą z Irpienia pod Kijowem.

Larysa zapamiętała swoje skojarzenie z pierwszych dni: – Lecące nad domem pociski dawały dziwny dźwięk. Jakby ktoś łamał drzewa albo gałęzie.

Z początku nie przyszło jej do głowy, by uciekać. Szła spać i myślała: jutro będzie lepiej. Ale w pierwszych dniach marca (to wtedy świat obiegają obrazy wysadzonego irpieńskiego mostu i ewakuujących się ludzi) spędzają już niemal każdą minutę w piwnicy. Larysa tylko czasem wymyka się na górne kondygnacje ich domu, by przynieść jedzenie.

Ta scena, z 5 marca, też nadaje się na dożywotni zapis w głowie sześciolatki: wybuch nieopodal ich podwórka wyrywa z zawiasów drzwi i okna.

Wsiadają w pozostawiony przez sąsiadów samochód (oni sami ewakuowali się pociągiem) – tego dnia wieść niesie, że Rosjanie weszli do nieodległej Buczy. Do Irpienia wkroczą, gdy Larysa będzie już w drodze.

– Co zabraliśmy? – powtarza zadane pytanie, podnosi się energicznie z kanapy i wskazuje na czarny plecaczek leżący w pokoju, w którym rozmawiamy. – Bieliznę, najpotrzebniejsze rzeczy.

– Ja zabrałam jeszcze dwa aparaty do mierzenia ciśnienia. Nie pytaj, dlaczego dwa – to jeden z niewielu momentów, gdy na beznamiętnej twarzy Larysy pojawia się uśmiech. – Tak, mam nadciśnienie, ale przecież jeden by wystarczył. Moja mama, która została po tamtej stronie, też na to cierpi, więc może podświadomie zabrałam aparat dla niej? Wzięłam też ikonę mojej prababci, z Matką Boską i dzieciątkiem. Psa też zabraliśmy. I ciężarną kotkę, którą zostawiła sąsiadka, bo w chwili ucieczki nie mogła tej kotki znaleźć. Teraz mamy cztery małe, urodziły się już w Chmielnickim.

Dotarcie do tego miasta, położonego mniej więcej w połowie drogi do Lwowa, zabiera zwykle kilka godzin – Larysie z całą gromadką dzieci schodzą na to niemal dwie doby (śpią w samochodzie). W Chmielnickim spędzają kilka dni – tu dostają sygnał, że w Polsce będzie się miał kto nimi zaopiekować.

Na granicy mają dwie nieudane próby przejścia do Polski. Dwie noce śpią po ukraińskiej stronie – na szkolnym korytarzu (w klasach nie ma gdzie wetknąć nawet szpilki). Ktoś radzi, by wrócili do Lwowa i wsiedli w pociąg. Dostają się do Przemyśla, stąd odbiera ich bus podstawiony przez organizacje: Koalicję na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej i działające w Białej Podlaskiej Stowarzyszenie Rodzicielstwa Zastępczego „Jedno Serce" Edyty i Jarosława Wojtasińskich.

Dzieci czyjeś

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej (MRiPS) szacuje, że połowa obecnych w Polsce 2,3 mln ukraińskich uchodźców to dzieci. Ile jest bez rodziców, nie wiadomo. Na pewno nie mniej niż kilka tysięcy. Resort podaje, że tylko przez punkt wytchnieniowo-koordynacyjny w Stalowej Woli – to jedyne takie centrum pomocy grupom z ukraińskich sierocińców – przeszło 1400 dzieci. Tyle samo ewakuowała organizacja Happy Kids, gdy stalowowolskie centrum jeszcze nie istniało.

To dzieci z Odessy, Równego, Mariupola, Jarek czy Chmielnickiego. – Były w piwnicach, słyszały wybuchy – opowiada prezes Happy Kids Aleksander Kartasiński. – Wyjeżdżały nagle. Jakieś cierpiące psychicznie dziecko nie wzięło leków, jego stan się gwałtownie pogorszył. Rodzice biologiczni niektórych stracili dawno prawa rodzicielskie, ale inni mają w Ukrainie mamę i tatę, tylko z ograniczonymi prawami. Mogło się zdarzyć, że ↦

Oksana Drachkovska „Save Mariupol", marzec 2022 r.

↦ dziecko w jeden dzień zostało odebrane interwencyjnie mamie nadużywającej alkoholu, a nazajutrz było ewakuowane.

Do liczby mieszkańców placówek dodać trzeba rodziny zastępcze (samo Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce ściągnęło do Polski i pomogło ponad czterystu). Jak ta Larysy, czy też inna rodzina – Olgi, z piętnastką dzieci. Nimi też zaopiekowała się Edyta i Jarosław Wojtasińscy.

– Uciekli przed bombami do innego mieszkania, a ona, żeby móc wyjechać, musiała wrócić do domu po dokumenty dzieci. Udało im się wsiąść do pociągu. Proszę to sobie wyobrazić: dwie doby podróży, piętnastka dzieci, w tym malutkie i jedno z autyzmem... Wtedy mieliśmy już ze sobą kontakt, więc dostawaliśmy SMS-y: najpierw, że skończyło im się jedzenie, później: „Nie mamy wody" – opowiada Edyta Wojtasińska, gdy spotykam się z nią i Larysą we wsi Żabce (powiat bialski, woj. lubelskie). Tu Wojtasińscy prowadzą rodzinny dom dziecka, tu też jest siedziba ich stowarzyszenia.

Jest jeszcze trzecia grupa dzieci. Tych, które przekroczyły granicę bez opiekunów prawnych – w towarzystwie dziadków, cioć, sąsiadów, znajomych rodziców. A nawet same.

Minister Barbara Socha, podsekretarz stanu w MRiPS, mówi, że takie dzieci odnajdują się codziennie: – Na dworzec w Chełmie wjechał pociąg, z którego wysiadły trzy siostry: 10-letnie bliźniaczki i 13-latka. Miały jechać z babcią, ale gdzieś się zgubiła i została w Kijowie. Najstarsza dziewczynka była tak zestresowana, że sprawiała wrażenie odciętej od rzeczywistości. Ale gdy udało się dodzwonić do babci, dziewczynki się wyluzowały. Opowiedziały nam np., że zapamiętały czteroletniego chłopca, który jechał z nimi zupełnie sam. I rzeczywiście, taki chłopiec też do Stalowej Woli trafił. Tylko że informacje w jego dokumentacji urywają się rok przed wojną – wiemy, że kilka lat temu zmarła jego mama, wiemy, że trafił do rodziny zastępczej, a potem jest biała plama... Babcia, która dołączyła do wnuczek, zostanie ich opiekunem tymczasowym.

Instytucja opieki tymczasowej, wpisana do ustawy specjalnej o pomocy Ukraińcom, daje możliwość reprezentowania prawnego: zapisania dziecka do szkoły, pójścia z nim do lekarza, dostępu do świadczeń, np. 500 plus. Resort rodziny stworzył też rejestr, do którego dzieci z pieczy zastępczej oraz dzieci bez opieki będą trafiać m.in. za pośrednictwem powiatów.

Ale żaden z tych mechanizmów nie pozwoli wychwycić dzieci bez opieki. Są poza radarami państwa, narażone – o czym organizacje takie jak UNICEF mówią coraz głośniej – na handel ludźmi czy nielegalną adopcję. Takich bezprizornych (termin z czasów sowieckich, oznaczający dzieci pozostawione bez opieki) z Ukrainy UNICEF naliczył w Rumunii pięćset – tylko do 17 marca. U nas to na razie niemożliwe: tzw. *blue dots*, czyli punkty blisko granicy, gdzie mają być identyfikowane takie dzieci, dopiero się tworzą.

Powrót do lat 50.

Jakie sceny Ania zapamiętała ze swojego wcześniejszego życia – tego z biologiczną matką? O to nie ma sensu Larysy pytać. Po pierwsze, mogła nie zapamiętać nic. Po drugie, odpowiedź byłaby przewidywalna: nigdzie na świecie dzieci nie idą do obcych ludzi z błahych powodów.

Ale i tak wygrała los na loterii. Ma rodzinę (trafiła do Larysy przed wojną, najpóźniej z jej siedmiorga dzieci). Los, bo w Ukrainie tzw. rodzinna piecza stanowi mniejszość. Aż sto tysięcy dzieci mieszka w sierocińcach, większość to molochy.

Tomasz Polkowski, prezes Fundacji Dziecko i Rodzina, kilka lat temu był w Ukrainie jako konsultant zmian tamtejszej pieczy zastępczej: – Widziałem domy nawet na 400 mieszkańców. Przy czym toalety z dziesięcioma dziurami zamiast muszli czy wieloosobowe sale to nie najgorsze rzeczy. Chodzi o brak więzi z opiekunami. Dla mnie to było cofnięcie się do lat 40. czy 50., gdy powojennym sierotom oferowano w zasadzie tylko jedzenie i dach nad głową. Teraz w Ukrainie jest coraz więcej rodzin zastępczych, ale ten ruch się dopiero rozwija.

– Możemy zobaczyć, co się w Polsce stało dzięki temu, że Unia Europejska wymusiła na nas wyższe standardy praw dziecka – mówi Anna Krawczak, członkini Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. – W Polsce dzieci z niepełnosprawnością, nawet te z placówek, mają ograniczony, ale jednak dostęp do rehabilitacji, edukacji, leczenia. W Ukrainie takie dzieci są zwykle leżące, te trzy elementy zaś albo w ogóle nie istnieją, albo istnieją tylko na papierze.

Podobne różnice widzą łódzcy urzędnicy. Miasto przyjęło ponad 80 podopiecznych z ukraińskich domów dziecka i zakwaterowało ich z dziećmi polskimi w budynkach starych placówek (nowe, przystosowane do zgodnych z ustawą 14-osobowych grup, nie są jeszcze gotowe).

– Potrzeby zdrowotne są dramatyczne – mówi Agnieszka Polkowska z Fundacji Dziecko i Rodzina, którą miasto poprosiło o pomoc w organizacji pieczy dla ukraińskich dzieci. Gdy się łączymy, w tle słyszę gwar i podchodzące co rusz w pobliże telefonu dzieci, którym coś trzeba odpowiedzieć („*Pażałsta, ja pridu, piać minut*"). – Prawie każde ma próchnicę, niektórym lekarze naprawiali cztery, pięć zębów naraz. Są też deficyty emocjonalne: dorosły to dla nich nie jest ktoś, do kogo można podejść, pogadać, przytulić się. Nadrabiamy to. Mamy też dzieci ulicy: zgarnięte przez służby przed wojną, po jej wybuchu ewakuowane.

– Rzadko, ale zdarzają się dzieci zagrażające innym – dodaje Tomasz Polkowski. – Nikt tego za bardzo nie przewidział, bo może wszyscy myśleliśmy odruchowo: „Przyjadą ukraińskie dzieciaczki i padną z wdzięczności na kolana". A bywa, że to młodzi ludzie z nieodwracalnymi uszkodzeniami w psychice, na które dodatkowo nałożyła się wojna.

Już nie jestem „jedna"

Być może Ania, córeczka Larysy, zapamięta też inną scenę.

Jest bardzo zmęczona, od ośmiu dni w drodze. Bus, którym teraz akurat jedzie, parkuje na podwórku przed wielkim domem. W progu rządek uśmiechniętych dzieci – w sumie kilkanaścioro.

– Był późny wieczór, nasze dzieci czekały już trzecią dobę, więc pozwoliliśmy się im nie kłaść spać. Kiedy dotarła Larysa z dziećmi, rzuciliśmy się sobie w ramiona. Niby zobaczyliśmy się po raz pierwszy, ale przecież żyliśmy ich życiem przez osiem dni. Martwiliśmy się, płakaliśmy z bezsilności, potem się cieszyliśmy – opowiada Edyta Wojtasińska.

– Od razu czułam, że przyjechałam do rodziny – wtrąca Larysa.

– I szybko się okazało, że dzieci się dogadają, że dla nich nie ma barier. Starsze po angielsku, młodsze po mieszanemu i na migi. Ja z Larysą też. Ledwo zacznę, a ona mówi, że rozumie...

– Rozumiem – śmieje się.

– Jest silna. Raz powiedziała, że po tych wszystkich strasznych rzeczach ma do

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Dzieci z Ukrainy na Dworcu Głównym w Krakowie, marzec 2022 r.

wyboru: rozpaść się jeszcze bardziej na kawałki albo skupić się na sklejaniu.

– Silna jestem tu, bo mam wokół siebie silnych ludzi. Jest u nas takie powiedzenie: jeden w polu to jeszcze nie wojownik. Ja już nie jestem „jedna".

Larysa z dziećmi mieszka w wynajętym przez stowarzyszenie mieszkaniu. Podobnie jak kilka innych rodzin, którym pomaga Koalicja, Jedno Serce i darczyńcy.

Jak za Ceaușescu

Po półtora miesiąca od wybuchu wojny coraz głośniej słychać pytanie: czy znajdowane dla ukraińskich dzieci *ad hoc* miejsca zakwaterowania są odpowiednie? Chodzi o centra wypoczynkowe, hotele, zwykle z dala od dużych miast. W niektórych – jak w należącym do Fundacji Polsat Centrum Konferencyjno-Szkoleniowym Ossa w Rawie Mazowieckiej – skoszarowano ponad sześćset dzieci.

– Był moment, że miały jedzenie oraz dach, ale w sensie wychowawczym zostały niemal same. Aż do momentu, gdy nieliczna kadra została wsparta przez służby wojewody. Jestem wdzięczna fundacjom za pomoc, ale te dzieci na dłuższą metę nie mogą przebywać w takim miejscu – mówi minister Socha.

Prezes Happy Kids odbija piłeczkę – ewakuacja odbywała się w warunkach kryzysu, a dzieci mieszkające w Rawie do maja uczą się zdalnie w ramach ukraińskiego systemu edukacji. – Przenoszenie ich teraz nie ma sensu, zresztą do relokacji potrzebne jest porozumienie naszego rządu z ukraińskim – mówi Aleksander Kartasiński.

Na pewno tak duże skupisko dzieci w jednym miejscu to zapowiedź problemów. – Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co tam może się po dłuższym czasie wspólnego pobytu dziać, jakie wewnętrzne reguły mogą dojść do głosu. W takich miejscach nadużycia i przemoc to zjawiska nieuchronne – mówi Tomasz Polkowski.

I dodaje, że ma mieszane uczucia także w sprawie innych lokalizacji: – W ośrodku w Ustce jest 150 malutkich dzieci. Powiat oddał całe serce, przygotował budynek, ośrodek jest piękny. Tylko że na dłuższą metę to nie jest dobre miejsce. W dużych ośrodkach jest więcej pediatrów, dentystów, psychiatrów. Tu nie ma nawet ułamka zasobów, jakimi dysponujemy w większych miastach.

Ale najważniejsze pytanie brzmi: czy mamy odtwarzać jeden do jednego ukraińskie instytucje, czy adaptować przyjezdne dzieci do warunków polskich?

– Zdecydowanie to pierwsze. My nie jesteśmy od reformowania ukraińskiej pieczy zastępczej. Nie licząc dzieci, które przyjeżdżają do nas bez opieki, Ukraińcy nie życzą sobie umieszczania swoich nieletnich obywateli w rodzinach zastępczych – mówi wiceminister Socha, choć nie wyklucza, że za kilka tygodni bądź miesięcy strona ukraińska da się namówić na ustępstwa w tej sprawie.

Działacze NGO chcą jednak działań już. W przeciwnym wypadku – mówią – fundujemy dzieciom instytucjonalne getta i status „sierot drugiej kategorii".

– Stosujemy podwójne standardy – komentuje Joanna Luberadzka-Gruca z Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej. – Ukraińskie rodziny zastępcze, które do nas przyjeżdżają, tak jakby przestają nimi być, skoro wymagamy od nich uzyskania statusu opiekuna tymczasowego. A domy dziecka przenosimy jeden do jednego. Nie rozumiem też, dlaczego traktujemy dzieci ukraińskie gorzej niż nasze. Skoro chwalimy się transformacją naszego systemu, to niech oni też z tego skorzystają. Jeśli tak się nie stanie, to weźmiemy na siebie odpowiedzialność za wszystkie problemy, które te dzieci będą miały za dziesięć, piętnaście lat.

– Jak patrzę na te trzyletnie dzieci, to jestem przerażona – dodaje Agnieszka Polkowska. – Widać u nich zaburzenia więzi, spustoszenia wywołane życiem w molochu. Każdy dzień pobytu w tak dużej grupie to pogłębianie krzywdy.

– Jeśli tak pozostanie, to na terenie Polski będziemy odtwarzać placówki bliższe rumuńskim sierocińcom ery Ceaușescu niż temu, co udało nam się przez ostatnie lata wypracować – mówi z kolei Anna Krawczak. Badaczka napisała na Facebooku, że w imię świętego spokoju Polska zawiesza na swoim terytorium prawa dziecka. „Nie wiem, czy uda się nam wywalczyć opiekę rodzinną dla niemowląt z Ukrainy i podzielenie olbrzymich grup na mniejsze – dodawała Krawczak – ale przynajmniej krzyczmy o tym, że to, co robimy tym dzieciom, jest skurwysyństwem opakowanym w pustosłowie".

Nikt nie usłyszy „nie"

Może i to zapamięta sześcioletnia Ania? Wielki, dobrze oświetlony salon domu, gwar i pisk, zwierzęta plątające się pod nogami dzieci, których teraz jest ponad dwudziestka. Jedni rozmawiają, inni grają w minibilard. Za moment będzie niedzielny obiad, na który rodzina Wojtasińskich zaprosiła Larysę z dziećmi.

Larysa: – Miałam możliwość jechać na zachód. Nie chcę: tu się czuję jak u siebie.

Edyta Wojtasińska: – Larysa, Olga zostaną tak długo, jak będzie trzeba. Nie mam pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale jedno wiem. Żaden rodzic zastępczy, który zadzwoni do nas w dzień czy w nocy, że boi się o dzieci i chce przyjechać, nie usłyszy w słuchawce: „nie".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Za pomoc w tłumaczeniu opowieści Larysy dziękuję Katerynie Stashuk.

Stowarzyszenie Rodzicielstwa Zastępczego „Jedno Serce" można wesprzeć wpłacając datki na konto:
29 0825 0007 0029 6403 2000 0010
z dopiskiem: „Na pomoc dzieciom i rodzinom z Ukrainy".

Wszyscy wiemy, dokąd one jadą

MAŁGORZATA SZADKOWSKA, PREZESKA COMPASSION POLSKA:

Problem transportu żywych zwierząt znany jest od dekad, i to jest najstraszniejsze. Napisaliśmy niezliczoną liczbę raportów, mamy zdjęcia, dowody. I nic się nie zmienia.

BARTOSZ RUMIEŃCZYK: Ile zwierząt jedzie rocznie na rzeź?

MAŁGORZATA SZADKOWSKA: Skala jest olbrzymia – ponad dwa miliardy. To liczba odpowiadająca jednej trzeciej ludzi na Ziemi. Najwięcej transportujemy kurczaków, bo aż 1,8 mld. Jadą też miliony innych zwierząt: 44 mln świń, 14 mln owiec, 11,5 mln krów i cieląt, 4,5 mln kóz, 4 mln królików oraz 250 tys. koni. W sumie państwa Unii Europejskiej decydują o ponad 73 proc. światowych przewozów zwierząt. Te liczby pokazują, że mamy olbrzymią nadprodukcję, która napędza zapotrzebowanie na mięso na całym świecie. Kraje rozwijające się chcą go jeść coraz więcej, bo wreszcie mogą sobie na to pozwolić.

Zostawmy na chwilę eksport, bo 90 proc. transportu zwierząt odbywa się wewnątrz kraju. Przeglądam teraz zdjęcia z Waszych raportów oraz śledztw i jedno pytanie ciśnie się na usta: po co my w ogóle te zwierzęta tak męczymy?

Kiedyś zwierzęta hodowano w inny sposób – dominował chów gospodarski, który pozwalał na prowadzenie uboju w miejscu tuczu. Ale wraz z rewolucją przemysłową hodowla zwierząt zaczęła się rozrastać. To paradoks, bo z jednej strony wynalezienie silnika spalinowego odciążyło zwierzęta gospodarskie, a z drugiej zapędziło je za zamknięte mury hodowli przemysłowej oraz pozwoliło na transportowanie na duże odległości. I tak tradycyjny chów z przepędzaniem zwierząt na krótkie odległości się skończył. Dziś raczej nie zabija się zwierząt na miejscu, bo bardziej opłaca się je przewieźć do ubojni.

Jak wygląda transport kurczaków?

Mówiąc o kurczakach, tak naprawdę mówimy o specjalnie wyhodowanej przez człowieka rasie drobiu: o przerośniętych mięśniach klatki piersiowej i pełnej masie osiąganej w zaledwie sześć tygodni. To ptaki hodowane w systemie zamkniętym, w halach, które po sześciu tygodniach są opróżniane. Wtedy kurczaki się wyłapuje, ładuje do klatek, a następnie na ciężarówki. Ten moment to pierwszy i ostatni kontakt zwierząt ze światem zewnętrznym. Wtedy też zwierzęta doznają najwięcej urazów – nawet 25 proc. transportu. Pamiętam wypowiedzi kierowców, którzy przyznawali, że musieli upychać łebki lub łapki zwierząt stłoczonych w klatkach, bo wystawały na zewnątrz. W jednym transporcie może pojechać nawet 3 tys. ptaków.

Jak długo trwa transport do ubojni?

Kurczaki jadą kilka godzin, jeśli nie ma postojów po drodze. Ale ważne są też warunki. Według unijnego rozporządzenia nie powinny być transportowane w temperaturze powyżej 30 stopni. Wiemy jednak z różnych śledztw, że tak się dzieje. Sami kierowcy mówią, że auta bywają źle wentylowane, więc podczas postojów w upale ptaki niemal się gotują. Tak jest w Polsce, a gdy wyjeżdżają poza nasz kraj – pokonują często wielogodzinne trasy. Znamy przypadki, gdy zwierzęta były transportowane nawet przez siedem dni. Wykazano takie zdarzenia np. w raporcie dokumentującym transporty z UE do Turcji, który jest efektem pięcioletniego śledztwa różnych organizacji pozarządowych, które wspieraliśmy jako Compassion.

Mówi Pani o przypadkach i sami hodowcy przyznają: przypadki się zdarzają, ale mówią też, że robią wszystko, aby było ich jak najmniej. Przecież nie opłaca im się zmarnować całego transportu drobiu.

Jeżeli faktycznie byłyby to tylko przypadki, nie mielibyśmy tylu raportów wykazujących nieprawidłowości i nie powstałaby komisja śledcza ds. ochrony zwierząt podczas transportu, powołana przez Parlament Europejski w 2020 r. No i wreszcie sama Komisja Europejska nie zastanawiałaby się nad zmianą przepisów, co właśnie się dzieje. Na gruncie krajowym mieliśmy też obszerny raport NIK z lat 2014-2016. Podobne problemy opisuje od lat Inspekcja Transportu Drogowego i Inspekcja Weterynarii.

W raporcie, który Pani przywołuje, NIK wykazał nieprawidłowości na poziomie zaledwie jednego procenta, podobnie wyglądają raporty ITD czy IW.

Ten procent ma znaczenie – w Polsce przewozimy rocznie 74 mln kurczaków, więc nieprawidłowości dotyczą ponad 700 tys. żywych ptaków. Trzeba też zauważyć, że raporty NIK czy ITD nie skupiają się na dobrostanie zwierząt. Sama ITD przyznaje, że interesuje ją głównie stan techniczny pojazdu, bezpieczeństwo na drodze oraz bezpieczeństwo kierowcy. Poza tym spora część transportów zwierząt odbywa się w nocy, gdy w punktach kontrolnych nie ma ekspertów, bo zwyczajnie brakuje ludzi do pracy. Jest więc spory rozdźwięk między danymi spływającymi ze śledztw organizacji pozarządowych a danymi z raportów NIK, ITD czy IW. My mamy niezbite dowody, np. zdjęcia z ciężarówek, w których termometry wskazują po 40 stopni, w których brakuje poideł, a zwierzęta są zaklinowane. Takie transporty nie powinny w ogóle wyjechać na drogę. Proszę też pamiętać, że gdy mówimy o dobrostanie zwierząt, to nie mamy na myśli tylko tych, które padły, ale także te zranione. A rany pojawiają się już na etapie załadunku, gdy kurczaki są brutalnie łapane, a kopytne pędzone po śliskich kładkach, na których łamią nogi.

Przepisy zabraniają poślizgowych ramp, zakazane jest mieszanie płci czy też zwierząt pochodzących z różnych hodowli, by zminimalizować ryzyko wzajemnych okaleczeń. Obowiązuje

DAWID CHALIMONIUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Targ koni w Skaryszewie, marzec 2012 r.

zresztą nie tylko prawo krajowe, ale i wyśrubowane normy unijne. A weterynarze mówią: najlepiej byłoby tych transportów unikać, ale skoro już są konieczne, to należy je wykonywać zgodnie z przepisami, bo te dobrze chronią dobrostan zwierząt. Czyli nie jest tak źle.

Skupiłabym się na tym, że sami weterynarze mówią o unikaniu transportów, jeśli zaś chodzi o przepisy, to one zostały sporządzone na podstawie wiedzy naukowej sprzed niemal 20 lat. Mówię o dokumencie Rady Europejskiej 1/2005. Przez te dwie dekady nie tylko zobaczyliśmy, że prawo jest łamane i niedoskonałe, ale przede wszystkim, że jest nieadekwatne. Dziś już wiemy, że np. ptaki to inteligentne stworzenia, które odczuwają strach i ból. Warto też zauważyć, że 20 lat temu nie transportowaliśmy aż tak olbrzymiej liczby ptaków.

To może lepsza byłaby reforma prawa, a nie rewolucja, czyli zakaz transportu.

Zakaz eksportu poza Unię Europejską, zakaz transportu powyżej ośmiu godzin w obrębie UE i zakaz transportu nieodsadzonych zwierząt – czyli odebranych od matek – to nie jest rewolucja. To na początek dostosowanie prawa do aktualnej wiedzy na temat zwierząt.

Dlaczego chcecie zakazać transportu zwierząt poza Unię Europejską?

Ponieważ prawo unijne nie chroni zwierząt, które są eksportowane. W marcu zeszłego roku apelowaliśmy o ratunek dla zwierząt uwięzionych na dwóch statkach w drodze z Hiszpanii do Turcji. Z uwagi na podejrzenie występowania choroby niebieskiego języka, znanej też jako pryszczyca rzekoma, zwierzęta nie zostały wpuszczone do portu. Na jednym statku znajdowało się 900, a na drugim 1800 krów. Wychudzone po dwóch miesiącach niewoli, stojące po kolana w odchodach, zwierzęta ostatecznie zostały zabite.

Zerknijmy też na to, co się działo w latach pandemicznych. Podobne problemy mieliśmy przy polskich granicach, gdzie transporty ze zwierzętami stały w korkach po 70-80 km. Nawet Straż Graniczna apelowała, by je przepuszczać, bo umierały. To pokazało nam jasno, że prawo unijne nie działa.

Czas pandemii był jednak wyjątkowy. Trudno oczekiwać, byśmy mieli gotowe przepisy na każdą ewentualność.

W sytuacji, gdy tworzą się korki na granicach, należało transporty zwierząt po prostu wstrzymać, dopóki sytuacja pandemiczna się nie unormuje. Apelowaliśmy o to wielokrotnie i pytaliśmy: dlaczego wydajemy pozwolenia na takie transporty?

Żeby za wszelką cenę ratować łańcuchy dostaw i tym samym gospodarkę.

Tyle że transport zagraniczny zwierząt, przynajmniej z Polski, nie jest kluczową gałęzią gospodarki. Nie ucierpielibyśmy, gdybyśmy nie wyeksportowali czy nie zaimportowali tych zwierząt. Nie ucierpielibyśmy nawet, jeślibyśmy ich nie wyhodowali. Prawda jest taka, że nas po prostu stać na to, by nie szanować zwierząt, zwierzęta hodowlane nie mają większej wartości. Gdyby na pokładzie statków, o których mówiłam, była partia iPhone'ów – na pewno znaleźlibyśmy sposób, by ładunek zabrać na ląd.

Nie patrzymy na dobrostan zwierząt, ale i nie patrzymy na koszty środowiskowe, które płacimy wszyscy: na zanieczyszczone powietrze, glebę, wody gruntowe. Liczy się zysk i nic więcej. A gdy transport opuści teren UE, nie mamy w ogóle wpływu na to, co się z nim dzieje. Dlatego w 2015 r. Europejski Trybunał Sprawiedliwości wydał orzeczenie mówiące, że każde państwo członkowskie wysyłające zwierzęta poza UE musi zapewnić utrzymanie dobrostanu na całej trasie przejazdu, także poza UE. Orzeczenie wydano po tym, jak rząd Niemiec nie zgodził się na wysyłkę zwierząt do Uzbekistanu.

Dlaczego to zrobił?

Bo trasa miała trwać aż dziesięć dni. Jest to bardzo ważne orzeczenie, bo daje podstawę prawną, by zakazać eksportu zwierząt poza Unię.

Jakich zakazów jeszcze się domagacie?

Mówimy o zakazie transportu źrebiąt, cieląt i prosiąt. Mówimy o zakazie transportu samic, jeśli są w zaawansowanej ↦

↦ ciąży. Mówimy o obniżeniu maksymalnej temperatury transportu do 25 stopni – dziś to 30 stopni. Chcemy też ograniczenia czasu transportu wewnątrz UE do ośmiu godzin, a do czterech dla drobiu i królików, czyli tych najmniejszych zwierząt. Postulujemy przy tym utworzenie listy lekarzy weterynarii, którzy będą zawsze dostępni w punktach kontroli.

Czyli nie chodzi Wam o całkowity zakaz?

Docelowo transportu należy zakazać całkowicie, a dopuścić jedynie transportowanie nie żywych zwierząt, ale mięsa i materiału genetycznego – dopóki to mięso będziemy produkować.

No i to już jest rewolucja. Wymuszenie głębokiej reformy na całej branży mięsnej.

I tu wracamy do punktu wyjścia, czyli współczesnej produkcji mięsa oraz tego, jak źle zorganizowane jest współczesne rolnictwo. Wiem, że nie wszystkim może się podobać to, co mówię – bo reprezentuję organizację prozwierzęcą – ale sam Janusz Wojciechowski, komisarz europejski ds. rozwoju rolnictwa i wsi, mówi o konieczności zmian i przyznaje, że popełniliśmy błąd. Olbrzymie dotacje i subsydia dla rolników *de facto* dopompowały przemysłowe hodowle i pozwoliły na ich nienaturalny rozrost, bo system nie był doskonały, o czym dziś wszyscy wiedzą.

Tak naprawdę wszyscy finansujemy przemysłową hodowlę zwierząt – nawet osoby niejedzące mięsa, często do szpiku kości niezgadzające się z taką formą chowu.

Dostajemy rocznie kilkadziesiąt miliardów euro na produkcję jakościowej, bogatej w składniki odżywcze i zdrowej żywności – czyli na wzmocnienie i transformację polskiego rolnictwa. Tymczasem sama walka z ptasią grypą pochłania co roku 700 mln złotych, a 400 mln idzie na dofinansowanie hodowli świń, czyli na podtrzymanie tego przemysłu, bo nie o żadną reformę tu chodzi. A potem słyszę, że nie ma pieniędzy na transformację np. w stronę hodowli bezklatkowej.

ARCHIWUM M. SZADKOWSKIEJ

MAŁGORZATA SZADKOWSKA jest prezeską polskiego oddziału Compassion in World Farming. Jedna ze stu najbardziej wpływowych Kobiet 2021 roku według polskiej edycji „Forbes Women", absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu w Granadzie, posiada certyfikat Animal Welfare Science, Ethics and Law Uniwersytetu w Cambridge.

Skoro mówimy już o zakazie hodowli klatkowej – ta inicjatywa również zaczęła się od zebrania podpisów.

Koniec Epoki Klatkowej to kontynentalna inicjatywa obywatelska, która wymusza na Komisji Europejskiej odpowiedź. I ta odpowiedź jest pozytywna, teraz czekamy na konkretne rozwiązania. Jeśli chodzi natomiast o sam transport, na razie złożyliśmy petycję z ponad 900 tys. podpisów – i jest to prośba, aby pochylić się nad tymi głosami. Działamy więc w trochę inny sposób. Petycja trafiła już do europosłów i komisarzy, teraz czekamy na odpowiedź.

Ale mamy też za sobą konkretne sukcesy. W Luksemburgu od początku marca obowiązuje zakaz eksportu żywych zwierząt do krajów trzecich. To pierwszy europejski kraj, który się na to zdecydował, a tamtejszy minister rolnictwa skomentował własną decyzję jako przykład dla całej Europy. Także Wielka Brytania może niedługo zakazać eksportu zwierząt – ustawa jest już po drugim czytaniu. Z kolei Nowa Zelandia zakazała transportu zwierząt drogą morską, po tym jak w 2020 r. doszło do katastrofy i zatonięcia statku z 6 tys. sztuk bydła. Powiedzieli jasno, że chodzi o dobrostan zwierząt – uważają też, że ważniejsza jest reputacja kraju niż rachunek ekonomiczny.

Również w UE trwa dziś rewizja prawa dotyczącego zwierząt, więc mam nadzieję, że Komisja Europejska zadziała odważnie.

Kiedy mogłoby to nastąpić?

Nowe przepisy mają pojawić się do końca 2023 r. – oczywiście z okresem przejściowym. Wtedy także mają pojawić się konkretne propozycje dotyczące Końca Epoki Klatkowej. Życzyłabym sobie, by do tego czasu wprowadzono nowe przepisy o transporcie zwierząt.

A jakie są polityczne nastroje wokół zakazu transportu zwierząt?

Tu jest już mniej optymistycznie, co pokazało choćby ostatnie głosowanie, z połowy stycznia, nad wytycznymi, które przyszły z komisji śledczej ds. ochrony zwierząt podczas transportu. Rekomendacje podczas prac zostały przez europosłów rozwodnione i wersja końcowa tak naprawdę niewiele zmienia los zwierząt. To nie jest dobra informacja, bo pokazuje, że nie ma woli politycznej wprowadzenia zmian i że politycy znowu uginają się pod naciskami lobby przemysłu mięsnego.

Mimo olbrzymiej presji społecznej.

To prawda. Zebraliśmy 900 tys. podpisów, a to nie jest pierwsza petycja. Transporty zwierząt budzą wielki opór i wielkie emocje, gdyż mijamy je w drodze albo stoimy za nimi w korku. To jedna z nielicznych okazji, w których mamy kontakt z hodowlą przemysłową. Widzimy jeszcze żywe, cierpiące zwierzęta. I chyba nikt z nas nie ma złudzeń, dokąd one jadą.

© Rozmawiał BARTOSZ RUMIEŃCZYK

RDC POLSKIE RADIO

ADAM ROBIŃSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o naturze widzianej oczami młodych, zafascynowanych nią przyrodników (czytaj na s. 86). Słuchaj rozmowy w Polskim Radiu RDC w środę 6 kwietnia o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

NA STRONIE INTERNETOWEJ „Tygodnika Powszechnego” opublikowaliśmy 21 marca reportaż „Językoznawca” (powszech.net/jezykoznawca), a jego poszerzoną wersję w ostatnim wydaniu „TP”. Bohaterki artykułu to sześć z siedmiu kobiet, które w kwietniu 2021 r. złożyły wspólną skargę do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji Uniwersytetu Warszawskiego. Oskarżyły one znanego językoznawcę z UW o molestowanie seksualne. Nam udało się dotrzeć również do kilku innych kobiet, które doznały podobnych krzywd od naukowca. Wśród poszkodowanych są zarówno byłe, jak i obecne studentki, a także doktorantki oraz wykładowczynie.

ANNA, jedna z pokrzywdzonych:
– Pojechałyśmy z dwiema innymi doktorantkami na konferencję naukową. Po obradach i kolacji poszłam do swojego pokoju. Profesor wyszedł za mną, dogonił mnie na schodach. Chciał, żebym poszła z nim do jego pokoju. Powiedziałam, że nie chcę. Złapał mnie za przegub ręki, zaczął ciągnąć. Opierałam się. Wszystko działo się na klatce schodowej, więc bałam się, że ktoś zobaczy, jak się szarpię z profesorem. Wciągnął mnie do swojego pokoju, kazał usiąść na tapczanie. Przewrócił mnie na łóżko, położył się w ubraniu na mnie, zaczął obcałowywać po twarzy, po szyi, mówić, że jestem wspaniała, cudowna, piękna. Nie pamiętam, jak udało mi się wyjść spod niego.

Z RELACJI KOBIET wynika, że profesor molestował je seksualnie, używając siły fizycznej w czasie oficjalnych seminariów oraz indywidualnych konsultacji. Kobiety opisują, że były sadzane siłą na kolanach profesora, dotykane w miejsca intymne, natarczywie całowane. Jedna z nich przyznaje, że profesor onanizował się w jej obecności. Najstarsza z opisywanych historii jest sprzed 20 lat, ostatnia – z 2019 r.

ANNA MODZELEWSKA, rzeczniczka prasowa UW, potwierdziła, że Komisja Rektorska uznała złożoną przez kobiety skargę za wiarygodną. Rektor uczelni, prof. Alojzy Nowak, otrzymał ją 17 stycznia 2022 r. Po dwóch miesiącach oczekiwania na reakcję rektora kobiety zdecydowały się opowiedzieć swoje historie na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

DWA DNI PÓŹNIEJ rektor UW złożył zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. ©℗ ANNA GOC

JOANNA RUSINEK

Drapieżnik

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW GREŃ, DZIEKAN WYDZIAŁU POLONISTYKI UW:

Na Radzie Wydziału zapowiedziałem szkolenia dla wszystkich pracowników. W przypadku niektórych podniesienie świadomości wydaje się, niestety, potrzebne.

ANNA GOC: Od ponad dwóch tygodni opisujemy sprawę językoznawcy z Wydziału Polonistyki UW, który został oskarżony przez grupę kobiet o molestowanie seksualne. Kiedy dowiedział się Pan o tej historii?

PROF. ZBIGNIEW GREŃ: Na przełomie kwietnia i maja 2021 r. Wcześniej nie docierały do mnie żadne niepokojące sygnały. Informacje przekazał mi prodziekan ds. studenckich po spotkaniu z poszkodowanymi osobami. Zapewniliśmy je o naszej pomocy i wsparciu.

Jakiego rodzaju?

Skierowaliśmy studentki do rzeczniczki akademickiej UW, co pozwoliło finalnie zgłosić sprawę do Komisji Rektorskiej ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji na UW.

Z relacji jednej ze studentek wynika, że profesor molestował ją w swoim gabinecie jesienią 2019 r. Studentce udaje się wyjść z gabinetu, siada na korytarzu, gdzie spotyka swoją wykładowczynię, która pyta, co się stało. „Profesor [nazwisko]” – odpowiada studentka. Co dzieje się dalej?

Tę sprawę mogę próbować zrekonstruować na podstawie informacji, które dotarły do mnie na przełomie kwietnia i maja 2021 r. Wykładowczyni najpierw rozmawia ze studentką, a gdy dowiaduje się, że profesor próbował ją całować, informuje o tym dyrekcję Instytutu Języka Polskiego. Rozmawia z profesorem i pisze notatkę służbową. Studentka prosi jednak o poufność, dlatego jej sprawy nie zgłoszono władzom wydziału. Notatka w 2021 r. zostaje przekazana Komisji Rektorskiej, gdy studentki formalnie zgłaszają skargę.

Z informacji, które można znaleźć we wniosku do Komisji, wynika, że studentka prosi wykładowczynię o poufność. Wykładowczyni obiecuje ↦

studentce, że zajmie się jej sprawą. Po jakimś czasie mówi jej, że już nie musi się obawiać. Studentka wraca więc na seminarium profesora, ale on znów ją dotyka, tym razem publicznie, co wywołuje u studentki atak paniki.

Oskarżenie dotyczy profesora, którego pozycja wynika także z funkcji, które sprawuje poza uniwersytetem. Jest moderatorem wielu ogólnopolskich przedsięwzięć naukowych, występuje w mediach, wygłasza gościnnie wykłady. Rozumiem obawę tej studentki. Musiała się zmierzyć ze znaną postacią. To pokazuje, że mimo najlepszych intencji pracowników brakuje nam procedur, które wskazałyby, co robić na etapie sygnalizowania sprawy. Jak pomóc osobom, które nie chcą oficjalnie zgłosić swojej sprawy, a jednocześnie potrzebują pomocy.

Ostatni wątek tej wybranej sprawy: wniosek trafia do Komisji 10 września 2021 r. W październiku zaczyna się nowy rok akademicki, a profesor dalej prowadzi zajęcia. Studentka jest więc codziennie narażona na kontakt z nim. Dlaczego profesor nie został odsunięty od zajęć?

Jako dziekan nie mogłem tego zrobić, gdyż o sprawach związanych z zatrudnieniem pracowników akademickich decyduje rektor, poza tym cały czas trwały prace Komisji. Interweniowałem jednak u rektora, by możliwie jak najszybciej odsunąć profesora od zajęć. Natomiast już w czerwcu 2021 r. powołaliśmy na wydziale dwoje pełnomocników ds. równego traktowania, których zadaniem jest wychwytywanie niepokojących sygnałów. To osoby wybrane przez studentów. Chcę zaznaczyć, że nie mogliśmy informować nikogo o tym, co się dzieje, gdyż sprawa miała charakter poufny, również ze względu na ochronę skarżących. Wyniki prac Komisji otrzymałem w zaklejonej kopercie, do rąk własnych.

Opinia Komisji potwierdza wiarygodność zarzutów molestowania seksualnego. 17 stycznia dostaje ją rektor uniwersytetu, prof. Alojzy Nowak. Dwa miesiące później pokrzywdzone wciąż jednak nie wiedzą, jaki jest status profesora oraz jakie działania podjęto.

FO IKP UW / MATERIAŁY PRASOWE

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW GREŃ – dziekan Wydziału Polonistyki UW (od 2012 r.), wcześniej prodziekan tego wydziału (2005-2012), dyrektor Instytutu Slawistyki PAN (1999-2007). Absolwent filologii słowiańskiej ze specjalnością bohemistyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Jako dziekan nie mogę komentować działań rektora. Podkreślić jednak należy, że profesor został przez rektora zwolniony z obowiązku świadczenia pracy, zatem również prowadzenia zajęć dydaktycznych wraz z końcem ferii świątecznych, czyli jeszcze przed otrzymaniem opinii Komisji.

„Karolinko, kotku", zwracał się profesor do innej studentki. Z jej relacji wynika, że gdy próbowała zgłosić tę sprawę, zaproponowano jej przeniesienie z zajęć profesora, a promotor dał jej do zrozumienia, że nic się nie stało.

Gdyby ta sprawa trafiła do mnie, nie miałbym wątpliwości, jak postąpić. Mam świadomość, że zdarzają się niestety przypadki, kiedy wykładowcy nie mają wyczucia, wydaje im się, że są serdeczni, a może to być przekroczenie granic.

Zwroty „Kotku" czy „Kochanie", padające w przestrzeni akademickiej są przekroczeniem granic. Rozmawiamy o Wydziale Polonistyki, który powinien być tu punktem odniesienia.

Dlatego na Radzie Wydziału, która odbyła się tuż po publikacji pierwszych tekstów, zapowiedziałem szkolenia dla wszystkich pracowników. W przypadku niektórych podniesienie świadomości w tym zakresie wydaje się, niestety, potrzebne.

Inna pokrzywdzona opowiedziała mi o konferencji naukowej, na którą wyjechała duża grupa wykładowców i doktorantów z wydziału. Profesor dosiadł się do studentki publicznie, zajął dla niej też miejsce obok siebie w czasie kolacji, choć pozostali doktoranci siedzieli razem. Zwracał się do niej zdrabniając jej imię. Kobieta opowiadała mi o spojrzeniach innych wykładowców, o tym, że nikt nie zwrócił profesorowi uwagi. Czuła się podwójnie samotna, ostatecznie zrezygnowała ze studiów.

Teraz mam świadomość, w jakich warunkach funkcjonowały studentki. To jest coś jeszcze bardziej przygnębiającego. Nie wykluczam, że w najbliższym otoczeniu profesor miał określoną opinię i poprzez tę opinię oceniane były też jego kontakty ze studentkami. Wydział Polonistyki jest duży. Być może ludzie, którzy blisko współpracowali z profesorem, mogli coś przeczuwać. I jeśli w komunikacie wydziału mówię o odpowiedzialności środowiskowej, to o tym właśnie myślę. Natomiast nie mogę się zgodzić ze stwierdzeniem, że „wszyscy wiedzieli". Proporcje są odwrotne. Być może niektórzy wiedzieli, ale większość profesorów dowiedziała się o sprawie z tekstów prasowych.

Inna studentka wyznaje, że profesor pocałował ją w obecności recenzenta jej pracy, tuż po obronie.

To obciąża sumienie tych, którzy wiedzieli i nic nie zrobili. Inaczej tego skomentować nie umiem.

Czy jako dziekan wyciągnie Pan konsekwencje wobec profesora, który był świadkiem molestowania i nie zareagował?

Nie mogę wystąpić do rektora o wyciągnięcie konsekwencji, dopóki nie znam jego nazwiska.

Wszyscy pytają: jak to jest możliwe, że znany językoznawca molestował studentki przez ponad 20 lat?

Niestety, dopóki nie ma wyraźnego zgłoszenia, często trudno stwierdzić, co się tak naprawdę dzieje. Dlatego niezbędne są jasne procedury, które umożliwią wychwytywanie takich spraw w bardzo wczesnym stadium.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

DOROTA

Masłowska:
Moje widzenia

Widzenie pierwsze. Wchodzę do pociągu. Jest późno i cicho, z ekranów polregio krzyczą landrynkowe unijne obrazki, sponsorowane przez urzędy marszałkowskie słoneczne ujęcia z dronów. Za oknami ciągnie się garb łódzki, ciemny, zimny, niesponsorowany. Dosiadam się do jakichś kobiet. To starsza Ukrainka z dorosłą córką. Córka rozmawia przez telefon zduszonym szeptem, niemal jakby to były już resztki jej głosu, który musi bardzo oszczędzać, bo ma już tylko na dnie, a nie wie, kiedy znowu uda jej się kupić pełen głos. Matka odwrócona do okna płacze płaczem niemym i bezspazmowym. Są to tylko wytaczające się spod pomalowanych na perłowo powiek gęste łzy, które dyskretnie wyłapuje z twarzy zwiniętą w kulkę chusteczką. Pozbawione swoich ścian, zasłon, kurtyn, przepierzeń, zmuszone są doświadczać zdruzgotania na otwartych przestrzeniach. Tylko tym bezruchem, stuporem, ciszą mogą odgrodzić się przede mną, obcą kobietą, wracającą do swojego niezbombardowanego domu, niezbombardowanego życia. Przycupnęłam przy nich niezręczna i głupia, jak przy otchłani. Odwracam wzrok, by pomóc im się zasłonić.

Widzenie drugie. Norblin, który po renowacji wygląda jak plan komedii romantycznej. W fikcyjnych pubach rzemieślnicze piwo, bezglutenowe przekąski, barmani z opcją small talku. Jakaś absolwentka wokalistyki śpiewa przy akompaniamencie gitary akustycznej „I'm blue, da bu di da bu da", nie szczędząc wokaliz i wibrato wartych lepszej sprawy. Każdy wygląda tu jak wyciągnięty żywcem ze stocków. W klubie impreza. Dudni techno. Przez szybę widzę dwóch ochroniarzy o kubistycznych twarzach, górują nad młodzieżą jak szafy PAX upchnięte w granatowe garnitury, z tych droższych, z połyskiem. Ci dwaj opryszkowie premium opychają się w pośpiechu chipsami z paczki, którą plądrują na zmianę grubaśnymi rękami. I przez mgnienie oka wyglądają nagle jak dwaj gigaotyli chłopcy, którzy na chwilę przestali grać w „Duke Nukem", by uzupełnić sód i cukry proste. Jednocześnie w powietrzu wisi jakieś napięcie („ej, kurde, ile bierzesz? Następnym razem ty kupujesz").

Widzenie trzecie. Syreny wyją i wyją. Wszędzie policja, tak jakby przegląd policjantów: grubi, chudzi, wysocy, niscy, pyzaci, brodaci, cycaci. Atmosfera groźna, ale też jakaś czcza i podminowana, gapiowska. Prowadzę ze zmiennym powodzeniem rower do de Gaulle'a, tam ostatecznie utykam w gęstwinie gapiów, rąk wyciągających w górę telefony jak jakieś łapacze snów. Jedzie Joe Biden. Oczywiście nie sam. Wręcz przeciwnie – tak jakby wszyscy, tylko nie on. Najpierw policje. Potem żandarmerie, straże. Potem jadą w wozach opancerzonych jego sekretarze. Jego doradcy. Potem jego styliści. Jego fryzjerzy z fryzurami. Wszyscy na sygnale. Jego krupierzy. Jego żołnierze w mundurach pustynnych, z kiśćmi sztucznego listowia na hełmach, jego szafy pancerne. Przeskalowane SUV-y i buicki miękko balansujące na małym, ledwie mieszczącym tę kawalkadę rondzie. Naszym skromnym rondzie stworzonym dla maluchów, dla cinquecento, dla fiatów uno. Sam Joe Biden zaledwie hipotetyczny, ukryty gdzieś głęboko w tym taborze, w tych ciągach, zamotany w warstwy zaciemnień, zatajeń, kuloodpornych szyb. Może patrzy zza którejś prosto na mnie albo przeciwnie – ucina sobie *power nap* i nie ma pojęcia, że monolit miasta pod naporem jego osoby pęka, że gęste ciasne sploty ulic i ludzkich spraw rozstępują się. I zahipnotyzowana tym kręceniem się ich po rondzie, kątem oka widzę człowieka który nagrywa, nagrywa, nagrywa, a potem nagle przekierowuje obiektyw na siebie. Robi sobie autoportret z Bidenem. Domniemanym Bidenem, ale to nie zmienia faktu, że to autoportret ze wszystkim, z całym światem. Na ekranie smartfona pojawia się jego twarz zaaferowana może nawet bardziej filmowaniem tego wszystkiego niż tym wszystkim, co filmuje. On widzi siebie. Ja widzę jego. Wieczorem mój chłopak spotyka pod kamienicą panią Marię. „A czekam na tego Bidena i czekam, ale nic nie jedzie. Idę do domu. Zimno jest".

Widzenie czwarte. „Pan to ma zawsze dobry humor – zagajam do kasjera w Biedronce. – Tak pan zawsze do każdego zagaduje". Kasjer z cheddarem w ręce podnosi zdziwiony wzrok znad czytnika. Za jego plecami w wiadrach miliony rachitycznych tulipanów i żonkili, które uschły, nim rozkwitły. „Nie do każdego" – odpowiada czujnie. „Proszę panią... ja idę na żywioł. Nie to, że leżę wieczorem w łóżku i wymyślam, że do tego jutro powiem to, a do tamtego tamto. To tak samo przychodzi. Bo wie pani... Kasuję, kasuję, kasuję... Wieczorem leżę w łóżku i chcę spać, ale w myślach dalej kasuję, kasuję, kasuję... Chcę zobaczyć barany, a widzę ceny". Zbieram swoje zakupy, a gdy podnoszę wzrok, on wyciąga do mnie dłoń. Przybijamy żółwika. Jego oczy mówią „zobaczyłaś mnie, a ja widzę ciebie" i są jasne. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

DOKTRYNA DO REMONTU

Kryzys ma tę dobrą stronę, że wymusza nowe myślenie o skostniałej doktrynie. Widać to dobrze w precedensowej wymianie listów między Kościołami polskim i niemieckim.

ARTUR SPORNIAK

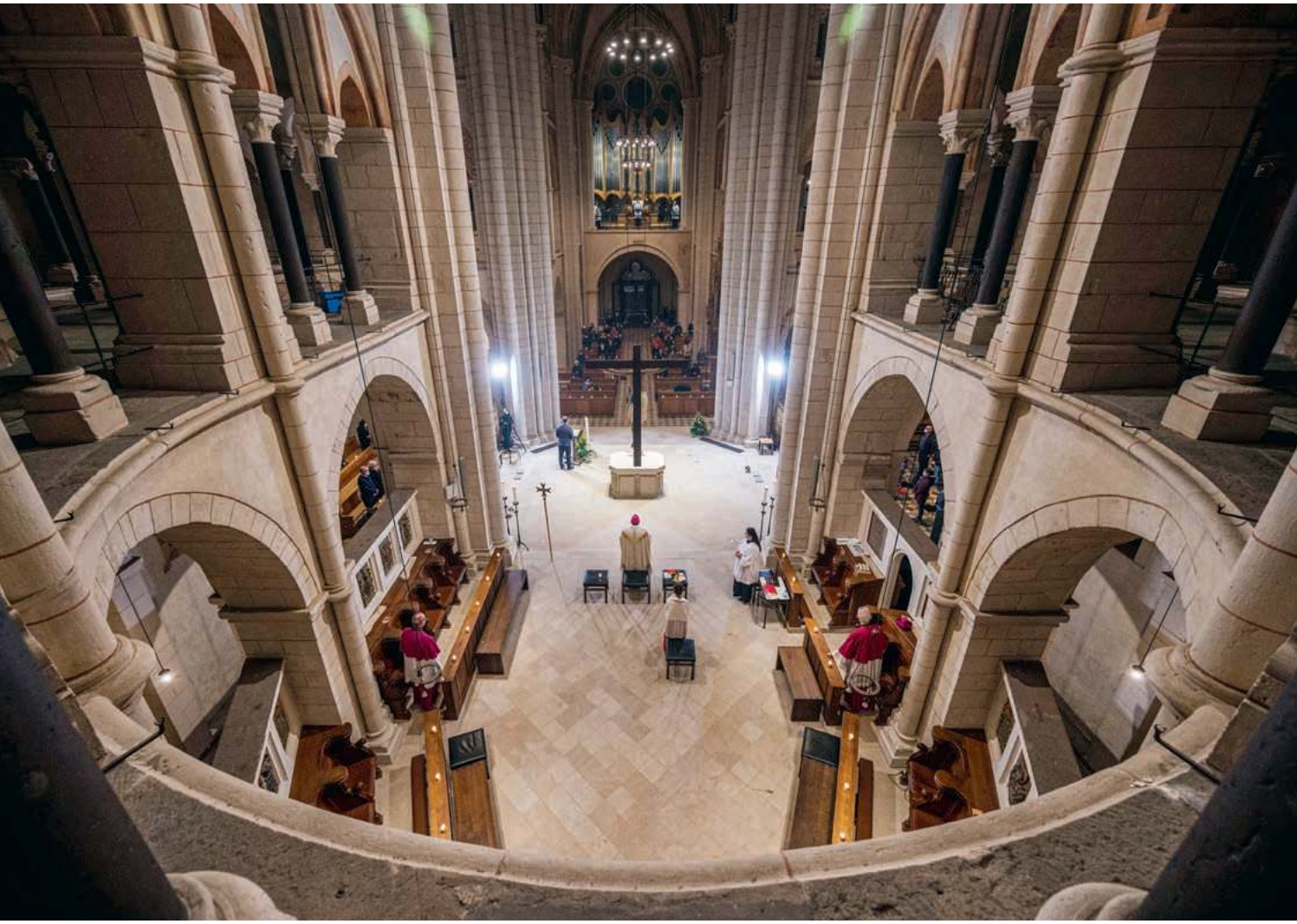

Przewodniczący niemieckiego episkopatu nie krył irytacji po otrzymaniu listu od abp. Stanisława Gądeckiego. Nie dlatego, że bp Georg Bätzing nie jest przyzwyczajony do krytyki – dla niemieckich hierarchów spory o wizję Kościoła to chleb powszedni. Chodziło bardziej o formę: podpisany 22 lutego i w ten sam dzień opublikowany na stronie polskiego episkopatu (ale także w Niemczech) „List braterskiej troski" to publiczne *correctio fraterna* robione z wyższościowej pozycji całemu niemieckiemu Kościołowi.

Przewodniczącego polskiego episkopatu zaniepokoiły teksty ogłoszone na niedawnym trzecim zgromadzeniu niemieckiej Drogi Synodalnej. Jest ona utworzoną wspólnie przez biskupów i świeckich platformą dialogu na rzecz reform, zwłaszcza w kwestiach władzy, stylu życia kapłanów, roli kobiet i moralności seksualnej. „Obserwując jej owoce można odnieść wrażenie, że podstawą refleksji nie zawsze jest Ewangelia" – miał wątpliwości abp Gądecki.

Dokumenty rzeczywiście postulują duże zmiany, m.in. ustroju Kościoła na bardziej synodalny oraz udział świeckich w mianowaniu biskupów i – jeszcze jako postulaty przed ostatecznym głosowaniem – zmianę stosunku do homoseksualizmu, dopuszczenie sztucznej antykoncepcji, błogosławienie par jednopłciowych i po rozwodach, święcenia kapłańskie dla kobiet oraz złagodzenie dyscypliny kapłańskiego celibatu. Ale polski hierarcha odwołał się do kilku porównań, które mogły wprawić adresatów w prawdziwą konfuzję.

Zdumienie Niemców

Trudno mówić o subtelności, skoro abp Gądecki wypracowane w ramach Drogi dokumenty przyrównał do Biblii Jeffersona, którą oświeceniowy deista i zasłużony prezydent Stanów Zjednoczonych skompilował z powycinanych z ewangelii fragmentów moralnego nauczania Jezusa, gdyż taki kolaż wydał mu się bardziej przekonujący. Czy to ma oznaczać, że członkowie Drogi – ludzie ochrzczeni, wierzący, w większości wykształceni teologicznie, a jedna trzecia z nich po święceniach biskupich – postępują równie niefrasobliwie?

Jeszcze mniej subtelne – zważywszy XX-wieczną historię Niemiec – było przestrzeganie przed pokusą „nieustannego konfrontowania nauczania Jezusa z aktualnym dorobkiem psychologii i nauk społecznych", który zdezawuowany został przez polskiego hierarchę przypomnieniem antynaukowego flirtu tych nauk (sto lat temu znajdujących się w raczkującej postaci) z rasizmem w USA.

Dziś psychologia i socjologia, wspierając się na osiągnięciach i metodologii nauk przyrodniczych, w niczym nie przypominają tych sprzed wieku i nie da się podważyć ich poznawczej wartości przez wskazywanie historycznych ślepych uliczek. Natomiast niemieccy biskupi zapewne musieli zastanawiać się, czy metropolita poznański chce ich świadomie upokorzyć przez przypominanie rasistowskich (choć nie niemieckich) epizodów z przeszłości.

Po wtóre, abp Gądecki nie podjął merytorycznego sporu. Postulaty zniesienia celibatu, kapłaństwa kobiet, komunii dla rozwiedzionych czy błogosławienia związków jednopłciowych nazywa „utartymi sloganami" i „standardowymi żądaniami", których należy się wystrzegać. Po belfersku poucza o zadaniach biskupa i niczym wielkopostny kaznodzieja przestrzega przed pokusami. Wymienia m.in. „pokusę szukania pełni prawdy poza Ewangelią", „pokusę życia z kompleksem niższości", której ulegają katolicy będący „pod presją opinii publicznej", a także „pokusę myślenia korporacyjnego", która dąży do „obniżenia ideałów" w proponowaniu zniesienia celibatu. A wszystko to skupia się w „pokusie ulegania presji" świata, aby „odstąpić od nauczania Jezusa".

Przy okazji zorientować się możemy, jak najważniejszy polski hierarcha pojmuje obecny kryzys Kościoła. Według niego nie ma on źródeł w Kościele – w jego systemowym funkcjonowaniu i klerykalnych strukturach. Problemem jest sekularyzacja katolików. „Współczesny kryzys Kościoła w Europie jest przede wszystkim kryzysem wiary" – stwierdza. Dlatego głównym zadaniem biskupów nie jest obniżanie wymagań, tylko „znalezienie skutecznych sposobów wzywania ludzi do nawrócenia".

Zwłaszcza w tym punkcie widać mijanie się perspektywy abp. Gądeckiego z niemieckimi hierarchami. Przewodniczący polskiego episkopatu w ogóle nie odniósł się do głównego powodu zawiązania się Drogi Synodalnej. To wstrząs wywołany wynikami szczegółowych raportów o wykorzystywaniu seksualnym małoletnich przez duchownych w Niemczech skłonił tamtejszych biskupów do sięgnięcia po niekanoniczny eksperyment. Dlatego bp Bätzing w odpowiedzi abp. Gądeckiemu napisał: „Tylko wtedy, gdy zidentyfikujemy systemowe przyczyny niewypowiedzianego cierpienia spowodowanego przez przedstawicieli Kościoła, najczęściej księży, będzie w ogóle możliwe ponowne otwarcie przestrzeni, w której głoszenie Dobrej Nowiny natrafi na otwarte uszy". I z nieskrywanym zniecierpliwieniem dodał: „Chętnie dowiem się od Księży Biskupów, w jaki sposób obchodzicie się z systemowymi przyczynami tysięcy przypadków nadużyć, z którymi mamy do czynienia u nas w Niemczech, u Was w Polsce, ale także na całym świecie". To nieporozumienie mogłoby zostać zmniejszone przez rzeczywisty, czyli merytoryczny dialog na temat argumentacji przedstawionej w synodalnych tekstach – takie jest jego stanowisko.

List biskupa Limburga został przekazany 16 marca. Niestety, niemiecki episkopat opublikował (24 marca) tylko kilka cytatów, a sekretariat Konferencji Episkopatu Polski odmówił „Tygodnikowi" udostępnienia jego treści.

Falowanie historii

„List braterskiej troski" posiada jeszcze trzecią charakterystyczną cechę, której analiza – jak się wydaje – pozwoli lepiej zobaczyć, o co Niemcom chodzi: abp Gądecki przedstawił uproszczoną wizję depozytu wiary, co biskupów kraju słynącego z subtelnej teologii musiało skonsternować. „Depozyt świętej wiary apostolskiej" jawi się w jego liście jako trwały monolit przekazany następcom apostołów, by go strzegli, o nim nauczali i nienaruszony przekazywali następnym pokoleniom. Pobrzmiewa tu echo anachronicznego, statycznego i jednostronnego modelu Kościoła rozpadającego się na dwie rozłączne części – posiadający gwarancję asystencji Ducha Świętego „Kościół nauczający" (biskupi w komunii z papieżem) oraz bierny „Kościół nauczany" (świeccy).

Choć rzeczywiście biskupom zostało powierzone zadanie prowadzenia, ↦

Biskup Georg Bätzing, nabożeństwo Wielkiej Soboty w kadetrze w Limburgu. Niemcy, 3 kwietnia 2021 r.

THOMAS LOHNES / GETTY IMAGES

JAKUB KACZMARCZYK / PAP

Konferencja prasowa biskupów Stanisława Gądeckiego i Georga Bätzinga w kurii metropolitalnej archidiecezji poznańskiej, 30 listopada 2021 r.

nauczania i uświęcania Ludu Bożego (jak naucza Sobór Watykański II), nie znaczy to, że mają monopol na prawdę, a Duch Święty jest uwiązany do ich urzędu. Po drugie, doktryna nie jest monolitem i ewoluuje. A po trzecie, w historii Kościoła można dostrzec falowanie: z okresami normalnymi przeplatają się kryzysy, domagające się szczególnych środków. Gdy doktryna jako drogowskaz zaczyna niedomagać, bo rzeczywistość zanadto się zmieniła, a ratunkowe działania stosowane *ad hoc* nie pomagają, nie ma innego wyjścia, jak wyregulować samą doktrynę.

Jeśli się ten proces powiedzie, mamy nową sytuację doktrynalną, która powinna charakteryzować się dwiema ważnymi cechami – rozwiązywać problem i zarazem pokazywać, dlaczego wcześniej było to niemożliwe. Dzięki temu zachowana jest rozumność zmiany i ciągłość rozwoju doktrynalnego – nie nastąpiło przerwanie doktryny, tylko jej pogłębienie.

W historii Kościoła można wskazać wiele momentów związanych z wyzwaniami, które kształtowały doktrynę. Należało do nich spotkanie w pierwszych wiekach naszej ery młodego chrześcijaństwa z myślą grecką – zwłaszcza z platonizmem i stoicyzmem, a w XIII wieku powtórne odkrycie arystotelizmu. W XVI wieku bodźcem reform stała się Reformacja, wpływ na doktrynę miał także renesansowy humanizm. W wieku następnym procesem Galileusza Kościół zignorował narodziny nowożytnej nauki, która urosła do rangi jednego z najważniejszych wyzwań. O ile narzucające się w danym czasie idee filozoficzne Kościół mógł dość swobodnie akomodować, o tyle wraz z pojawieniem się nowożytnej nauki sytuacja się zmieniła. To nauka dyktuje teraz warunki (gdyż to ona posługuje się najskuteczniejszą poznawczo metodą) i nie można po prostu jej ignorować. Dlatego tak zdumiewające są akapity listu abp. Gądeckiego dezawuujące współczesną wiedzę.

Oczywiście na terenie kościelnym w grę wchodzą także czynniki specyficzne. Jan Paweł II, odwołując się do swojej absolutnej władzy, przez kilka dekad hamował szukanie nowych odpowiedzi na nieuchronnie rozwijający się kryzys i nie pozwalał na dyskusje o antykoncepcji, kapłaństwie kobiet czy celibacie. Sytuację zmienił pontyfikat Franciszka oraz kryzys pedofilski – i Kościół niemiecki to dobrze odczytał.

Wyzwania czasu

Broniąc się przed zarzutem, że Droga Synodalna realizuje postulaty świata, bp Bätzing przypomniał (to zapis z jednego z jej tekstów programowych), że kieruje się ona Pismem Świętym, a oprócz tego „żywą tradycją, znakami czasu wyróżnionymi przez Sobór Watykański II, zmysłem wiary wierzących, Magisterium Kościoła i teologią". Dwa z tych kryteriów są szczególnie interesujące – zmysł wiary wierzących i znaki czasów – gdyż umożliwiają one formalne przeprowadzenie korekty doktryny.

Zmysł wiary to wspomagane przez Ducha Świętego coraz głębsze poznawanie treści wiary przez wierzącego. Sobór Watykański II stwierdza, że ogół wiernych nie może zbłądzić w wierze. Można się zatem zastanawiać, czy masowe odrzucanie przez katolickich małżonków nauczania na temat antykoncepcji jest brakiem jego właściwej recepcji spowodowanej nieudolnością nauczycielską (już długo trwającą, bo od opublikowania encykliki „Humanae vitae" w lipcu miną 54 lata), czy świadectwem właśnie zmysłu wiary wierzących, mających bezpośredni dostęp do rzeczywistości, której norma ta dotyczy.

Znaki czasu także odnajdziemy w nauczaniu soborowym, choć nie są one pojęciem precyzyjnym. Odwołując się do nich, sobór próbował uchwycić intuicję rozpoznającą Boże wezwania w wydarzeniach czy procesach poza Kościołem (dokładnie „w wydarzeniach, potrzebach i pragnieniach" – jak stwierdza Konstytucja o Kościele w świecie współczesnym). Można powiedzieć, że znaki czasu to głos Boga w świecie. Choć nie jest on od razu wyraźny i wymaga rozpoznania, mimo wszystko zobowiązuje. A to w szczególnych okolicznościach kryzysu może oznaczać bodziec do reformowania doktryny. Niewątpliwie intensywny rozwój wiedzy o świecie i człowieku jest takim wyzwaniem czasu.

Sama doktryna Kościoła – jako się rzekło – nie jest monolitem. Gdy o niej mowa, najpierw przychodzą do głowy dogmaty, które rzeczywiście mają specjalny status. Są to niezmienne (w treści, a nie w sformułowaniu – zawsze historycznym) prawdy wiary – zarówno zdefiniowane przez papieży i sobory, jak i te niezdefiniowane, nauczane w tzw. zwyczajnym i powszechnym nauczaniu Kościoła. Wiele mówiący jest fakt, że do tej pory nikt nie odważył się skompletować pełnej listy dogmatów – oznacza to, że co do wielu prawd wciąż trwają dyskusje o ich charakterze. Wspomniane historyczne wyzwania miały wpływ jedynie na formuły dogmatów, a nie ich treść (tak naucza Kościół). Bardziej zmienne okazywały się prawdy z niższych stopni hierar-

chii, także nauczanie moralne, a zwłaszcza społeczne.

Obrona błędów

Przykładem niedawnej zmiany nauczania moralnego jest wykluczenie w 2018 r. przez papieża Franciszka kary śmierci z czynów moralnie dopuszczalnych. Można prześledzić, jak Kościół dojrzewał do tej decyzji. Jan Paweł II stwierdził, że praktycznie nie występują już warunki, by społeczeństwa musiały się bronić przed przestępcami, sięgając do kary głównej. Wcześniej dopuszczano karę śmierci, usprawiedliwiając ją Pismem Świętym. Była ona stosowana także w państwie papieskim.

Z kolei przykładem odwrotnego procesu – wycofania surowej normy (w perspektywie „Listu braterskiej troski" byłoby to „obniżenie ideałów" i „poddanie się wzorcom dominującej kultury") – jest pożyczka na procent. Przez wieki była ona bez żadnego rozróżniania traktowana jako lichwa i surowo karana. Odwoływano się do Pisma Świętego i do społecznej teorii o bezpłodności pieniądza. Rozwój bankowości w XV i XVI wieku oraz pożyczek inwestycyjnych praktycznie zaprzeczył tej teorii, mimo to została ona uroczyście potwierdzona w 1745 r. przez Benedykta XIV.

Bernard Sesboüé, który omawia ten przykład w książce „Władza w Kościele", zauważa, że na zasadzie praw nabytych banki do dziś zamykane są w południe wigilii świąt obowiązkowych. „Pierwotną przyczyną tego trwającego jedno popołudnie urlopu była chęć umożliwienia urzędnikom bankowym wyspowiadania się". Kościół po cichu (notą do biskupów, by nie niepokoili spowiedników, którzy udzielają rozgrzeszenia penitentom, niechcącym wyrzec się przynoszących zysk pożyczek) wycofał się z tego nauczania dopiero w 1830 r. Historia normy zakazującej pożyczania na procent pokazuje, jak długo Kościół nie potrafił dostosować swojego nauczania do zmieniającej się rzeczywistości społecznej.

Wydaje się to nieprawdopodobne, ale jeszcze dłużej Święte Oficjum (poprzednik Kongregacji Nauki Wiary) za zgodą Piusa IX broniło niewolnictwa. W jednym z listów z 1866 r. odwoływano się do świadectwa samego Jezusa, a więc do najsilniejszego argumentu teologicznego: tam, gdzie we współczesnych tłumaczeniach Jezus mówi o „słudze", w oryginalnych tekstach mówi o „niewolniku", stawiając go za wzór chrześcijanom. Najwyraźniej Duch Święty w tej sprawie przez długi czas oświecał nie Magisterium Kościoła, tylko ruchy abolicjonistyczne wywodzące się – o ironio! – z „bezbożnego" Oświecenia. Tu widać, jak zwykła ludzka empatia może okazać się bardziej trafna od argumentu „z Pisma Świętego". Do zwrotów o 180 stopni w doktrynie doszło też podczas Soboru Watykańskiego II. Najgłośniejszymi przykładami były zmiany w podejściu do ekumenizmu i wolności religijnej.

Zatem doktryna się zmienia. Co wymaga teraz korekty i dlaczego jest to możliwe?

Do zmiany

Wymóg celibatu nie ma i nigdy nie miał charakteru doktrynalnego. Jest to kościelny przepis dyscyplinarny o wyraźnie praktycznym znaczeniu. Dodatkowo dzisiaj – w dobie kryzysu pedofilskiego – staje się on coraz mniej zrozumiały. W teorii jest to świadectwo całkowitego oddania się Jezusowi i bliźnim (patrz „List braterskiej troski" abp. Gądeckiego), tymczasem w praktyce to wygodna dla biskupa całkowita dyspozycyjność księdza, odrywająca go jednak od życia ludzi świeckich i wręcz automatycznie tworząca klerykalne struktury. Silna obrona księżowskiego celibatu w niektórych kręgach katolickich świadczy o uzależnieniu Kościoła od jednego modelu funkcjonowania. Zatem to nie jest doktrynalnie poważny problem.

O wiele poważniej wygląda postulat kapłaństwa kobiet. Przy bliższym przyjrzeniu się trudno jednak w zakazie wyświęcania kobiet nie widzieć irracjonalnej niesprawiedliwości: połowa wierzących jest z niejasnych przyczyn poddana religijnemu kierownictwu przedstawicieli drugiej połowy. W istocie niedopuszczanie kobiet do święceń przypomina XIX-wieczną obronę niewolnictwa. Z egalitarnym duchem ewangelii ma ono niewiele wspólnego. Być może za jakiś czas trudno będzie nam zrozumieć, dlaczego ta niesprawiedliwość tak długo trwała.

Abp Gądecki przekonuje: „Jan Paweł II w swoim nauczaniu na temat sakramentu święceń zarezerwowanego ↦

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk
w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim „Tropem herezji"

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych"
dostępne w najlepszych miejscach z prasą.
Sprawdź na **TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych**

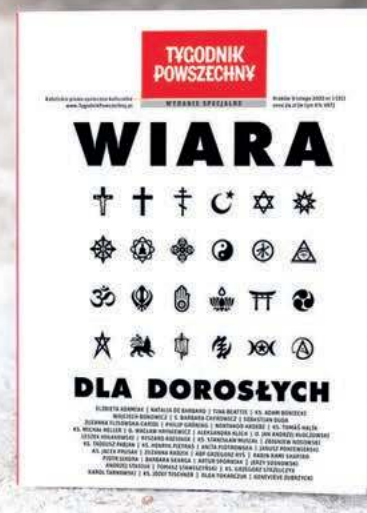

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

↦ dla mężczyzn odwoływał się do samej woli Chrystusa i Tradycji, wskazując jednocześnie na tzw. »komplementarność płci«". Można się zastanawiać, czy wybór mężczyzn na apostołów to była specjalna i zobowiązująca wola Jezusa, czy raczej wymóg ówczesnej patriarchalnej kultury. Jeśli to pierwsze, to powinniśmy umieć podać mocne za tym argumenty. „Komplementarność płci" takim argumentem nie jest.

Dwa elementy są komplementarne, gdy się dopełniają, czyli razem nabywają nowych cech lub możliwości. W tym sensie komplementarne są męskie i żeńskie narządy płciowe i zdolności prokreacyjne, ale już nie męska i żeńska seksualność (jej przeżywanie) czy osobowość. Za tezą o komplementarności płci stoi koncepcja esencjalizmu płci, głosząca, że osoba ludzka została stworzona w dwóch różnych wersjach, mających do wypełnienia w życiu różne, choć uzupełniające się naturalne zadania. Współczesna wiedza o człowieku tego nie potwierdza, przeciwnie – pokazuje, że takie podejście prowadzi do dyskryminacji.

Do tezy o komplementarności płci odwołują się obrońcy małżeństwa jako wyłącznie heteroseksualnego związku oraz kościelne nauczanie o moralnej dopuszczalności korzystania z seksualności jedynie w małżeństwie. Zatem od losów dyskusji na temat komplementarności płci zależy wiele „prawd" dotychczasowego nauczania doktrynalnego. Ponieważ coraz większą rolę w tej dyskusji odgrywa głos nauki, wydaje się ona już przesądzona. Jest całkiem możliwe, że prędzej czy później Kościół instytucjonalny dojdzie do przekonania, iż „komplementarność płci" była jedynie teologiczną projekcją ratunkową.

Żyjemy w niepewnym czasie przełomu, w którym powinna wykrystalizować się nowa postać doktryny katolickiej. Nie po to, by ludziom ułatwiać życie, ale po to, by wierzącym ułatwiać dostęp do prawdy w zmieniającym się świecie.

Wobec tego wyzwania można przyjąć strategię wyparcia: trzymajmy się tego, co było, a reformatorów wzywajmy do opamiętania! Bardziej niż hamulcowych, Kościół potrzebuje jednak teraz ryzykantów, bo to oni są twórczy. Nowe jest trudniej wykuć, niż konserwować stare.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Klęska „rosyjskiego świata"

MICHAŁ KLINGER

Wojna obnaża kryzys rosyjskiej Cerkwi i stwarza szanse na zjednoczenie Kościołów na Ukrainie.

Cyryl, patriarcha Moskwy i całej Rusi, poparł wojnę wytoczoną Ukrainie przez Rosję od samego jej początku i nie zmienił stanowiska w ciągu wielu już tygodni masakry, jakiej dokonują wojska rosyjskie. Rzeszom Rosjan, skazanym na propagandę, szczególnie na dalekiej prowincji, i mentalnie zasklepionym w prostackich stereotypach narodowych narzucany jest zakłamany obraz wojny. Nie tłumaczy to jednak postaw duszpasterzy, zobowiązanych do moralnej wrażliwości i krytycznego myślenia. Nie ma dla patriarchy okoliczności łagodzących.

Jeśli Kościoły i duchowni stają zazwyczaj po stronie „naszych żołnierzy", zawsze przecież „z naszej strony słusznych, obronnych, sprawiedliwych", to czynią tak z solidarności ze swą społecznością. Jakże mogliby się wyłamać, zdradzić?! Przykłady naśladowania w chwilach szczególnej próby nie „swoich", lecz Chrystusa, wzorce św. Mikołaja z Myry, Ambrożego z Mediolanu czy pastora Bonhoeffera – należą do wyjątków. Daleko liczniejsi są święci, wojownicy, obrońcy, męczennicy, którzy zginęli w walkach wcale nie tylko duchowych.

Tymczasem Cyryl w przededniu wojny, 23 lutego, wystąpił z przesłaniem do dowódców i żołnierzy, by „pozbyli się wszelkich wątpliwości wypełniając swą misję i zadania wojskowe". Zdjął z nich w ten sposób odpowiedzialność moralną. I patriarcha, i generałowie wiedzieli przecież, do czego to rozgrzeszenie się wkrótce odniesie. A po kilkunastu dniach wojny i rosyjskich bestialstw patriarcha przekazał dowódcom błogosławieństwo w formie ikony Matki Boskiej Augustowskiej – mętnie nawiązując do rzekomego cudu z okresu I wojny światowej, podczas walk Rosjan z Niemcami na terenach między Kownem i Augustowem. Bogurodzica miała z tej ikony wskazać Rosjanom kierunek „na zachód".

NATO i „gejparady"

Co miał na myśli patriarcha, przekazując tę właśnie ikonę? I Cyryl, i generałowie wiedzą, że przesmyk augustowski (suwalski) stanowi najbardziej newralgiczny teren ewentualnej ofensywy Rosji przeciw NATO. I nie ma to nic wspólnego z Ukrainą. Jeśli zestawimy to z przesłaniem mowy Putina wygłoszonej nad ranem 24 lutego, w której wypowiada on ideową wojnę Zachodowi (militarne wkroczenie na Ukrainę jest niejako prewencyjne), musimy gest patriarchy, manipulujący sentymentalnym obrazem i jego militarnym kontekstem z 1914 r., a obecnie wskazujący armii prawdziwego wroga „na Zachodzie", odczytywać jako podżeganie do wojny ideowej prowadzonej już środkami militarnymi.

Swoje antyzachodnie obsesje patriarcha wyraził dobitnie w kazaniu w niedzielę 6 marca rozpoczynającą Wielki Post. Mówił, że wojna o Donbas jest konieczna, bo inaczej siły zgniłego i rozpustnego Zachodu urządzą tam „gejparady". Według niego takie „parady" to „szatańskie znamię", które Zachód chce wypalać na ciele każdej społeczności i ją deprawować. Ten absurd jest o tyle koherentny z narracją Putina, że podkreśla ideowy spór Rosji z Zachodem. Jeśli dla Putina „Zachód" wyznacza realne cele, np. dążenie Ukrainy do Unii Europejskiej i NATO, to dla Cyryla są to parady równości... Czy usprawiedliwia to w jego kościelnej świadomości masakrowanie cywilnych Ukraińców, w znacznej części jego własnych

DIMITAR DILKOFF / AFP / EAST NEWS

Zniszczona cerkiew w Irpieniu. Ukraina, 13 marca 2022 r.

wiernych – nie wiem. Wiadomo natomiast, że wśród prawosławnych Ukraińców, objętych przed wojną moskiewską jurysdykcją, narasta fala odmowy wspominania w czasie liturgii imienia Cyryla jako głowy swego Kościoła. Czyni tak już ok. 1/3 diecezji i ich parafii na Ukrainie, podległych dotąd patriarchatowi Moskwy. Znane są dramatyczne świadectwa kapelanów wojskowych z tego Kościoła, których odrzucają żołnierze.

Patriarchat moskiewski już przegrał, i to zapewne bezpowrotnie, wojnę o rząd dusz na Ukrainie, oparty na anachronicznej idei rzekomej „trójjedności" Wielkiej, Małej i Białej Rusi (czytaj: odpowiednio narodu Rosji, Ukrainy i Białorusi). Cyryl przez lata lansował ideologiczną kliszę historyczną jakiegoś mitycznego „rosyjskiego świata" (*russkij mir*), do którego miałyby należeć nie tylko narody dawnej Rusi, z historycznym centrum w Kijowie, ale i inne narody słowiańskie. Ważnym kryterium przynależności do tego świata miało być prawosławie jako „religia narodowa". Taka klisza nie ma podstaw w faktach historycznych.

Dla przykładu – chrystianizacja Słowian istotnie przebiegała w oparciu o dzieło świętych Cyryla i Metodego, ale wyszła z Bizancjum, oparła się o Morawy, przeszła przez Bałkany, a Święci Bracia nigdy na Rusi nie byli. Ruskie prawosławie przejęło hegemonię dopiero po upadku Konstantynopola i zajęciu starożytnych stolic Kościoła na Wschodzie oraz Słowian na Bałkanach przez muzułmanów. Przejęcie przez Moskwę od Greków, zniewolonych przez Turków, roli lidera w prawosławiu rodziło legendy i przepowiednie o Moskwie jako „trzecim Rzymie". Nie było w nich solidarności i empatii z cierpiącym greckim Kościołem – „matką", lecz oskarżenie go o popadnięcie w herezję na unijnym Soborze Florenckim. Ukryty w tych legendach sens apokaliptyczny zamazywano interpretacją wielkościową o Moskwie jako jedynej ostoi czystej wiary. Ta obskurancka koncepcja jest w Rosji żywa do dzisiaj.

Przewodnia rola Rosji w prawosławiu była zbiegiem okoliczności raczej politycznych – upadku Bizancjum i wzrostu potęgi państwa moskiewskiego, gdy inne kraje prawosławne popadały w niewolę. Rola Moskwy nigdy nie opierała się o własne zdobycze intelektualne w teologii; te zawsze pozostawały po stronie Greków, także w okresach ich niewoli tureckiej. Trzeba natomiast uznać wielką wartość ruskiej sztuki liturgicznej, ale w odróżnieniu od ksiąg te formy artystyczne, jako lokalne, nie mogły migrować do innych krajów, aż do czasów współczesnych (od ok. stu lat). Oceny roli Rosji w prawosławiu nie zmienia w moim mniemaniu wspaniały, acz krótki okres „rosyjskiego renesansu religijnego" (1850-1950). Jego wielkie zdobycze intelektualne zyskały bowiem znaczny rozgłos wśród elit na Zachodzie, ale z różnych przyczyn nie wśród Greków, a – co szczególnie musimy odnotować – pozostają także wyparte poza szkolną teologię prawosławną w krajach słowiańskich. Teologia ta, szczególnie w Rosji dzisiejszej i innych krajach postkomunistycznych, pozostaje konserwatywna, nawet fundamentalistyczna.

Trzeba oddać sprawiedliwość roli Rosji imperialnej w XIX wieku we wspieraniu prawosławnych uciśnionych na Bałkanach i na Wschodzie. Szczodrze fundowała tam ona cerkwie, klasztory, wydawnictwa, studia, a jej wojny z Turcją niosły nadzieję na wyzwolenie z wiekowej niewoli. Jeszcze do niedawna wszystko, co rosyjskie, budziło na przykład w Grecji sympatię i zaufanie, zwłaszcza w kręgach silnie lewicowych. Przyczyniły się do tego również złe doświadczenia z rolą USA po II wojnie światowej. Dlatego idea „rosyjskiego świata" była w Grecji przyjmowana z sympatią – odwrotnie niż w Polsce, gdzie w oparciu o całkiem inne okoliczności historyczne, szczególnie w okresie od XIX wieku i po II wojnie, ukształtowały się silne emocje antyrosyjskie. Na Bałkanach nikomu nie przeszkadzało, że idea ta łączyła czynniki religijne i historiozoficzne oraz doraźne cele polityczne – właśnie ta synergia dodawała jej sensu i wigoru. Wśród elit serbskich w latach 90., gdy jedynie Rosja broniła straconej pozycji Serbii, można było od poważnych politologów usłyszeć zaskakujące sądy w rodzaju: „Serbia to Rosja".

Łuski opadły

Teraz konstrukcja „rosyjskiego świata" runęła. Większości Kościołów prawosławnych dzień po dniu opadały łuski z oczu – wobec świadectw o masakrze dokonywanej przez Rosjan na „braciach" Ukraińcach. 13 marca pojawiła się „Deklaracja z Volos", zainicjowana przez Akademię Studiów Teologicznych w mieście Volos w Grecji centralnej, obecnie podpisana już przez ok. 1500 poważnych osób ze świata nauki i kultury. „Deklaracja" szczegółowo analizuje idee „rosyjskiego świata" i pokrewne, które w opinii badaczy stały się usprawiedliwieniem i pobudką do wszczęcia przez Rosję wojny na Ukrainie. Piętnuje jednoznacznie rolę patriarchy Cyryla i całej Cerkwi rosyjskiej. Pokazuje błędy w myśleniu teologicznym, które prowadzą do nadania sakralnych wartości zjawiskom narodowym, w rodzaju pojęcia „świętej Rusi". Doszło do teologicznego przebudzenia.

Do podobnego przebudzenia nie dochodzi na razie w samej Rosji. Według wiarygodnych badań opinii około 70-80 proc. Rosjan popiera obecnie Putina i solidaryzuje się z celami „operacji militarnej na Ukrainie", jakie przedstawiają władze. Czy można to tłumaczyć odcięciem od rzetelnych informacji? Te, mimo blokad, cenzury wojennej i drakońskich ↦

↦ kar za odstępstwa od propagandowej wersji, jakoś docierają, skoro codziennie odbywają się w Rosji tłumne protesty przeciw wojnie; „tłumne", godne najwyższego szacunku, bo skrajnie niebezpieczne – ale statystycznie ciągle znikome... A może starczyłoby myślenie swobodnie krytyczne lub choćby zdrowy rozsądek, by nie ulegać propagandzie.

Z wielu sygnałów wyłania się statystycznie masowy obraz urazy wobec „Zachodu" o „pouczanie", „niezrozumienie specyfiki Rosji", „narzucanie obcych wzorców i wartości" itp. Autentyczność tego obrazu potwierdza opis postaw w odniesieniu do wojny w grupie znanych rosyjskich psychiatrów, zatem prawdziwej elity, dokonany (pod rygorem nieidentyfikowalności) przez ich superwizora, włoskiego psychoanalityka Sergia Benvenuto. Otóż rosyjscy terapeuci powielali większość stereotypowych resentymentów, a jedna z wyrażonych opinii brzmiała: „bo nie rozumiesz, że Putin to Rosja".

Strach czy fałszywa wiara?

Na takim tle można interpretować smugę cienia, jaka od wybuchu wojny naznacza Cerkiew rosyjską. Bowiem prócz horrendalnych wypowiedzi patriarchy uderza brak wyrazistych głosów innych hierarchów. Nie wiemy, co myśli „sekretarz stanu" Hilarion czy uchodzący za progresistę metropolita Pskowa, Tichon. Może i lepiej, że nie wiemy? Metropolita Wilna i Litwy, Innocenty, również podległy Moskwie, wystosował jednak apel do Cyryla o potępienie wojny. No, ale mimo podległości kanonicznej jest on wolnym obywatelem UE. Trudno więc wyrokować, czy hierarchię w Rosji blokuje strach, czy fałszywa wiara.

Przypadkiem szczególnym jest Kościół Prawosławny Ukrainy Patriarchatu Moskiewskiego. Skupia on około połowy prawosławnych na Ukrainie i dysponuje większością infrastruktury kościelnej w kraju. Równolegle działa Ukraiński Kościół Prawosławny (autokefaliczny), który otrzymał autokefalię (kościelną suwerenność) od Konstantynopola w 2018 r. Moskwa, a za nią Serbia i prawosławna Cerkiew w Polsce go nie uznają, w przeciwieństwie do pozostałej większości lokalnych Kościołów. Egzarcha Cerkwi moskiewskiej w Kijowie, Onufry, już w pierwszym dniu wojny ogłosił zdecydowany apel do Putina o zatrzymanie agresji, którą nazwał „zbrodnią Kaina" – był to głos zupełnie wyjątkowy. Sam Onufry nie przestał wspominać w liturgii Cyryla jako zwierzchnika, ale znaczna część jego Cerkwi przestała.

Istotna jest obecna postawa ukraińskiej Cerkwi autokefalicznej wobec „moskali" na Ukrainie: bez problemów przyjmują wszystkich przechodzących od Moskwy do autokefalii, innym proponują koncelebrowanie i pilnują, by nie narastała agresja wobec wspólnot ciągle pozostających pod władzą Moskwy, jako „piątej kolumny" czy zdrajców ojczyzny. Powstaje podatny grunt pod połączenie „moskali" z autokefalią po zakończeniu wojny. Byłaby to i pewnie będzie największa klęska Cyryla, daleko większa niż jego osobista kompromitacja – upadek pseudoidei kościelnego „rosyjskiego świata".

Podróż Bartłomieja

Do Polski przybył właśnie patriarcha Konstantynopola, „biskup Nowego Rzymu", Bartłomiej. Ten skromny, dostojny starzec jest przeciwieństwem Cyryla, a jego niewielki urząd na przedmieściu Stambułu nie przypomina potężnych siedzib patriarchy „całej Rusi". Bartłomiej nie dysponuje siłą polityczną. Ma za to nieuchwytny autorytet osobisty, a za sobą bogactwo starożytnej tradycji. Dostrzegł to i nieraz wykorzystał Franciszek, „biskup starego Rzymu".

Wielkim dziełem Bartłomieja była próba rozwiązania kryzysu Kościoła na Ukrainie po zdobyciu suwerenności przez ten kraj. Najwięcej możliwości po temu miał oczywiście patriarchat moskiewski, ale spóźnił się wobec procesów historycznych. By im zadośćuczynić, Konstantynopol wznowił swe prerogatywy historyczne wobec ziem ruskich, oddane Moskwie po przejęciu przez nią Kijowa, nb. od Rzeczypospolitej po rozejmie andruszowskim, i nadał Ukrainie należną i zbawienną autokefalię (2018). Myślę, że Putin ocenił to jako wzmocnienie emancypacji Ukrainy, i zapewne się nie mylił. Okopanie się przez Cyryla w sprzeciwie wobec autokefalii nie mogło tej emancypacji zahamować. Na Kremlu zapadła więc decyzja o wojnie, w swym obłąkanym anachronizmie jedyna, na jaką stać Putina ze wsparciem Cyryla. Obaj wierzą przecież w *russkij mir*. Nie rozumieją, że wojna bezpowrotnie ten „świat" unicestwi.

Ojciec autokefalii emancypującej Ukrainę, starzec Bartłomiej przyjeżdża na jej granice. Prowadzi dyskretne rozmowy z polskimi biskupami. Potem prezydent Polski jedzie do papieża. Kompromitacja Cyryla i Rosji tworzy realną szansę na zjednoczenie Kościoła na Ukrainie. Czy całego? © MICHAŁ KLINGER

Autor jest teologiem prawosławnym, biblistą, długoletnim wykładowcą Starego Testamentu w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej i profesorem w Wyższym Prawosławnym Seminarium Duchownym. Był dyplomatą (m.in. ambasadorem RP w Rumunii i Grecji). W 2012 r. z ramienia MSZ wspierał dialog Kościołów Polski i Rosji.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Nowym Sączu w Wydziale I Cywilnym w sprawie o sygn. akt I Ns 1153/21 toczy się postępowanie z wniosku Tadeusza Szymańskiego o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie udziałów:

a) po 3/40 części należące do Marianny Sowy, Jana Sowy, Stefanii Sowy,
b) po 3/400 części należące do Katarzyny z Sowów Ziółkowskiej, Marii Sowy, Jana Sowy i Stefanii Sowy
– w pgr 117/123 i 117/126 położonych w Znamirowicach, obj. LWH 66,

c) 6/32 części należących do Marii z Jamrozów Pasiutowej,
d) po 3/256 części należące do Piotra Pasiuta, Anny Górowskiej, Zofii Biedowej,
e) 43/64 części należące do Marii z Jamrozów Pasiutowej,
f) po 81/5120 części należących do Marianny Sowy, Jana Sowy i Stefanii Sowy,
g) 81/51200 części należących do Katarzyny z Sowów Ziółkowskiej, Marii Sowy, Jana Sowy, Stefanii Sowy
– w pgr 155/3, 155/4, 117/42 położonych w Znamirowicach, obj. LWH 42,

które to parcele (155/3, 155/4, 117/123) utworzyły działkę ewidencyjną nr 250.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Sączu i wykazali swoje prawa do tej nieruchomości, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeśli zostanie ono udowodnione.

VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Spotkanie Papieża Franciszka z przedstawicielami ludów rdzennych Kanady. Watykan, 1 kwietnia 2022 r.

Franciszkowi jest przykro

MARTA ZDZIEBORSKA

Po latach nacisków papież przeprosił rdzennych Kanadyjczyków za współudział Kościoła w polityce przymusowej asymilacji. Kolejnym krokiem ma być jego wizyta w tym kraju.

Odczuwam wstyd i smutek w związku z doznanymi przez was krzywdami i brakiem szacunku dla waszej tożsamości, kultury i wartości duchowych. Takie zachowanie jest niezgodne z nauczaniem Jezusa Chrystusa. Za godne ubolewania postępowanie członków Kościoła katolickiego proszę o Boże przebaczenie i chcę wam powiedzieć z całego serca, jak bardzo mi przykro" – powiedział papież Franciszek podczas audiencji w Sali Klementyńskiej Pałacu Apostolskiego. Jego słowom w piątek 1 kwietnia przysłuchiwali się przedstawiciele kanadyjskiego episkopatu oraz członkowie delegacji rdzennych mieszkańców Kanady, którzy uczestniczyli w tygodniowych rozmowach w Watykanie.

Oddaj swoje dziecko

Podczas przemówienia kończącego wizytę przedstawicieli Pierwszych Narodów, Inuitów i Metysów, papież przeprosił publicznie za krzywdy, jakich w latach 1883-1998 doznało około 150 tys. rdzennych Kanadyjczyków. W szkołach zarządzanych głównie przez Kościół katolicki uczono dzieci języka angielskiego, wpajano im wiarę chrześcijańską i przymuszano ich do zachodniego stylu życia. Nie wolno im było mówić w rodzimych językach ani praktykować własnej duchowości. Przebywające w internatach dzieci były bite, głodzone, stosowano wobec nich przemoc fizyczną i psychiczną, a nawet gwałcono. Według relacji ocaleńców składanych przed Komisją Prawdy i Pojednania zdarzały się również przypadki, że prowadzący placówki księża odbierali młodym matkom niemowlęta, zabijali i... wrzucali je do pieca. Jak wynika z raportu Komisji, w szkołach z internatem zmarło co najmniej 6 tys. dzieci. W większości przypadków umierały z powodu chorób zakaźnych, wypadków czy pożarów w szkołach.

O mrocznym okresie w historii Kanady było głośno w zeszłym roku, gdy na terenie trzech dawnych szkół z internatem znaleziono szczątki ponad tysiąca dzieci. Szczególnie szerokim echem odbiło się odkrycie, które rozpoczęło czarną serię w maju: gdy w szkole dla Indian w Kamloops znaleziono szczątki 200 dzieci. W całej Kanadzie – w parkach, przed kościołami, a nawet przy wejściach do centrów handlowych – stawiano buciki upamiętniające śmierć rdzennych uczniów. Następne tygodnie upłynęły pod znakiem protestów, dochodziło również do podpaleń i profanacji kościołów. To właśnie duchowni katoliccy w latach 1890-1969 zarządzali szkołą w Kamloops, gdzie w szczytowym okresie uczyło się około 500 dzieci rocznie.

Gwałt za podwózkę

O tym, jakie piętno odcisnęła na rdzennej ludności polityka przymusowej asymilacji, przekonała się Tammy Maltan, 48-latka z plemienia Micmac w prowincji Québec. Kobieta mówi „Tygodnikowi", że jej rodzice uczyli się w szkole z internatem w oddalonym o godzinę drogi Listuguj. W placówce prowadzonej przez Kościół katolicki niejednokrotnie doświadczyli przemocy.

– Gdy mój tata był już grubo po czterdziestce, doznał załamania nerwowego – opowiada Tammy, z którą rozmawiam za pośrednictwem Zooma. – Wtedy po raz pierwszy powiedział nam, że jako dziesięcioletni chłopiec został zgwałcony. Trauma związana z pobytem w szkole z internatem była tak duża, że celowo zawalał naukę, by jak najszybciej wyrzucono go za słabe oceny. Zarówno tata, jak i mama bardzo tęsknili wtedy za swoimi rodzicami, których mogli widywać tylko w weekendy. Do rodzinnego domu szli zawsze na piechotę. Nie chcieli ↦

tak jak inne dzieci korzystać z podwózki nieznajomych, bo to wiązało się z ryzykiem gwałtu – odpowiada Tammy i dodaje, że tamte traumatyczne doświadczenia odbiły się potem na jej dzieciństwie. Z najmłodszych lat pamięta alkoholizm rodziców, ich uzależnienie od narkotyków i obojętność na problemy własnych dzieci.

Tammy zaznacza, że przerażające doświadczenia dotknęły nie tylko jej najbliższą rodzinę. Kuzynka jej rodziców jako kilkumiesięczne dziecko zachorowała i trafiła do szpitala. Na miejscu lekarze wmówili jej matce, że dziewczynka umarła, i oddali ją białej kobiecie, która poroniła dziecko. Kuzynka Tammy została zabrana przez przyszywanych rodziców do Holandii. Dopiero gdy jako dorosła kobieta poznała swoją historię, wróciła do Kanady.

– Życie rdzennych mieszkańców nie miało kiedyś żadnej wartości – twierdzi Tammy. – Dla białych byliśmy zwykłymi dzikusami, których można wykorzystać. To, że papież Franciszek zaprosił do Watykanu przedstawicieli rdzennych Kanadyjczyków, to dla nas duży przełom. Nawet moi rodzice wyjątkowo śledzą serwisy informacyjne i oglądają relacje z wizyty indiańskich delegacji. Papież powinien przeprosić na oczach całego świata – mówi Tammy, z którą rozmawiam na dwa dni przed przełomowym przemówieniem Franciszka w Watykanie.

Chcemy przeprosin

– Papież wyglądał na skupionego i przejętego cierpieniem, jakiego doznali nasi ocaleńcy – opowiada „Tygodnikowi" Mitch Case, członek delegacji Metysów, która spotkała się z Franciszkiem w poniedziałek 28 marca. Godzinna prywatna audiencja rozpoczęła się od modlitwy w rodzimym języku Metysów oraz opowieści trzech członków delegacji, którzy uczyli się w przymusowych szkołach z internatem. Delegacja podarowała następnie papieżowi czerwone skórzane mokasyny z etnicznymi wzorami z koralików. Jak tłumaczy Mitch Case, kolor prezentu był nieprzypadkowy: choć Franciszek na przekór tradycji zrezygnował z noszenia czerwonych butów, to zdaniem Case'a ciągnie za sobą przewinienia papieży, którzy godzili się na przymusową asymilację rdzennych Kanadyjczyków.

Delegacja Metysów zaapelowała podczas audiencji, by Franciszek udał się do

ARCHIWUM PRYWATNE

Mitch Case

ARCHIWUM PRYWATNE

Tammy Martin

Kanady i tam przeprosił za współudział w polityce przymusowej asymilacji (podczas piątkowego przemówienia papież potwierdził plany związane z tą wizytą). Metysi zwrócili się również z wnioskiem o udostępnienie archiwów dotyczących katolickich szkół z internatem. W rozmowach pojawił się także wątek odszkodowań, co w przypadku Metysów jest wyjątkowo drażliwym tematem. Społeczność ta została niemal całkowicie wykluczona z federalnego programu odszkodowawczego. Jak tłumaczy Case, po części związane jest to z faktem, że szkoły dla Metysów finansowane były bezpośrednio przez Kościoły i rządy poszczególnych prowincji. Władze federalne uznały więc, że to te jednostki powinny być adresatami wszelkich roszczeń.

Rdzenni Kanadyjczycy od lat przypominają, że katolickie organizacje słabo wywiązują się z wypłaty odszkodowań – od 2006 r. wypłaciły mniej niż 15 proc. z uzgodnionej kwoty w wysokości 25 mln dol. Na jesieni zeszłego roku nastąpił przynajmniej wizerunkowy przełom: kanadyjski episkopat przeprosił rdzennych mieszkańców za wyrządzone krzywdy i obiecał zebranie 30 mln dol. w ramach zadośćuczynienia dla ocaleńców.

Podczas spotkań papieża z rdzennymi Kanadyjczykami mocno wybrzmiała również sprawa księdza Johannesa Rivoire'a. To 93-letni duchowny oskarżany o molestowanie seksualne inuickich dzieci, w czasie gdy niemal pół wieku temu pełnił posługę w Nunavut. Na księdzu mieszkającym obecnie w Lyonie ciąży kanadyjski nakaz aresztowania, jednak Francja odmawia ekstradycji francuskich obywateli. Główny przedstawiciel Inuitów Matan Obed poprosił papieża, by ten nakłonił księdza do powrotu do Kanady i stawienia się przed tamtejszym wymiarem sprawiedliwości.

To nie koniec

Wizyta delegacji rdzennych Kanadyjczyków w Watykanie i przeprosiny Franciszka to przełamanie impasu, który trwał od co najmniej 2015 r. Papież konsekwentnie opierał się rekomendacji raportu Komisji Prawdy i Pojednania, która zaapelowała, by ten „przeprosił ocaleńców za rolę, jaką Kościół odegrał w duchowym, kulturowym, emocjonalnym, fizycznym i seksualnym wykorzystywaniu rdzennych uczniów". Te naciski, również ze strony premiera Justina Trudeau, nasiliły się w zeszłym roku, gdy na terenie dawnych szkół znaleziono szczątki dzieci.

A takich tragicznych odkryć może być jeszcze więcej. W czasie, gdy delegacje przebywały w Rzymie, kanadyjski premier spotkał się ocaleńcami z Williams Lake w Kolumbii Brytyjskiej. Wizyta nastąpiła dwa miesiące po tym, jak na terenie jednej ze szkół wstępne badania radarem wykazały, że pod ziemią mogą znajdować się mogiły. W odpowiedzi na te doniesienia Justin Trudeau obiecał 2,9 mln dol na dalsze prace poszukiwawcze i pomoc psychologiczną dla społeczności, w których pamięć o krzywdach doznanych z rąk duchownych i kanadyjskich władz jest wciąż żywa. Jak szacuje szefowa Stowarzyszenia Pierwszych Narodów RoseAnne Archibald, w całym kraju planowane są poszukiwania grobów w ponad 130 dawnych szkołach dla Indian. Rozdział związany z mroczną historią Kanady nie jest jeszcze zamknięty.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ZUZANNA

Radzik:
Królewska ucieczka

Świat uparcie trwa. Zwłaszcza daleko na zachód od Warszawy, w której jednak czuć więcej ludzi, słychać język, a ukraińskie barwy na Pałacu Kultury, na pomnikach i autobusach nie dają zapomnieć. Tu w Brukseli inaczej, Parlament Europejski rozpalił się na żółto i niebiesko tylko w czasie sesji. Po czym zgasł. Tak obecne na ulicach Polski kotyliony, przypinki, chorągiewki, hasła „My z Wami" na billboardach to niby symboliczne deklaracje, ale nie dają zapomnieć ani na krok.

A tu wiosna i ciągle ktoś pyta, czy można się nią cieszyć, czy wypada. Żeby oszczędzić wątpliwości, dziś dla odmiany za oknem wirują płatki śniegu, a niebo zrobiło się całkiem bure. A jeszcze wczoraj stawałam w osłupieniu przed kwitnącym na skwerze owocowym drzewem i dziwiłam się, że magnolia już gubi płatki. To nie znosi jednak szeregu kolejnych pytań: czy wypada teraz kupić sobie coś niekoniecznego? Wypada się cieszyć? Wypada mieć swoje zwykłe problemy i troski: chorych rodziców, dzieci, pochłaniające uwagę problemy w pracy?

Wypada nie wypada, czasem można coś zrobić ukradkiem. Np. gdy algorytm zgadujący, co może mnie zainteresować i zatrzymać w wirtualnym świecie, oszalał. A może wiedział lepiej, że potrzebuję małej ucieczki. Tym razem nie podsuwał niepotrzebnych i nieadekwatnych reklam rzeczy, których nie chciałabym mieć. Zasadził się na mnie sukienkami księżnej Kate Middleton. Konkretnie tymi, które nosiła podczas niedawnej książęcej wizyty na Karaibach. Nie ukrywam, lubię sukienki, ale własne. Nie zajmowało mnie nigdy, czy ten konkretny niebieski będzie pasował żonie brytyjskiego następcy tronu. Może czymś skusiłam, może gdzieś spontanicznie weszłam, grunt, że potem potok informacji na ten temat nie dał się zatrzymać. Plisa z lotniska genialna, wróży powrót plisy do łask, pokazuje, jak użyć jej z gustem, nie to co niefortunna plisa Meghan w Nowej Zelandii. Letnia sukienka tego samego dnia bardzo udana, ale ta żółta z ostatniego zdecydowanie ją postarza. Najpierw czułam bunt, bo kogo obchodzi pierwsza po pandemii zamorska podróż księcia i księżnej, nawet malowniczo tropikalna. Niebywałe też, że jeszcze się takie, dość kolonialne, wizyty odbywają, a nawet bardziej niebywałe, że prasa tak wnikliwie je śledzi. Nic nie było o treści, tylko moda. Wiem o księżnej więcej, niż planowałam, nawet to, jakich firm nosi trampki, co pieczołowicie udokumentowano, porównując z trampkami księżnej numer dwa. Przy trampkach wymiękłam.

Już naprawdę wystarczy. Algorytm jednak kusi, wyskakuje z nowymi wieściami. W końcu jest jeszcze w Europie parę księżniczek i księżnych. Jeszcze można się zastanowić, czy Charlotte jest podobna do babci, czy do kogoś innego? Kogo innego – nie sprawdziłam, bo demonstruję internetowi, że mnie to nie obchodzi. Skoro nie mała Charlotte, to może zainteresuje cię księżniczka z Monako? Albo to, że infanta Sofía na bierzmowanie siostry Leonore poszła w sukience z sieciówki za jedyne 35,99 funtów (podali w funtach, bo życie arystokratów chyba ciekawi bardziej brytyjską niż europejską prasę). *Total bargain!* Teraz każda z nas może się ubrać jak księżniczka. Zresztą hiszpańskie księżniczki w ciuchach z sieciówek chodzą regularnie. *Royal fashion* na wyciągnięcie ręki. Ale na razie tylko Elisabeth Koburg, księżna Brabancji i belgijska następczyni tronu, oprócz zdjęć w sukniach i z uniwersytetu ma też takie z akademii wojskowej. Pompki o 5.45, w moro na zajęciach, w hełmie na poligonie i w kamuflażu z karabinem. Uwiecznił królewski fotograf, rozesłały służby prasowe dworu.

Jeśli nie interesują was księżniczki, to może książęta? W ramach odskoczni od sukienek – zdjęcia książąt Danii, siódmego i ósmego w kolejce do tronu. Wiedzieliście, że Nicolai i Felix dali nogę z akademii wojskowej, bo tego nie czują, i zostali modelami? Swoją drogą, czy wszyscy inni książęta i księżniczki też nie są modelami, choć bez wybiegów?

Oto wszystko, czego nie musieliście wiedzieć o europejskich następcach tronu, ale że to ucieczka, jak każda inna, więc dzielę się swoją. Choć owszem, słaba to ucieczka. O wizycie Kate i Williama na Karaibach nie wiedziałabym pewnie, gdyby nie wtargnięcie sukienek w moje pole widzenia – ale o co w tej podróży chodzi, nietrudno doczytać. Barwne sukienki i dystyngowane uśmiechy nie zniosą kontrowersji, jakie wywołała wizyta w Belize, na Jamajce i Bahamach, wyrzutów z powodu kolonialnej przeszłości, braku królewskiego „przepraszam" za niewolnictwo i wyzysk, dystansu od problemów żyjących tam ludzi i kosztów, jakie niesie podróż. Książę zakończył wizytę, mówiąc – ponoć bez uzgodnienia i spontanicznie – że wspiera i szanuje decyzje na temat ich przyszłości. Również, gdy będzie osobna. Nawet w sukienki nie da się daleko uciec przed światem. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

POZNAŃ, czwartek 7 kwietnia
Spotkanie z siostrą Katarzyną Kowalską
„Refleksja nad Świętami Wielkanocnymi"
/ online /

REZERWUJ CZAS!

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

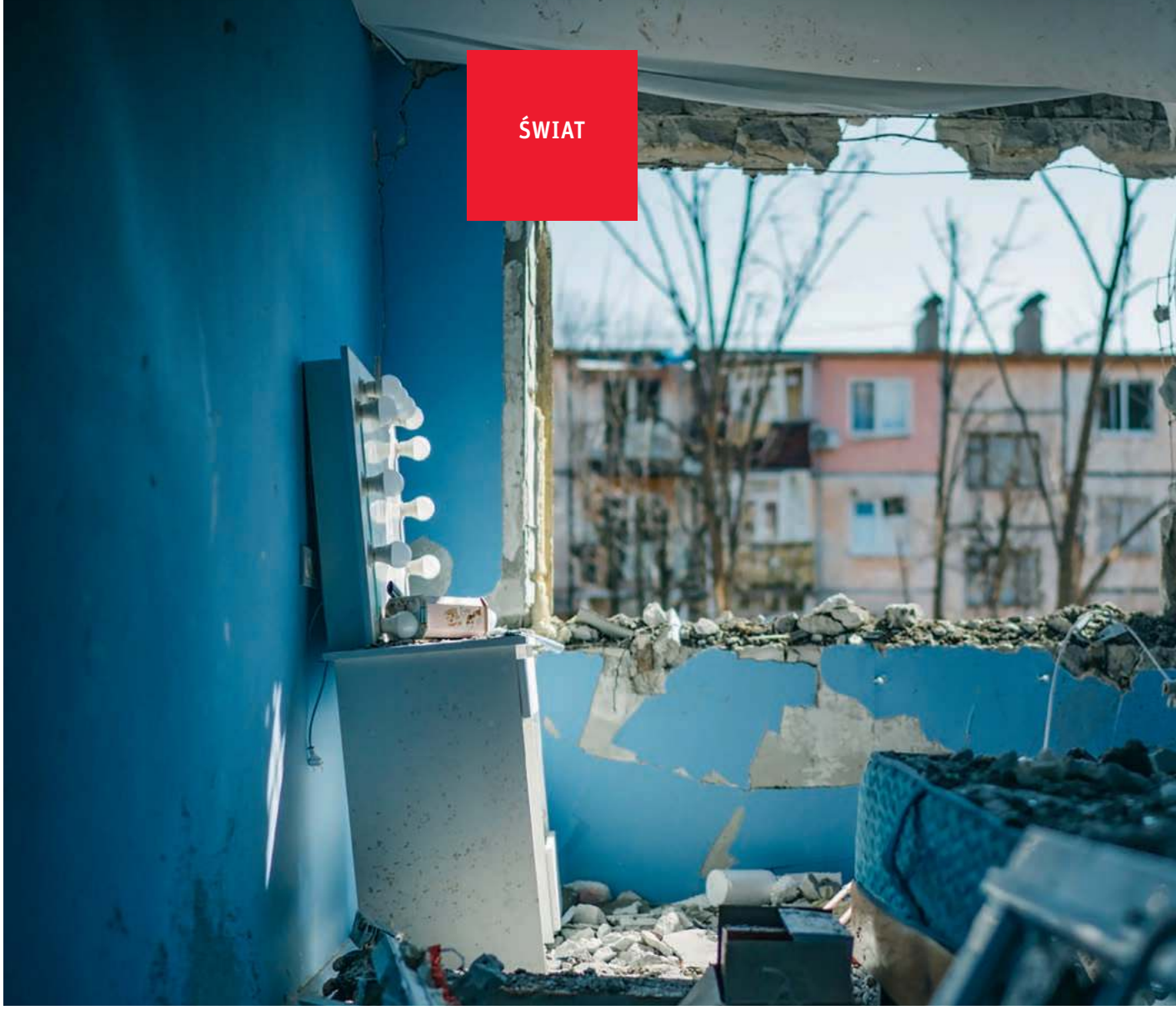

DOMU NIE DA SIĘ SPAKOWAĆ

Przynajmniej 10 milionów Ukraińców musiało opuścić swoje miejsca zamieszkania. Marzą, by zobaczyć je znowu.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA

NA DWA DNI PRZED ROSYJSKIM ATAKIEM Marija i Dmytro nerwowo krążyli po mieszkaniu, palili papierosy jeden za drugim i mniej więcej co pół godziny zmieniali decyzję: wyjeżdżać z Charkowa czy zostawać.

Na wszelki wypadek kupili bilety na pociąg do Lwowa. Chaotycznie chowali rzeczy do walizek i kartonów. 27-letnia Marija spakowała dwie ulubione sukienki. Buty wybrała najbardziej rozchodzone, bo w nich jest najwygodniej. Zapomniała – czego żałuje – pudełka ze zdjęciami. Z tyłu głowy miała poczucie, że może już nie wrócić do mieszkania ani w ogóle do Charkowa. – Trochę czułam się tchórzem, bo zostawiałam wszystko, na czym mi zależy, i wszystkich, których kocham – przyznaje.

Choć na dwa dni przed ofensywą Rosji wciąż wielu wydawało się, że inwazja nie jest przesądzona, Dmytrowi zapaliła się czerwona lampka po tym, gdy Władimir Putin ogłosił, że uzna dwie mario-

Zniszczone mieszkanie Nataliji. Charków, 26 marca 2022 r.

netkowe republiki w częściach obwodów donieckiego i ługańskiego. Marija i Dmytro spodziewali się eskalacji konfliktu w Donbasie, trwającego od 2014 r. Półtoramilionowy Charków sąsiaduje z Donbasem, więc także mógł stać się celem.

Pół godziny przed odjazdem pociągu do mieszkania pary przyszli rodzice Mariji. Wręczyła im klucz i pierwszy raz od wielu lat rozpłakała się przed nimi. Szybko pobiegli na dworzec, wsiedli do pociągu i odjechali, nikomu nic nie mówiąc. Po ponad miesiącu wciąż nie wrócili do regularnie ostrzeliwanego Charkowa.

Od 10 do 15 mln Ukraińców musiało opuścić swoje domy z powodu rosyjskiej inwazji. Ponad 3 mln wyjechały za granicę, z czego większość do Polski. Zostawili za sobą domy, rzeczy osobiste i wspomnienia. Nie wiedzą, czy swoje domy jeszcze kiedyś zobaczą.

Cudze mieszkanie uczynić swoim

Jeszcze w 2018 r. Marija i Dmytro mieszkali gdzie indziej. Spacerowali kiedyś po okolicy, w której obecnie jest ich dom. Marija nie chce zdradzać lokalizacji. Spojrzeli na jeden z balkonów i któreś z nich powiedziało: „Ale super byłoby tu mieszkać!". Mariji podobała się okolica i to, że w pobliżu mieszkało wielu znajomych.

Wkrótce wynajęli właśnie to mieszkanie, na które patrzyli z ulicy. Było w fatalnym stanie, ale za to właściciel chciał niewiele za wynajem i zgadzał się na każdy remont. Stopniowo je remontowali za własne pieniądze. W drugiej połowie ubiegłego roku Dmytro doprowadził do porządku balkon. Było już chłodno, ale para cieszyła się, że gdy nadejdzie wiosna, będą mogli na nim przesiadywać.

– Remont w nie swoim mieszkaniu bywa męczący. Dopóki masz entuzjazm, jest super. Ale kiedy zaczynasz myśleć, że ono nie jest twoje i nie wiadomo, jak długo będziesz w nim mieszkać, pojawiają się wątpliwości – mówi Marija.

Mimo to ciągle zastanawiali się, co jeszcze zmienić. Może poza meblami, które przez długi czas przestawiali, by znaleźć im optymalne miejsce. Z cudzego mieszkania tworzyli własne. Marija najwięcej czasu spędzała w pokoju, który był zaaranżowany na skromny gabinet. Ustawiła tu biurko i przesiadywała przy nim godzinami. Pracowała zdalnie dla firmy informatycznej. – Twoje miejsce jest tam, gdzie spędzasz większość czasu. To twój dom. Choć tym mianem nazwałabym cały Charków – przyznaje. Dla niej dom tworzą bliscy jej ludzie.

Po wyjeździe w ich mieszkaniu wciąż jest trochę rzeczy: rower przytwierdzony do ściany, rozwieszone pranie, plakaty, rośliny, które podlewał co jakiś czas znajomy, a także pudełka z rzeczami, które może w końcu ktoś będzie mógł im przekazać. Jeden z przyjaciół, mający klucze do mieszkania, zdjął i schował pod łóżkiem pracę charkowskiego artysty Hamleta, którą Marija otrzymała od niego na urodziny. Widnieje na niej napis: „Jestem sprzedawcą, który nie ma nic do sprzedania".

Poszukiwanie miejsca

Bywało, że Marija zbierała się w spontaniczną podróż. Kilka lat temu wybrała się do USA. Jechała w nieznane, nie miała planu, dość pieniędzy, musiała mieszkać po ludziach.

– Tym razem jest podobnie, ale z tą różnicą, że nie jestem pewna, czy mam dokąd wrócić – mówi Marija. – Chcę wierzyć, że wszystko będzie dobrze, ale nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja.

Wtedy po czterech dniach Marija wyjechała ze Lwowa i udała się do Polski (Dmytro został w stolicy Galicji). Nie chciała opuszczać kraju, ale w ostatnich miesiącach podupadła na zdrowiu z powodu choroby autoimmunologicznej. Bała się, że będzie obciążeniem dla innych, więc pojechała. Pierwsze trzy tygodnie spędziła w Warszawie. Zatrzymała się w mieszkaniu brata. Poczekała na rodziców, którzy później także opuścili Charków, i wyjechała do Berlina, gdzie ma znajomych. Poza tym Polska jest dla niej zbyt blisko Ukrainy – często myślała o powrocie.

W Berlinie znalazła pokój. Chciałaby trochę ochłonąć, a potem zająć się niezbędną biurokracją, by móc zostać dłużej w strefie Schengen niż obowiązujące w ramach reżimu bezwizowego 90 dni. Jeśli wszystko się ułoży i będzie miała pracę, zostanie w Berlinie. W innym razie pojedzie gdzieś dalej. W mieszkaniu, w którym żyje obecnie, może zostać tylko jakiś czas, dlatego szuka czegoś do wynajęcia. – Muszę znaleźć miejsce, w którym będę mogła przebywać przez dłuższy okres – mówi Marija.

To będzie jej dom? – Nie, dom mam tylko jeden – odpowiada.

Ukochane cztery kąty

W jasnym mieszkaniu z piękną panoramą na Charków 33-letnia Tetiana Dehterowa mieszka od ponad dwóch dekad. Najpierw z rodzicami, a potem z mężem Denysem. Gdy jej ojciec i matka wyprowadzili się, małżeństwo przeprowadziło gruntowny remont. Do skończenia została tylko łazienka, za którą mieli się zabrać w najbliższym czasie. Teraz Tetiana cieszy się, że nie zdążyli jej wyremontować.

Ozdoby do domu wybierali na pchlich targach w Charkowie i innych miastach, które odwiedzali. Przywozili je choćby z Polski, Niemiec czy Cypru. Nie potrafi wybrać jednej ulubionej rzeczy.

– Wszystko, poczynając od mebli, a kończąc na świecznikach, wybieraliśmy z mężem – przyznaje Tetiana. – Może jakbyśmy wynajmowali to mieszkanie, nie kochalibyśmy go tak bardzo.

↦

↦ W przestronnym mieszkaniu panuje porządek. O tym, że coś się zmieniło, świadczą zaklejone okna, ukryte w bezpiecznym kącie rośliny i zdjęte lustra.

Porządek był jednym z elementów, na które Tetiana zwracała uwagę. Wraz z uporządkowanym planem dnia i zagospodarowaną wokół przestrzenią stanowił filary jej codziennego funkcjonowania. Pracowała z domu, więc musiała mieć wszystko zorganizowane, by dni nie przeciekały przez palce. Chciała, by otoczenie było dla niej natchnieniem. W przerwie lubiła patrzeć przez okna na Charków i łapała wzrokiem pięć kościołów, które wyróżniały się wśród zabudowy.

Tetiana pracowała w centrum zajmującym się wsparciem dla poszkodowanych na skutek katastrofy w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej w 1986 r.; jej organizacja m.in. zbierała historie ofiar. W 2014 r., gdy wybuchła wojna w Donbasie, do Charkowa przyjechało wielu uchodźców z terenów ogarniętych walkami. Wówczas centrum zaczęło działać także na ich rzecz.

Tetiana przyznaje, że to pewna ironia, iż z osoby zajmującej się uchodźcami wewnętrznymi sama stała się jedną z nich.

Ja albo miasto

Od świtu 24 lutego w Charkowie grzmiało od nalotów. Miasto stało się jednym z celów rosyjskiej ofensywy. Jeszcze tego dnia na obrzeżach doszło do walk z użyciem czołgów i artylerii. Mimo to pozostali w domu na jeszcze jedną noc. Gdy jednak walki się nasilały, Tetiana i Denys zabrali ubrania i bieliznę na zmianę, szczoteczki do zębów, pastę, mydło, a następnie udali się do piwnicy znajdującej się niedaleko ich budynku.

– Gdy w miejscu, gdzie powinnam czuć się najbezpieczniej, odczuwałam zagrożenie, występował dysonans poznawczy. Ziemia usuwa się spod nóg – mówi Tetiana. – W tej nowej rzeczywistości są rzeczy, które od nas nie zależą.

Nikt w Charkowie nie miał wpływu na to, co się stanie z ich domem, nieważne jak bardzo byliby aktywni. Mogli działać, organizować sieci wolontariuszy, pomoc humanitarną, wspierać innych, ale nie mogli wpłynąć na to, gdzie uderzy bomba z samolotu czy rakieta.

W pierwszych dniach można było odnieść odwrotne wrażenie. Im bardziej zdeterminowani do działania byli ludzie pozostali w mieście, tym zacieklej wydawało się być ono atakowane. Na początku marca bomby spadały na centrum. W piwnicy, w której przebywali Tetiana i Denys, tak waliło i trzęsło, że trudno było zgadnąć, czy na zewnątrz jeszcze coś stoi. On nie chciał wyjeżdżać. Ona była na skraju załamania nerwowego. Postawiła ultimatum: albo ona, albo miasto.

Mieszkanie Tetiany. Charków, 24 marca 2022 r.

Wisimy na włosku

Zebrali najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechali. Przyszło im to z trudem. – Wzięłam leki, buty na zmianę, środki higieniczne, ale przecież nie możesz zabrać całego domu. Wszystko w nim jest wykochane, każdy detal. Dlatego pozostawiając mieszkanie, czułam, jakby odbierano mi coś rodzonego. Potrafię pakować się przed podróżą, ale jak spakować dom do walizki i samą siebie, to nie wiem – mówi Tetiana.

Szczególnie żałuje, że nie zabrała starych wyszywanych koszul. Przyznaje, że była to jej rodzinna duma. Gdyby mogła wziąć coś jeszcze, zabrałaby talerze, z których zawsze jedli, bo wtedy czułaby się bliżej domu.

Tetiana i Denys dotarli – z postojami po drodze – do miasta Chmielnicki w środkowej Ukrainie, gdzie wynajmują komfortowe mieszkanie. Tu sytuacja jest nieporównywalnie spokojniejsza niż w Charkowie. Mimo to Tetiana często myśli o rodzinnym mieście i domu. Chciałaby wrócić. Budzi się i nie może zrozumieć, gdzie się znajduje. Potrzebuje chwili, by uświadomić sobie, że to nie jej łóżko, nie jej sypialnia.

– Wszyscy na Ukrainie czujemy się, jakbyśmy wisieli na włosku. W każdej chwili możemy zostać bez niczego. Nie wiemy, kiedy będziemy mogli położyć się na własnej poduszce, przykryć się własną kołdrą we własnym łóżku – stwierdza Tetiana.

Wojna nie mieściła się w głowie

Mniej więcej w tym czasie, co Tetiana, z Charkowa wyjechała Natalija ze swoim chłopakiem Serhijem i kotką Cirillą. 27-latka jest doktorantką na lokalnej politechnice, a także trenerką akrobatyki powietrznej i rozciągania.

24 lutego, jak wszystkich w mieście, obudziły ją wybuchy o piątej rano. Nie mieściło się jej w głowie, że mogło dojść do takiej wojny. Dzwoniła do znajomych i wypytywała, czy też słyszą to, co ona. Wszyscy potwierdzili. Po orędziu prezydenta Zełenskiego nie było już cienia wątpliwości. W ciągu dnia zadzwoniła z przeprosinami do matki, z którą dzień wcześniej się pokłóciła, bo miał dosyć, że mama ciągle mówiła jej, aby zrobiła zapasy i dokądś wyjechała. Wtedy Natalija ze złością odpowiadała, że wszystko będzie dobrze i Rosja nie zaatakuje.

Teraz wraz z Serhijem szybko zebrali rzeczy. Do dwóch plecaków spakowali to, co najniezbędniejsze: komputery, leki, jedzenie dla siebie i kota, trochę ubrań. Do walizki dopakowali to, co przydatne, ale co mogli w najgorszym razie zostawić, gdyby nie mieli jak jej zabrać. Piwnica w ich budynku nie nadawała się do zamieszkania. Pierwszej nocy ukrywali się w łazience, potem zdecydowali, że bezpieczniej będzie w korytarzu. Tam ułożyli karimaty i koce.

Po sześciu dniach i wyjątkowo głośnej eksplozji Nataliję naszły złe przeczucia. Powiedziała Serhijowi, by przenieśli się do znajomych, którzy mieszkali w budynku niedaleko, a obecnie chronili się w podziemnym parkingu. Znajomi

Mieszkanie Mariji i Dmytra. Charków, 26 marca 2022 r.

wahali się, czy wyjeżdżać. Mieli dwa samochody, więc mogli zabrać też Nataliję, Serhija i ich kota.

Do wyjazdu przekonało ich ostatecznie, gdy weszli do mieszkania znajomych na siedemnastym piętrze. Akurat, gdy byli w środku, bardzo nisko przelatywał samolot, ściany domu drżały. Wkrótce rozległy się odgłosy eksplodujących bomb. Znajomi przerazili się i wszyscy zbiegli do piwnicy. Zebrali rzeczy i dwoma samochodami ruszyli wspólnie w kierunku Lwowa. Wszyscy przekonywali się, że jadą tylko na chwilę. Ale Natalija miała przeczucie, że potrwa to dłużej.

Wiadomość na czacie

Po drodze co chwila utykali w strasznych korkach. Do tego każdego wieczora zaczynała się godzina policyjna, kiedy nie można przebywać na drodze. W rezultacie do Lwowa jechali pięć i pół doby.

Trzeciego dnia, gdy dochodził wieczór i zbliżali się do Winnicy, Nataliji na ekranie telefonu wyświetliły się wiadomości z czatu dla mieszkańców jej budynku. Pokazywały powybijane i powyrywane okna, zniszczone balkony i fasady, a nawet dach. Wyrwała się jej wiązanka przekleństw. Podwórka są do siebie bardzo podobne, zdało się jej, że ich okna są w dobrym stanie. Serhij od razu poznał ich niebieską sypialnię i dziurę, w której wcześniej było okno. Ale postanowili nie martwić się na zapas i poczekać do rana na więcej informacji. Natalija przekonała samą siebie, że to nie ich budynek ostrzelano. Zasnęła.

Po przebudzeniu zobaczyła kolejne filmiki i zdjęcia wysyłane przez sąsiadów. Już nie mogła się łudzić. Widziała wyraźnie swoją niebieską sypialnię. Rakieta walnęła w podwórko, a fala uderzeniowa rozbiła im okna i wepchnęła całą ramę do środka tak głęboko, że zatarasowała wejście do pokoju. Gruz i szkło posypały się na łóżko stojące tuż naprzeciw okna, na którym do niedawna spali Natalija z Serhijem. Stojąca obok toaletka była porysowana, ale cała, włącznie z lustrem i żarówkami, które pozwalały lepiej podświetlić pokój, gdy się malowała. Dostała ją w prezencie od Serhija na nowy rok. Jedyne, co ją ucieszyło, to fakt, że nikt nie zginął i nie doszło do pożaru w ich budynku. Prawdopodobnie będzie można go odbudować.

– W pewnym sensie podeszłam do tego ze spokojem. Może dlatego, że dom jest tam, gdy są ze mną bliscy, a oni są obok. Nie wykluczam, że jakbym zobaczyła to na żywo, wywołałoby to więcej emocji – stwierdza Natalija.

Do tego mieszkania wprowadzili się w październiku 2020 r. To ich pierwsze mieszkanie własnościowe. Wtedy jeszcze nie było ukończone. Ostatni element, parapety w sypialni, zamontowali dopiero przed ostatnim nowym rokiem.

Bez syren i wybuchów

We Lwowie spędzili dwa tygodnie. Sądzili, że w tym czasie sytuacja się uspokoi i wrócą do Charkowa. Mijały dni, a Charków był pod ostrzałem. Do tego we Lwowie ciągle wyły syreny alarmowe, a parę razy na obiekty wojskowe na obrzeżach miasta spadły rakiety. Natalija znowu czuła się źle. Ruszyli więc do Budapesztu. Tam firma, w której pracuje Serhij, zapewniła im hotel. Na razie chcą w nim zostać i ochłonąć. Potem pomyślą, co dalej.

Hotel ze swoim szablonowym wyposażeniem jest zaprzeczeniem domowego zacisza, w którym Natalija chciałaby spędzać czas. Nie ma kuchni ani przestrzeni na codzienne życie. Docenia jednak to, że z łóżka nie wyrywają jej syreny ani wybuchy.

Ma nadzieję, że niedługo taka sama cisza zapanuje w Charkowie. Wtedy wróci do domu.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

ATAK NA UKRAINĘ
SERWIS SPECJALNY

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie.

Relacjonują:
Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGE

Ewakuacja ludności cywilnej z Mariupola. 26 marca 2022 r.

Kobiety z Mariupola

KACPER DZIEKAN, DMITRIY PANTO

Marina i Luba uciekły z piekła: z oblężonego miasta, które stało się symbolem rosyjskich zbrodni w tej wojnie, aż do Gdańska. Oto ich historia.

Kiedyś, w innej epoce, też było symbolem: przez ponad 200 lat Mariupol funkcjonował na styku kultur, religii i cywilizacji. Ten portowy ośrodek został założony pod koniec XVIII w. przez wieloetnicznych chrześcijańskich przesiedleńców z Chanatu Krymskiego. Wśród nich najwięcej było Greków, stąd greckobrzmiąca nazwa osady: Mariupolis, miasto Marii.

Nazwa nawiązywała do imienia carycy, ale ludzie wiedzą swoje: dziś, gdy Mariupol stał się znów symbolem, w Ukrainie zaczęto mówić, że zło, które spadło na kraj, uwzięło się na to miejsce, gdyż jest to „miasto Matki Boskiej".

Miastem przyfrontowym Mariupol stał się w 2014 r. Linia frontu między Ukrainą a kontrolowaną przez Rosję tzw. Donecką Republiką Ludową przez ostatnie osiem lat biegła kilkanaście kilometrów od miasta. Mimo to mieszkańcy starali się je rozwijać. Tym bardziej że w wyniku utraty Doniecka to Mariupol stał się kluczowym miastem ukraińskiego Donbasu.

I tak, o fenomenie jego wielokulturowości miało opowiadać powstające z inicjatywy prezydenta miasta nowoczesne muzeum: Port Kultur. Wzorem podobnych instytucji na świecie, poza funkcją wystawienniczą miało być też przestrzenią integracji społeczeństwa i miejscem oferującym ciekawy sposób spędzania wolnego czasu. Zespół tworzący nową instytucję składał się w dużej mierze z młodych osób, studentów lokalnego uniwersytetu, którzy w przyszłości mieli pracować w wybudowanym przez siebie Porcie Kultur.

Jedną z nich była Marina Jurczenko, studentka kulturoznawstwa.

Dziś wspomina: – Najbardziej w tej pracy podobała mi się ważność tego, co robiłam. Czułam, że zajmuję się czymś ważnym. Widziałam, jak miasto się zmienia. Widziałam, że do czegoś dąży. Chciałam w tym uczestniczyć. Zawsze mówiłam, że jestem nie tylko patriotką mojego kraju, ale też lokalną patriotką.

– Zaczęłam kochać Mariupol – mówi nam Marina. – Szczególnie, gdy dzięki pracy nad Portem Kultur zaczęłam zagłębiać się w jego historię. Wiele rzeczy, których dowiadywałam się, opowiadałam potem członkom mojej rodziny. Babcia wspominała: „Ja przez 75 lat życia nie dowiedziałam się tyle o historii Mariupola, ile dowiedziałam się teraz od ciebie". Cieszyłam się, że mogę przyjść do domu i zaczynać opowiadania z cyklu „A wiecie, że?". Miałam poczucie, że robię coś znaczącego.

– Ważne dla mnie było też, że Mariupol był coraz bardziej ukierunkowany na młodzież. Skończyły się czasy, gdy o wszystkim decydowali ludzie po sześćdziesiątce. Zaczęto słuchać głosu młodzieży – dodaje.

Rosyjska inwazja to wszystko przecięła. Razem ze swoją mamą, Lubą, Marina musiała opuścić zrujnowane miasto.

Czwartek, 24 lutego 2022 roku

Rodzina Jurczenko – Aleksandr, Lubow i Marina – mieszkali w domu na osiedlu Kalmiuskim. Dom zamieszkiwała też babcia Mariny, a mama Luby – Taisja Sazonowa, oraz pies Kora.

Ich pierwszy dzień inwazji zaczął się od nagłej pobudki o godzinie 5.30. Ze snu wyrwał ich wybuch. Ledwo zdołali oprzytomnieć, zadzwonił telefon Aleksandra. Dzwonili z dowództwa: musiał zaraz udać się do jednostki. Aleksandr jest żołnierzem kontraktowym, zaopatrzeniowcem w armii ukraińskiej. Szybko się spakował i pożegnał. Nie wiedzieli, że widzą się po raz ostatni.

Luba opowiada: – Myślałam sobie, no jaka może być wojna? Przecież w 2014 r. było tak samo. Byłam przekonana, że tak jak poprzednio postrzelają, a potem się dogadają.

Luba, z zawodu księgowa, mimo porannych wybuchów i telefonu do męża, postanowiła nie zmieniać codziennej rutyny: – Pojechałem do pracy. Co prawda po drodze słychać było wybuchy, ale daleko. Zadzwonił do mnie przełożony i pyta, gdzie jestem. Odpowiadam, że jadę do naszej huty podpisywać protokoły wykonanych prac. On do mnie: „Jakie protokoły? Przyjeżdżaj do centrali". Przyjechałam do biura i pytam, co się stało. On: „Jak to co? Wojna!".

Marina została w domu. Tego dnia nie miała zajęć na uniwersytecie. Przygotowywała się do ćwiczeń z politologii, które miały rozpocząć ostatni semestr jej studiów licencjackich.

Wspomina: – Zadzwoniła mama i poprosiła, abym spakowała walizkę oraz zebrała niezbędne dokumenty w jednym miejscu. Bardzo się bałam i ciągle dzwoniłam do mojego chłopaka, który usiłował mnie uspokoić. Czułam, że on też się stresuje. Później od opiekuna roku dostaliśmy wiadomość, że w mieście wprowadzono stan wojenny. Nauka ma być kontynuowana online. Poproszono nas też, abyśmy codziennie o godzinie 10 informowali, czy wszystko z nami dobrze, i czy jeszcze jesteśmy w Mariupolu. Kolega z grupy dopytywał, czy będziemy się łączyć na te zajęcia. Ktoś mu odpowiedział: „Zajęcia? Spójrz za okno, tam masz politologię!".

Następnego dnia zajęcia w ogóle odwołano. Studentów wysłano na ferie. Wieczorem Luba, Marina i Taisja przeniosły się do salonu, który był najlepiej chronioną częścią domu. Tam rodzina spędziła pierwszą noc inwazji.

Luba: – Tego dnia, 24 lutego, była wielka trwoga. Brak zrozumienia dla tego, co się dzieje. Jednak była też jeszcze duża nadzieja, że to wszystko szybko się skończy.

Oblężenie

Nadzieja utrzymywała się wśród mieszkańców jeszcze przez kilka dni. Jednak noce były coraz straszniejsze. Coraz bliżej było słychać potężne eksplozje.

Marina wspomina: – Bardzo przygnębiająca była poczta pantoflowa. Plotki, plotki, plotki. Połowa tych informacji nie była niczym poparta. Np. ludzie mówili, że miasto jest już zajęte przez Rosjan. Jednak pytanie o źródło tej wiedzy pozostawało bez odpowiedzi.

Punktem zwrotnym, wspomina Luba, był moment, gdy odłączono gaz (wodę i prąd wyłączono już wcześniej). Uświadomiła sobie, że to wszystko szybko się nie skończy: – Wiedzieliśmy już, że miasto zostało otoczone.

Internet i zasięg sieci komórkowych na osiedlu Jurczenków zniknęły w okolicy 5 marca. Kobiety od kilku dni nocowały już w piwnicy u sąsiadów. Z każdą dobą sytuacja się pogarszała. Nie było pory dnia, kiedy nie bombardowano i nie ostrzeliwano miasta.

7 marca, wspominają Jurczenkowie, było spokojniej: – Myślałyśmy, że może podpisano rozejm albo doszły do skutku rozmowy pokojowe. Myśmy się cieszyły, że może to już koniec. Niestety 8 marca wszystko wróciło z podwójną siłą. Nie było ani jednej minuty ciszy.

Święto kobiet

Każdy dzień w oblężeniu był podobny do innych. Brak ogrzewania i gazu oraz wciąż zimne powietrze na zewnątrz powodowały poczucie ciągłego marznięcia. Posiłki gotowali na ognisku przed domem. Robili tak wszyscy mieszkańcy.

Luba wspomina: – Rano wychodziłyśmy z piwnicy i babcia rozpalała ognisko, a my z Mariną przynosiłyśmy jej garnki i produkty żywnościowe z kuchni.

W przygotowaniu posiłku przeszkadzały ciągłe bombardowania i ostrzały. Marina opowiada: – Czułam się wtedy, jakby wszystkie moje emocje i myśli zostały wyłączone. Tak naprawdę do końca nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje. Trzeba było przynieść coś z kuchni, to przynosiłam. Mój organizm się po prostu wyłączył.

Bomby, zimno, brak opieki lekarskiej: to wszystko powodowało liczne zgony wśród mieszkańców. Luba wspomina: – Już wtedy wokół bloków zaczęły pojawiać się pierwsze groby. Ludzie po prostu na podwórkach kopali groby i chowali swoich bliskich. Sami robili krzyże i tabliczki.

8 marca, Dzień Kobiet to w Ukrainie, podobnie jak w innych posowieckich krajach, ważne święto. Choć warunki były ciężkie, a przemieszczanie się niebezpieczne, Sasza, chłopak Mariny, przygotował jej niespodziankę. Własnoręcznie wykonał kartkę z życzeniami. W sobie tylko znany sposób zdołał też zdobyć opakowanie rafaello, bombonierkę i kawałek sera. – To były najcenniejsze prezenty w moim życiu – wspomina Marina.

W mieście brakowało już żywności. W sytuacji oblężenia Mariupola sąsiedzi jednoczyli się i wspierali, dzieląc się ostatnimi zapasami i pomagając sobie nawzajem. Sytuacja stawała się jednak katastrofalna. Strach paraliżował. – Wszystko, co było zaplanowane – mówi Luba – stawało się nieaktualne. Żyło się jednym dniem, jedną godziną.

Ewakuacja

Decyzja o ewakuacji była jedną z najcięższych, którą rodzina Jurczenko musiała podjąć w życiu. Trzeba było zostawić dom, dobytek, ale także babcię Taisję, która odmówiła wyjazdu, oraz psa. Babcia postanowiła zostać w mieście, w którym spędziła całe życie.

Luba wspomina: – Decyzja o ewakuacji przyszła po bombardowaniu 8 marca. Byłam już tak zmęczona strachem, że chyba bym zwariowała, jeśli miałybyśmy pozostać tam dłużej.

O korytarzu humanitarnym Marina i Luba dowiedziały się od sąsiadów, u których chowały się w piwnicy. Posiadali oni radio na baterie. Na jednej z fal, którą cudem łapało urządzenie, pojawił się komunikat o „zielonym korytarzu".

Wraz z sąsiadką Diną, która usłyszała ów komunikat, Luba i Marina zaczęły błyskawicznie się zbierać: – W trakcie pakowania płakałyśmy i prosiłyśmy babcię, aby nam wybaczyła, że my wyjeżdżamy, a ona zostaje.

Oficjalnie kolumna mogła kierować się wyłącznie na pobliskie miasto Berdiańsk, a następnie pojazdy mogły się rozjechać po pobliskich wsiach. Jednak celem Luby i Mariny było położone dalej Zaporoże, pozostające pod kontrolą ukraińską.

Sąsiedzi, razem z którymi się ewakuowały, dowieźli Jurczenków do Jałty (wieś obok Mariupola). Następnego dnia, dzięki pomocy innych uciekinierów, znalazły transport do Zaporoża. ↦

↦ Początek drogi przebiegał przez tereny okupowane przez Rosjan. Trzeba było odbyć liczne kontrole, podczas których sprawdzano dokumenty.

Z obawy przed sprawdzeniem komórek, Luba i Marina wykasowały wszystkie zdjęcia z tatą. Usunęły też jego numer telefonu. Marina wspomina, że jednym z najbardziej cynicznych zachowań rosyjskich żołnierzy było to, że mówili „dzień dobry" i życzyli szerokiej drogi.

A droga była niebezpieczna: kolumnę ewakuacyjną ostrzeliwano, a objazdy i wysadzone mosty wydłużyły podróż. Droga do Zaporoża, wynosząca zwykle do trzech godzin, zajęła im ponad dziesięć. Pierwszą myślą Luby po dotarciu do celu było: – Chwała Bogu, jesteśmy. Teraz będzie spokojniej.

Z Zaporoża do Gdańska

Marina wspomina: – Dopóki nie zauważałyśmy, jak ludzie reagują na to, że jesteśmy z Mariupola, dopóty nie rozumiałyśmy do końca, co stało się z miastem. Żyłyśmy w pełnej blokadzie informacyjnej. Myśmy myślały, że taka sama skala jest i w innych ukraińskich miastach. Widziałyśmy tylko kawałki tego, co się stało z Mariupolem.

Strach pozostawał w Lubie i Marinie cały czas. Dźwięki naokoło, nawet pracującej pralki, wywoływały tylko jedno skojarzanie: z atakującymi myśliwcami i bombowcami.

Te skojarzania, ten strach, ale również godzina policyjna, która obowiązywała nieprzerwanie przez 36 godzin, zadecydowały o ewakuacji dalej na zachód.

Na dworcu kolejowym w Zaporożu była duża kolejka do pociągu, relacjonuje Luba, wagony były przepełnione. Po 10-12 osób w przedziale, który normalnie zajmują 4 osoby.

Luba Jurczenko, 28 marca 2022 r.

KACPER DZIEKAN x2

Marina Jurczenko, 28 marca 2022 r.

21 marca w południe Marina i Luba wyruszyły do Lwowa. We Lwowie udało się przesiąść na autokar do Warszawy. Wciąż niepewne swojego losu, kobiety zdecydowały, że pojadą do Gdańska – miasta partnerskiego Mariupola. Marina chciała być też bliżej ludzi, których znała wcześniej z projektu Port Kultur.

Droga z Mariupola do Gdańska zajęła Lubie i Marinie dziewięć dni, od 15 do 23 marca.

Dopiero w Warszawie, wspomina Luba, poczuła się bezpiecznie. Od teraz rozpoczynało się nowe życie.

Kontakt

Luba i Marina mają kontakt z Aleksandrem. Mąż i ojciec jest gdzieś w Donbasie. Ze względów bezpieczeństwa nie może im powiedzieć, gdzie dokładnie.

Z babcią kontakt się urwał. To jest teraz najgorsze. Próbują dotrzeć do ludzi, którzy są jeszcze w Mariupolu. Może ktoś będzie mógł podejść, sprawdzić. Na razie bez skutku.

Aby nie tracić czasu

Gdy Rosja uderzyła, Marinie został ostatni semestr licencjackich studiów na kulturoznawstwie. Ukończenie ich stoi dziś pod znakiem zapytania. Kampus uniwersytecki, jak wszystko, został doszczętnie zniszczony.

Jeśli nie będzie to możliwe w Ukrainie, Marina chciałaby dokończyć studia w Polsce.

Osób, które są w podobnej sytuacji, jest więcej. Wyjście naprzeciw ich potrzebom jest kolejnym z wyzwań, któremu powinny sprostać polskie państwo i społeczeństwo. To moment, aby władze i społeczność akademicka stworzyły mechanizmy, które pozwolą takim ludziom jak Marina na dokończenie oraz kontynuację edukacji w Polsce.

Tak, aby mogły wrócić i odbudowywać swoje miasto bez poczucia straconego czasu.

© KACPER DZIEKAN, DMITRIY PANTO

KACPER DZIEKAN *jest pracownikiem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku.*

DMITRIY PANTO *jest pracownikiem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Obaj są współtwórcami mariupolskiego Portu Kultur.*

Pomoc dla walczącej Ukrainy

CZYTELNICY, którzy chcieliby wesprzeć obywateli Ukrainy – tych, którzy zostali w kraju i organizują jego obronę oraz troszczą się na miejscu o cierpiących – mogą to uczynić pomagając Fundacji, którą utworzyły środowiska polskich i ukraińskich wolontariuszy z Drohobycza i Krakowa (w jej zarządzie jest m.in. Wojciech Pięciak, kierownik działu zagranicznego „TP", a od 2014 r. także wolontariusz i organizator pomocy dla Ukrainy):
Fundacja S.O.S. Ukraina. Numer KRS: 0000962758. Adres: ul. Wspólna 2G, 35-205, Rzeszów. Numery kont (Bank PKO BP):

Złotówki: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408 **Euro:** PL 57 1020 4391 0000 6802 0217 8416
Dolary: PL 62 1020 4391 0000 6602 0217 8424 **Funty:** PL 67 1020 4391 0000 6402 0217 8432

Tytuł przelewu: **Czytelnicy „TP" dla Ukrainy.**

JEFF J MITCHELL / GETTY IMAGES

Wolontariusze segregują dary z pomocą dla uchodźców z Ukrainy. Edynburg, Szkocja, 6 marca 2022 r.

Żebyśmy nie zapomnieli

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Brytyjczycy pomagają Ukrainie: działają i mieszkańcy wsi, i rząd. Poziomów pomocy jest kilka, bo to zarówno wsparcie wojskowe, jak też szkockie dziergane koce.

W przystani rybackiej w Gardenstown, niewielkiej wsi w północno-wschodniej Szkocji, zwykle dumnie powiewa szkocka biało-niebieska Saltire – flaga z krzyżem świętego Andrzeja. Teraz zastąpiła ją niebiesko-żółta flaga Ukrainy.

Osada nosi nazwę Gardenstown od ok. 300 lat, ale ludzie zamieszkali tu znacznie wcześniej. I wtedy, i teraz wioska żyje z morza. Na przełomie wieków XIX i XX, w szczycie „śledziowej gorączki", gdy Szkocja była czołowym eksporterem tej srebrzystej ryby, w Gardenstown cumowało ponad 90 rybackich łodzi. Teraz zostało ich tylko 13, ale nadal wypływają w morze, łowią makrele, czarniaki, kraby i homary. Przy przystani, za wąskimi szeregami domów, rozciągają się rybackie szopy.

W tej dość surowej okolicy mieści się kawiarnia Eli's Coffee, Cakes and Cratfts. Jak nazwa wskazuje, jest tu kawa, są ciastka, są i dzieła lokalnych artystów. Dziś kawiarnia jest zamknięta – spotkanie mają panie z klubu Knit and Natter (czyli: Dziergania i Gadania). Jest herbata i pyszne muffinki, a z kolorowej włóczki na drutach powstają dla Ukraińców szaliki, koce oraz maki, ten charakterystyczny dla Wielkiej Brytanii symbol pamięci. I także rozmowa toczy się o Ukrainie.

To od naszej wioski

– Wszystko zaczęło się w Rosehearty, a stąd akcja pomocy rozlała się na okoliczne wsie. Postanowiłam więc zorganizować punkt zbiorczy w mojej kawiarni. Kiedy była ta pierwsza zbiórka? To działo się tak szybko... – zastanawia się Eli.

– Jeszcze w lutym, niemal od razu, gdy się zaczęło – podpowiada jej Katherine, dziergająca obok na drutach szalik w odcieniach błękitu i szarości.

Gardenstown, liczące tylko ok. 600 mieszkańców, przeprowadziło jak dotąd dwie zbiórki darów dla Ukrainy. Zebrano dość śpiworów, kosmetyków, termosów czy środków opatrunkowych, by wypełnić całą ciężarówkę.

– To była szczodrość całej wioski – podkreśla Eli. – Dary musieliśmy najpierw sami przetransportować do Fraserburgh, stamtąd zabrano je do Aberdeen, a z Aberdeen w konwoju innych ciężarówek ruszyły do Polski.

Od razu po pierwszej zbiórce rzeczy dla ludzi Eli zaczęła zbierać karmę dla zwierząt, a także posłania dla nich, transportery i wszystko, co jest potrzebne domowym zwierzętom podczas ich wojennej poniewierki.

– W Gardenstown kochamy zwierzęta. Podobno jest tu więcej psów i kotów niż ludzi – mówi Katherine. – Widzieliśmy w mediach, że opuszczając domy Ukraińcy zabierają ze sobą zwierzęta. Ja to rozumiem. Bo jak zostawić członka rodziny?

Kolejne zbiórki są w planie, podobnie jak pomoc finansowa. No i powstają ukraińskie maki: Linda pokazuje pierwszą warstwę błękitnych płatków, którą właśnie kończy na szydełku. Kolejne będą żółte.

Maki w Wielkiej Brytanii są symbolem pamięci o poległych żołnierzach i przed dniem 11 listopada – rocznica zakończenia I wojny światowej na froncie zachodnim obchodzona jest jako Dzień Pamięci – politycy, osoby publiczne oraz zwykli obywatele przypinają je do marynarek czy sukienek.

Te zrobione przez panie z klubu Dziergania i Gadania będą sprzedawane, a zyski przekazane na pomoc Ukraińcom. Mają też powstać ręcznie wydziergane koce. Na razie na stole leży jeden, w pięknych pastelowych kolorach. Czy też na sprzedaż? – Być może lepiej przekazać pieniądze, na miejscu będzie wiadomo, na co je wydać. Z drugiej strony ręcznie zrobiony ciepły koc ma dodatkowe osobiste znaczenie – uważa Eli.

– Może w większych miastach takie akcje są odgórnie organizowane, kierowane przez władze. Tu żyjemy w małej zwartej wspólnocie. Jeśli chcemy coś zrobić, to robimy. A teraz każdy chce pomóc – mówi Katherine.

Kościoły razem

W położonych kilkanaście mil od Gardenstown nadmorskich miastach Banff i Macduff, które rozpościerają się po dwóch stronach ujścia rzeki Deveron, akcja pomocy też była lawinowa.

– Zaczęło się od proboszcza Piotra Rytela z kościoła rzymskokatolickiego Our Lady of Mount Carmel w Banff. To on zaczął zbiórkę, a my z pozostałych Kościołów dołączyliśmy później – podkreśla wielebny Hugh O'Brien z Kościoła Szkocji (to prezbiteriański narodowy Kościół w Szkocji). ↦

↦ – W naszej parafii zareagowaliśmy najszybciej, bo po prostu należy do niej wielu Polaków. Powiedziałbym, że 70-75 proc. parafian to Polacy. Dla nas wojna w Ukrainie to wojna u sąsiada, coś, co nas bardzo poruszyło, również ze względu na polskie doświadczenia historyczne. Dary przynosili czasem starsi już ludzie, w których pamięć wojny jest żywa – mówi ks. Rytel, który w Banff pracuje od 2019 r., a wcześniej mieszkał w Inverness.

Pierwszą zbiórkę przeprowadzono w parafii ks. Piotra, jednak jej rozmiary – bo zaangażowali się i Polacy, i Brytyjczycy – szybko przerosły możliwości magazynowania rzeczy. – Nie mogłem już tego sam koordynować, więc połączyliśmy siły z innymi Kościołami – wyjaśnia ks. Rytel. – Współpracujemy też z Polish Association w Aberdeen, z grupą Kołowrotek. Pojechało już przynajmniej sześć ciężarówek do Polski i do Ukrainy.

WICEK SOSNA

Przystań rybacka w Gardenstown, Szkocja, 28 marca 2022 r.

Dlaczego ludzie z nadmorskich miasteczek i wsi poruszeni są wojną odległą o tysiące kilometrów? – Widzimy w mediach, co się dzieje. Widzimy cierpienie – mówi ks. Rytel. – Mieszkają też tu Ukraińcy. Wiemy, przez co przechodzą, martwiąc się o bliskich w kraju. Jedna z Ukrainek w Banff jest w trakcie sprowadzania rodziny z Ukrainy do Szkocji.

Własny dom dla uchodźcy

Wielka Brytania, od lat prowadząca politykę radykalnego ograniczania imigracji, na początku wojny w Ukrainie spotkała się z falą krytyki za nierealistyczne i bezduszne podejście do kwestii ukraińskich uchodźców. Np. jeden z ministrów zasugerował, aby starali się o wizy dla pracowników sezonowych. Ostatecznie Wielka Brytania zapowiedziała, że przyjmie wszystkich potrzebujących, jednak droga na Wyspy jest dla Ukraińców znacznie trudniejsza niż do pozostałych krajów Europy.

Zaproponowano im dwa programy. Jeden to łączenie rodzin, w którym Ukraińcy już mieszkający w Zjednoczonym Królestwie mogą ściągnąć tu najbliższych. Drugi to program „Domy dla Ukrainy", w którym Brytyjczycy gotowi zaoferować dom Ukraińcom przynajmniej na pół roku są łączeni w „pary" z potrzebującymi uchodźcami. Chętnych do otwarcia swoich domów znalazło się wielu: do programu w pierwszych dniach zgłosiło się ponad 100 tys. organizacji i osób indywidualnych. Wśród nich minister transportu Grant Shapps.

Rządowe struktury, sprawdzające chętnych z obu stron, nie nadążają jednak za odruchem serca obywateli i procedury przyznawania wiz są skomplikowane i czasochłonne. Przede wszystkim zaś polegają na wydaniu wizy, co w przypadku uchodźców samo w sobie jest kontrowersyjne. Aby z kolei wnioskować o wizę, trzeba dostarczyć dużo dokumentów – wielu uciekinierów zapewne ma problem ze spełnieniem tego wymogu.

Według Home Office (odpowiednik polskiego MSW) do 29 marca w ramach programu łączenia rodzin wydano niespełna 23 tys. wiz. W programie „Domy dla Ukrainy" – 2700 wiz.

Kibice dla sierot

Nicola Sturgeon, która stoi na czele szkockiego rządu autonomicznego – zdecydowanie bardziej przyjaznego imigrantom niż rząd w Londynie – zaapelowała o zniesienie obowiązku wizowego i stwierdziła, że każdy Ukrainiec powinien mieć prawo wjazdu do Wielkiej Brytanii ze względów humanitarnych, a kwestie dokumentów można rozwiązać później. Tym samym przyjęła stanowisko zbliżone do krajów Unii Europejskiej. Jednak kwestie imigracji w Zjednoczonym Królestwie regulowane są przez centralny rząd brytyjski, a nie szkocki.

Próbując mimo to ułatwić przyjazd do Szkocji Ukraińcom, szkocki rząd zdecydował się zostać tzw. supersponsorem. To oznacza, że chętni do przyjazdu, a nieznający tu nikogo, mogą w aplikacji wizowej wybrać jako swojego sponsora „szkocki rząd". Zdaniem władz powinno to przyspieszyć i usprawnić cały proces.

Pod koniec marca do Szkocji przyjechała grupa 52 dzieci z domu dziecka w mieście Dnipro, położonego blisko linii frontu. Ich wyjazd z Ukrainy organizowała fundacja Dnipro Kids, założona przed laty przez kibiców klubu piłkarskiego Hibernian z Edynburga. Ich długą drogę do Polski, oczekiwanie tam na potrzebne dokumenty, a w końcu wyjazd do Wielkiej Brytanii szkockie media relacjonowały dzień po dniu.

Teraz dzieci aklimatyzują się w okolicach Loch Lomond i dziwią się, że w Szkocji nie jest zimno (rzeczywiście, marcowe temperatury sięgające 18 stopni były tu nietypowe). Dzieci zostaną w Szkocji do zakończenia wojny, potem mają wrócić do Ukrainy.

Światło na wzgórzu

Rząd Borisa Johnsona wspiera Ukrainę, przesyłając jej pomoc wojskową. Premier zapowiedział też pomoc humanitarną i gospodarczą w wysokości 400 mln funtów. W sondażach Brytyjczycy wyrażają bardzo silne poparcie dla Ukrainy: np. w marcu aż do 78 proc. wzrosła liczba popierających sankcje nałożone na Rosję. Co więcej, aż 73 proc. Brytyjczyków jest zwolennikami sankcji, nawet jeśli będzie to prowadzić do wzrostu cen energii (to istotne tym bardziej, że Wielka Brytania zmaga się teraz z gwałtownie rosnącymi kosztami utrzymania). Prawie 90 proc. deklaruje, że pilnie śledzi wydarzenia na wschodzie Europy. Dziewięciu na dziesięciu Brytyjczyków martwi się o ukraińskich cywili.

– Zastanawiałem się, jak okazać solidarność Ukrainie – mówi ks. O'Brien z parafii w Macduff. – Modlimy się za Ukrainę. Nadal zbieramy dary, zbieramy też datki, które przekazujemy Kościołowi Szkocji w Edynburgu, a on posyła je dalej. Słyszałem o dwóch ukraińskich rodzinach, które mają tu przyjechać. Pomożemy, jak tylko będziemy mogli. Czujemy się częścią tego, co się dzieje.

Gdy się zaczęło, wielebny O'Brien postanowił zrobić coś jeszcze: usytuowany na wzgórzu kościół w Macduff podświetlono na żółto i niebiesko. – Widać go z drugiego końca zatoki, jak latarnię morską, więc ma to symboliczne znaczenie – wyjaśnia ksiądz.

I podkreśla: – Kościół pozostanie niebiesko-żółty aż do końca wojny. Bez względu na to, jak długo ona potrwa. Po to, żeby okazać solidarność Ukrainie. Ale też po to, żebyśmy my tutaj nie zapomnieli o tej wojnie.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Wydobycie zanieczyszczonej ropy w pasie rzeki Orinoko doprowadziło do dewastacji środowiska naturalnego. Zakłady Petroles w El Tigre. Wenezuela, październik 2018 r.

Skąd weźmiemy ropę?

DOMA MATEJKO

Czasy są nadzwyczajne. Rynek energetyczny został wywrócony do góry nogami w ciągu kilku dni. USA wznowiły relacje dyplomatyczne z Wenezuelą, a polski rząd rozważa import ropy z Kolumbii.

Nicolás Maduro, socjalistyczny prezydent Wenezueli, zasiada w otoczeniu swoich najbliższych współpracowników w sali obrad. Wojskowi czekają uważnie na pierwsze słowo, bojąc się nawet mrugnąć powieką. Prezydent ubrany jest w elegancką koszulę, a nie jak zwykle w ortalionową kurtkę w barwach narodowych.

Zebrani zaraz usłyszą zdania, które zaprzeczą temu, co „wódz narodu" i „wielki spadkobierca rewolucji boliwariańskiej" głosił przez ostatnie dziewięć lat swojej prezydentury lub, jak kto woli, dyktatury. Maduro cofa wszystkie słowa o „imperialistycznym terrorze" i zagrożeniu płynącym z Zachodu. Podkreśla, że nowe czasy wymagają nowych rozwiązań. Po trzech latach od zerwania relacji dyplomatycznych rząd Wenezueli wznawia rozmowy z Białym Domem, zwalnia amerykańskich więźniów i rozmawia o możliwości sprzedaży ropy do USA.

Pertraktacje z diabłem

Do spotkania doszło już osiem dni po ataku Rosji na Ukrainę, w Caracas, stolicy Wenezueli. Jest to wydarzenie bez precedensu na przestrzeni ostatnich 20 lat.

Po tym, jak Stany nałożyły embargo na ropę z Rosji, która stanowiła 8 proc. ogólnego importu tego surowca do USA, rząd Joego Bidena musi szukać alternatyw. Nawet jeżeli równa się to złagodzeniu sankcji wobec jednego z głównych wrogów, jakim dla USA była do tej pory Wenezuela rządzona przez Maduro.

Relacje między tymi dwoma państwami były ostatnio burzliwe. Pierwsze sankcje zostały nałożone przez Stany ponad 15 lat temu, jeszcze za życia Hugo Chavéza, który odmówił współpracy z USA w zakresie działań antyterrorystycznych i antynarkotykowych. W kolejnych latach liczba sankcji stopniowo rosła. W 2008 r. zostały nimi objęte także firmy wenezuelskie, które wspierały libańską grupę Hezbollah.

To nie wystraszyło wenezuelskich polityków i prezesów dużych firm przed dalszym budowaniem bliskich relacji z tymi, których demokratyczny świat nazywa terrorystami. Sankcje na ropę miały jednak zostać nałożone później, bo na nich straciliby wszyscy: i Wenezuelczycy, i Amerykanie.

Biznes to biznes

Dyktatura dyktaturą, ale biznes musi się kręcić. Amerykanie mieli swoje udziały w wenezuelskiej ropie. Tutejsze państwowe przedsiębiorstwo naftowe PDVSA (Petróleos de Venezuela S.A.) w 1986 r. stało się właścicielem 50 proc. amerykańskiej firmy rafineryjnej Citgo. Cztery lata później wykupili pozostałe 50 proc. i tym sposobem Citgo została największą spółką w USA zależną od Caracas, a Wenezuela odpowiadała za 10 proc. importu ropy do kraju.

Dlatego też Stany długo zwlekały z sankcjami na ropę – i dopiero administracja Trumpa w 2019 r. nałożyła sankcje na PDVSA. Stało się to po tym, jak 23 stycznia 2019 r. wenezuelska opozycja wybrała swojego prezydenta, Juana Guaidó, którego poparł Waszyngton. Maduro władzy nie oddał i do dzisiaj Wenezuela ma *de facto* dwóch prezydentów.

Amerykański skarb państwa zablokował własność Citgo w jurysdykcji USA, której wartość wyliczono na 7 mld dolarów, oraz objął sankcjami firmy współpracujące z wenezuelską rafinerią, w tym rosyjskie banki. Co prawda rząd Trumpa nie zakazał kupowania wenezuelskiej ropy, ale Maduro nie mógł już korzystać z jej dochodów. Pieniędzmi miał zarządzać Guaidó.

Nie dość, że Maduro zubożał i dla pewnej części świata przestał być prezydentem, to jeszcze w sierpniu 2020 r. Departament Sprawiedliwości USA ↦

↦ oskarżył go o terroryzm i wyznaczył za pomoc w jego ujęciu 15 mln dolarów.

Komu ropy?

Rzeczniczka Białego Domu, Jen Psaki, oświadczyła niedawno, że celem wizyty Amerykanów w Caracas było uwolnienie więźniów, a import ropy z Wenezueli na chwilę obecną nie jest brany pod uwagę. Można przyjąć, że owszem: sytuacja jest kryzysowa, ale nie na tyle, żeby dogadywać się z karaibskim dyktatorem. Przynajmniej na razie.

Tym samym nadzieja Wenezuelczyków zgasła w jednej chwili. Biden szybko zaczął szukać partnerów biznesowych wśród przywódców państw, których głowy nie są wyceniane przez Departament Sprawiedliwości USA. Maduro jest teraz w potrzasku i wciela się w rolę natrętnego akwizytora, próbującego sprzedać swoją ropę. Sprawa nie jest łatwa. Wenezuelska ropa jest ciężka, tj. mocno zanieczyszczona. Jej rafinacja wymaga olbrzymich nakładów finansowych i tylko kilka państw na świecie ma infrastrukturę przygotowaną na przyjęcie wprawdzie oczyszczonego, ale nadal ciężkiego wenezuelskiego surowca.

Do tej pory jego głównym importerem były Chiny. Dla Państwa Środka biznes z Wenezuelą był niezmiernie korzystny, bo wenezuelska ropa jest tania, a dodatkowo Caracas ma u Chińczyków zaciągnięty dług, który spłaca czarnym złotem.

Problem polega na tym, że Rosja też sprzedawała ropę Chińczykom. Co prawda po wyższych niż Wenezuela cenach, ale za to lepszej jakości. Teraz ta sytuacja może ulec zmianie na niekorzyść Wenezueli. Maduro obawia się, że Rosja, szukając kraju zbytu dla swojej ropy, może w akcie desperacji zaproponować Chińczykom cenę niższą i konkurencyjną do wenezuelskiej.

Paradoks dostatku

Wenezuela nie ma wiele do zaoferowania, mimo że posiada największe złoża ropy na świecie. Wenezuelskiego surowca nie starczyłoby na to, aby mógł zastąpić surowiec rosyjski w dostawach ropy do Stanów. PDVSA produkuje obecnie 750 tys. baryłek dziennie, ale większość oddaje Chinom, podczas gdy Stany w 2021 r. importowały z Rosji ok. 672 tys. baryłek każdego dnia.

Wynik wenezuelskiej produkcji nie jest imponujący, ale i tak najlepszy od lat. W głównej mierze to zasługa Iranu, który dostarcza do Wenezueli kondensat. Ten następnie jest mieszany z lokalną ciężką ropą – a w efekcie wychodzi więcej surowca i lepszej jakości. Co dwie dyktatury, to nie jedna. Wenezuela płaci Iranowi za kondensat oddając połowę tego, co wyprodukuje.

Maduro wykorzystuje ostatnie dobre wyniki, aby utwierdzić obywateli w przekonaniu, że socjalistyczna rewolucja działa i nabiera rozpędu: „Choćby grzmiało, wiało i lało, to będziemy produkować dwa miliony baryłek dziennie" – mówi, mimo że nikt nie wie, jak by to miało się stać. Nawet sam Maduro. Wenezuelskie rafinerie są bowiem w opłakanym stanie, a najlepsi inżynierowie naftowi już dawno wyemigrowali do Arabii Saudyjskiej.

W teorii Wenezuela mogłaby produkować więcej, gdyby zwiększyła wydobycie ropy w pasie rzeki Orinoko – w rejonie, w którym do 2020 r. wydobywał ropę rosyjski koncern Rosnieft. Nowe szyby wiertnicze w tym obszarze doprowadziłyby wprawdzie do jeszcze większej dewastacji środowiska naturalnego, ale dla Maduro nigdy nie było to przeszkodą.

Kontroferta

Wizyta przedstawicieli Waszyngtonu w Caracas wzbudziła niepokój w sąsiedniej stolicy, Bogocie, która nie utrzymuje relacji dyplomatycznych z Maduro. Zaledwie pięć dni po tamtym historycznym spotkaniu prezydent Kolumbii Iván Duque był już w Białym Domu. Biden uspokoił go zapewniając, że Wenezuela jest i będzie dla USA państwem terrorystycznym, i że nie zamierza nawiązywać z nią bliższych relacji.

Duque od razu powiedział, że jego kraj „ma większe możliwości dostarczania ropy niż Wenezuela" i że produkcja tego surowca sięga tu 890 tys. baryłek dziennie. Do tej pory kolumbijska ropa stanowiła 3 proc. amerykańskiego importu. Biden zaproponował natomiast Kolumbii status *major non-NATO ally* (istotnego sojusznika spoza NATO). Oznacza to bliską współpracę między NATO a Bogotą m.in. w zakresie działań militarnych i antyterrorystycznych. W sam raz na obecne czasy. Dotąd taki status na kontynencie południowoamerykańskim miały tylko dwa państwa: Argentyna (od 1998 r.) i Brazylia (od 2019 r.).

Warto dodać, że Kolumbia od zawsze była największym sprzymierzeńcem Stanów w regionie. Oba kraje utrzymują stosunki dyplomatyczne od prawie 200 lat. W odróżnieniu od innych państw Ameryki Łacińskiej, Kolumbią niemal nigdy nie rządziła dyktatura (za wyjątkiem krótkiego epizodu rządów Rojasa Pinilli w latach 1953-57), a gospodarka opierała się na modelu neoliberalnym.

Bez wyboru

Rozmowa Bidena z Duquem mogłaby zostać uznana za pełny sukces, gdyby nie fakt, że prezydent Kolumbii złoży swój urząd w sierpniu tego roku. W niedzielę 13 marca odbyły się tam wybory parlamentarne, które wygrała koalicja Pacto Histórico, zrzeszająca m.in. Komunistyczną Partię Kolumbii oraz Partię Pracy. Wszystko wskazuje na to, że w wyborach prezydenckich, które będą miały miejsce w maju, wygra Gustavo Petro – były członek partyzantki M-19, która w latach 70. i 80. XX wieku walczyła z kolumbijskim rządem sprzymierzonym z USA.

Dwa tygodnie temu, podczas debaty prezydenckiej, Petro zapowiedział, że nie zamierza uprawiać polityki międzynarodowej ani z NATO, ani z Rosją. Pytanie więc: z kim?

Dla Polski stanowisko przyszłego prezydenta Kolumbii może okazać się ważniejsze, niż mogłoby się wydawać. W piątek 18 marca premier Mateusz Morawiecki mówił o możliwości importu surowców m.in. z Kolumbii, RPA i Australii. Iran – posiadający jedne z największych złóż ropy na świecie – obecnie nie jest brany pod uwagę ani przez Polskę, ani przez inne państwa.

Z kolei rząd Norwegii wydał 17 marca zezwolenie na poszukiwania nowych złóż w rejonie norweskiego szelfu kontynentalnego. Kraje OPEC+ (eksporterzy ropy naftowej, w tym Arabia Saudyjska) zapowiedziały, że owszem, zwiększą swoją produkcję, ale tylko o 400 tys. baryłek dziennie, co jest kroplą w morzu obecnych potrzeb.

Jeżeli rosyjska inwazja przeciw Ukrainie nie ustanie, embargo Unii Europejskiej na rosyjską ropę będzie tylko kwestią czasu. Karaibska ropa jest więc coraz bardziej w cenie.

© DOMA MATEJKO

PAVEL GOLOVKIN / AP / EAST NEWS

Władimir Putin i Jair Bolsonaro. Pałac Itamaraty w Brasílii. Brazylia, listopad 2019 r.

Wojna z końca świata

MAGDALENA BARTCZAK

Kraje Ameryki Łacińskiej nie mają wspólnego stanowiska wobec rosyjskiej inwazji. Różnice w ich postawach wiele mówią o tym regionie i podziałach polityczno-ideowych.

Mario Vargas Llosa nie ma wątpliwości: „Musimy sprzeciwiać się tej wojnie. I z całych sił potępiać akt agresji Rosji wobec Ukrainy" – mówił 6 marca podczas berlińskiej demonstracji przeciw rosyjskiej inwazji. 86-letni peruwiański pisarz nie był obecny w Berlinie osobiście – podobnie jak wypowiedzi Swietłany Aleksijewicz czy Martina Pollacka, jego głos wybrzmiał za pośrednictwem wyemitowanego nagrania.

Llosa należy do tych intelektualistów Ameryki Łacińskiej, którzy w ostatnich latach często krytykowali politykę Władimira Putina. Trudno jednak uznać, aby ten ton był w regionie jednoznacznie dominujący – różnice dotyczące zarówno oceny działań rosyjskich władz, jak i samej wojny są tu bowiem głębokie.

Różnorodność opinii wydaje się mówić wiele o tej części świata oraz panujących w niej ideologicznych podziałach. Argentyński socjolog Juan Gabriel Tokatlian określa to mianem „kakofonii" i „głębokiej fragmentacji". „W pierwszych reakcjach latynoamerykańskich rządzących na rosyjską inwazję dało o sobie znać głównie zaskoczenie. Ani w pierwszych dniach agresji, ani potem nie udało się wypracować państwom tego regionu żadnego wspólnego stanowiska. I sądzę, że z powodu dzielących je różnic nie jest to w ogóle możliwe" – mówił Tokatlian argentyńskiej telewizji.

Owa „kakofonia" wynika nie tylko z politycznych przekonań rządzących czy ich relacji z Rosją. Bierze się też, a może przede wszystkim, z historycznych uwarunkowań wciąż silnie odczuwalnych w Ameryce Łacińskiej. Dziś wszystkie te sympatie, resentymenty i głęboko zakorzenione mechanizmy zimnowojennego myślenia przypominają o sobie z wyjątkową siłą.

SOJUSZNICY ZZA OCEANU Po stronie wspierającej Putina stanęły naturalnie państwa będące od lat sojusznikami Kremla. Należą do nich Wenezuela, Nikaragua i Kuba, których przywódcy widzą w Rosji nie tylko partnera gospodarczego, ale też gwaranta stabilności ich autorytarnych rządów oraz siłę równoważącą pozycję USA.

Przedstawiciele dwóch ostatnich państw wstrzymali się od głosu w sprawie rezolucji ONZ potępiającej inwazję. Podobny ruch wykonały Salwador (deklarujący neutralność) i Boliwia (związana z Kremlem m.in. planami rosyjskich inwestycji w energetykę jądrową i eksploatację złóż litu).

Prezydent wykluczonej z obrad ONZ Wenezueli, Nicolás Maduro, jeszcze przed 24 lutego oświadczył, że popiera Putina w kwestii uznania niepodległości separatystycznych „republik" donbaskich. Potem potwierdził solidarność z Putinem, mówiąc, że „z całego serca popiera Rosję w obronie własnych obywateli oraz pokoju w regionie". Chwilę później, na ↦

ALBERTO VALDES / EPA / PAP

Protest przeciwko inwazji na Ukrainę przed rosyjską ambasadą w Santiago. Chile, 26 lutego 2022 r.

↦ początku marca, nie przeszkodziło to jednak Maduro w podjęciu rozmów z USA – z nadzieją na zmianę obecnych fatalnych relacji [patrz tekst obok w dziale Świat – red.]

Rząd w Hawanie przemówił w podobnym tonie, wyrażając pełne wsparcie dla rosyjskich władz. Oskarżył też USA o „zagrażający całemu światu ekspansjonizm" i „manipulowanie międzynarodową społecznością".

Pokrewną narrację przyjął Daniel Ortega, zacieśniający relacje z putinowską Rosją od momentu powrotu do władzy w 2007 r. Prezydent Nikaragui stwierdził, że inwazja stanowi „obronę przed zagrożeniem ze strony USA". Uznał też, że to Rosja była ofiarą całej sytuacji od 2014 r., gdy do władzy w Ukrainie doszli „terroryści" i „politycy, którzy zaprzedali się obcym siłom, głównie amerykańskim i zachodnioeuropejskim".

Słowa Ortegi skomentowała Gioconda Belli – ceniona nikaraguańska pisarka żyjąca w Madrycie. W wywiadzie dla hiszpańskiego „Público" mówiła: „Nasz tyran sprzymierzony z innym tyranem twierdzi, że jest antyimperialistą, ale wystąpił w obronie inwazji, która łamie wszelkie prawa rządzące społecznością międzynarodową od końca II wojny światowej. Jego postawa wywołuje we mnie bezsilność i rozpacz. Usprawiedliwianie wojny fałszywym imperatywem niesienia pokoju to akt brutalny i skrajnie nieetyczny".

SOLIDARNOŚĆ Z UKRAINĄ Na drugim biegunie są rządy, które zdecydowanie potępiły inwazję. Należą do nich m.in. władze Kolumbii. Prezydent Iván Duque skrytykował działania Rosji, określając je „atakiem na niepodległość i suwerenność Ukrainy, zagrożeniem dla życia jej mieszkańców oraz pogwałceniem prawa międzynarodowego". Głosy potępiające agresję można było usłyszeć także wśród władz Gwatemali, Urugwaju i Chile. W tym ostatnim deklarację wydał zarówno urzędujący jeszcze wówczas prezydent Sebastián Piñera, jak i Gabriel Boric, który przejął władzę 11 marca. Nowy lewicowy chilijski prezydent stał się też pierwszym przywódcą w regionie, który w ramach solidarności z Ukrainą podkreśla konieczność zorganizowania dla niej pomocy humanitarnej z Ameryki Łacińskiej.

Niektóre kraje, jak Meksyk, wydały mniej stanowcze oświadczenia. Andrés Manuel López Obrador przedstawił neutralną deklarację, potępiając „wszelkie konflikty wojenne" bez bezpośredniej krytyki Putina. Taką postawę tłumaczy się specyficznym charakterem meksykańskiej polityki zagranicznej, przyjętym jeszcze w latach 30. XX w. przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych i prawnika, Genara Estradę. Opiera się ona na zasadach nieinterwencji, samostanowienia wszystkich narodów i pokojowego rozwiązywania sporów. Nawiązując do „doktryny Estrady", prezydent zadeklarował, że Meksyk nie dołączy do sankcji przeciw Rosji. Odpowiedział też odmownie na prośbę grupy ukraińskich parlamentarzystów, którzy poprosili o wsparcie pod postacią broni i sprzętu wojskowego.

WSTYDLIWA ZNAJOMOŚĆ Jeszcze dalej posuniętą ostrożność zachowuje Jair Bolsonaro, który zadeklarował, że jego kraj zachowa „pełną neutralność". W komentarzach brazylijskiego prezydenta widać jednak powielanie argumentów, którymi rosyjskie władze usprawiedliwiają inwazję. Bolsonaro wspomniał o „ignorowaniu rosyjskich interesów, które doprowadziło do eskalacji konfliktu", i „konieczności ochrony ludności rosyjskojęzycznej". Skomentował też kpiąco postać Wołodymyra Zełenskiego, mówiąc, że „współczuje Ukraińcom, którzy powierzyli los swojego narodu komikowi".

Ta retoryka nie dziwi, jeśli przyjrzymy się jego dobrym relacjom z Putinem, których przykładem było ich ostatnie spotkanie w Moskwie. Rozmawiali o pogłębianiu współpracy gospodarczej i omawiali plany związane z rosyjskimi inwestycjami w Brazylii, m.in. w zakresie budowy nowych elektrowni jądrowych, za którymi stałby Rosatom.

Uwagę zwraca fakt, że przywódca największego latynoamerykańskiego kraju był z wizytą na Kremlu zaledwie tydzień przed rosyjską inwazją. Oraz że został przyjęty wyjątkowo serdecznie: po przejściu rosyjskiego testu na covid Bolsonaro – niezaszczepiony i znany z negacjonistycznych poglądów na temat pandemii – usiadł z Putinem nie za długim stołem, lecz w odległości metra i parokrotnie uścisnął mu dłoń.

Innym przywódcą, który wkrótce przed rosyjską inwazją (3 lutego) złożył Putinowi wizytę, był Alberto Fernández. Prezydent Argentyny rozmawiał z nim o wzmocnieniu współpracy handlowej i wsparciu dla Argentyny w jej zabiegach o przyjęcie do grupy krajów rozwijających się (BRICS). Obiecał też, że „Argentyna stanie się bramą dla Rosji w Ameryce Łacińskiej". Po inwazji Fernández najpewniej chciał zatrzeć negatywne wrażenie związane z tą wizytą i choć jego pierwsze oświadczenia były wyważone, to ostatecznie wyraźnie potępił rosyjską agresję.

Argentyński rząd nadal wydaje się jednak podzielony, o czym świadczy m.in. postawa wiceprezydent kraju Cristiny Kirchner, znanej z dobrych stosunków z Putinem. Była głowa państwa, której rządy przyczyniły się do zacieśnienia argentyńsko-rosyjskich relacji i która w swoim czasie poparła aneksję Krymu, dziś znacząco milczy.

KREMLOWSKI KANAŁ NADAJE Pewne wydarzenie, podkreślające otwieranie się kirchnerowskiej Argentyny na rosyjskie wpływy, miało miejsce niedługo po nie-

legalnym zajęciu Krymu przez Rosję – w lipcu 2014 r. Wtedy to, podczas wizyty Putina w Buenos Aires, Kirchner podpisała porozumienie o wprowadzeniu do kraju kanału RT Español – jednej ze stacji należących do RT, znanej wcześniej jako Russia Today. Odtąd rosyjska telewizja rządowa funkcjonuje w Argentynie, podobnie jak w Wenezueli, na zasadach telewizji publicznej – darmowej i ogólnodostępnej. I cieszy się wielką popularnością.

Kremlowski kanał zdobył rzeszę zwolenników także tam, gdzie nie ma statusu mediów publicznych, docierając do odbiorców za sprawą telewizji cyfrowej lub internetowej. RT Español, założona w 2009 r. jako hiszpańskojęzyczna wersja RT, jest dziś dostępna we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej i szacuje się, że właśnie tu ma najwięcej stałych odbiorców – nie licząc Rosji. Z kolei rosyjskie portale, jak RT i Sputnik, są w pierwszej setce najchętniej odwiedzanych stron internetowych. To sprawia, że rosyjska wizja wojny wśród mieszkańców regionu wydaje się dziś mocno rozpowszechniona, a opinie zwykłych obywateli na jej temat – głęboko podzielone.

– Powodów, dla których mieszkańcy Ameryki Łacińskiej, w tym Chilijczycy, stają się łatwym łupem dla rosyjskiej propagandy, jest wiele – tłumaczy mi Cristóbal del Castillo, historyk mieszkający w Santiago i interesujący się problematyką Europy Środkowo-Wschodniej. – Jednym z najważniejszych jest niechęć do imperialistycznej polityki USA. Wielu Chilijczyków postrzega Rosję jako przeciwwagę dla amerykańskiej hegemonii, a Putina jako szlachetnego męża stanu. I często jest przez nich utożsamiany z lewicowymi wartościami. Osoby, które ufają tym przekazom, zwykle nie wiedzą zbyt wiele o polityce wewnętrznej Rosji. Nie zdają sobie sprawy, że jest to represyjny kraj, ograniczający prawa obywatelskie i łamiący prawa człowieka – przyznaje Cristóbal.

NOSTALGIE I RESENTYMENTY Istotnym powodem, dla którego wielu Chilijczyków tak chętnie sięga po putinowskie media i ufa rosyjskiej narracji, jest zdaniem Cristóbala także fascynacja Rosją i byłym Związkiem Sowieckim, często zresztą powierzchowna.

– Ten rodzaj „sowieckiej nostalgii" w Ameryce Łacińskiej sięga czasów zimnej wojny, a zwłaszcza rewolucji kubańskiej, która dla wielu wydała się symbolicznym momentem powstrzymania ekspansji potężnych Stanów przez małe państewko – dodaje Cristóbal. – Od lat 60. do 80. XX w. Związek Sowiecki udzielał politycznego, gospodarczego i militarnego wsparcia wielu ruchom rewolucyjnym i opozycyjnym w Ameryce Łacińskiej. Wielu Chilijczyków pamięta, że Radio Moskwa nadawało specjalne audycje wspierające chilijski ruch oporu przeciw dyktaturze. Rosja do dziś, szczególnie wśród osób o lewicowych poglądach, jest utożsamiana z tą „zbawczą" mitologią i tym samym ogromnie idealizowana. To sprawia, że zainteresowanie jej narracją jest tu niestety duże.

Popularność RT w Chile i innych zakątkach Ameryki Łacińskiej przełożyła się na ekspansywny rozwój kanału w ostatniej dekadzie. RT Español zatrudnia dziś ponad dwustu dziennikarzy i korespondentów, ma też kilka stałych redakcji (m.in. w Meksyku, Buenos Aires i Hawanie) oraz kilkadziesiąt kanałów w mediach społecznościowych. Od początku jest kierowana bezpośrednio przez Margaritę Simonian – redaktorkę naczelną RT i jedną z kluczowych postaci rosyjskiej propagandy.

ŚWIAT RÓWNOLEGŁY Jasne włosy, niebieskie oczy i zadziorny sposób mówienia: znaki rozpoznawcze 33-letniej Inny Afinogenovej sprawiły, że stała się najbardziej rozpoznawalną twarzą putinowskich mediów w Ameryce Łacińskiej. Również dla tych, którzy widząc jej przekaz często nie mają świadomości, że pochodzi on z Kremla.

Wiceszefowa kanału RT Español popularność zaczęła zdobywać w 2019 r., gdy stała się naczelną hiszpańskojęzycznego programu „Ahí les va", emitowanego na YouTubie. Powstał on jako internetowa odnoga rosyjskiej telewizji skierowana głównie do młodych, a zarazem medialna odpowiedź na społeczno-polityczną sytuację regionu, rozgrzanego w tym czasie falą protestów, jakie wstrząsnęły Chile, Kolumbią i Ekwadorem.

Początkowo poświęcony problematyce lokalnej, „Ahí les va" zaczął emitować coraz więcej treści przekraczających tematycznie granice Ameryki Łacińskiej. Coraz częstsze stały się krytyczne materiały na temat USA, NATO i Europy Zachodniej, potem zaczęło przybywać odcinków o Rosji (np. karykaturalnych wręcz materiałów o Nawalnym).

Teraz, od kilku miesięcy, na pierwszym planie jest Ukraina – w programie Afinogenovej przedstawiana jako kraj prowokujący Rosję, z „faszystowskim" i skorumpowanym rządem. Jej opowieść to świat równoległy: swoją „specjalną operacją militarną" Putin może pomóc Ukrainie, wyzwalając ją od „nazistów". Przekaz ten trafia do wielu widzów tak mocno, że dominuje w latynoamerykańskich mediach społecznościowych, m.in. w postaci komentarzy do materiałów publikowanych przez portale informacyjne.

– Zaufanie wobec tego typu środków przekazu jest duże, bo są one traktowane jako potrzebna alternatywa dla mediów tradycyjnych. Wydają się bardziej autentyczne i bliższe zwykłemu odbiorcy niż to, co oferują prasa i telewizja, postrzegane jako „media elit". Czyli takie, które należą do przedstawicieli uprzywilejowanych grup społecznych oraz reprezentują ich interesy. Wydają się przez to dużo mniej wiarygodne – mówi mi Constanza Ortega Gunckel, politolożka i badaczka komunikacji pracująca na Pontificia Universidad Católica w Santiago.

O TYSIĄCE KILOMETRÓW – Ważnym czynnikiem sprzyjającym poddawaniu się takim treściom jest też fakt, że szukamy informacji w tych mediach, które już wcześniej zdobyły nasze zaufanie. Oraz w naturalny sposób poszukujemy takich materiałów, które są bliskie naszemu postrzeganiu świata. Pokrywają się z tym, co myślimy o innych krajach. A potem dalej funkcjonujemy w obrębie tego obiegu informacji, często nie podejrzewając, że mogą być fałszywe. Bo przecież w ramach naszej wizji rzeczywistości i przekonań mają one sens – dodaje Constanza.

Dobrze widać to również teraz, gdy Rosja toczy wojnę w odległej o kilkanaście tysięcy kilometrów Ukrainie. Dla większości mieszkańców Argentyny, Chile czy Meksyku ten kraj, egzotyczny i niedostępny, istnieje głównie jako medialny przekaz – w takim samym stopniu, jak dla mieszkańców naszej części Europy istnieją inne dalekie kraje, mierzące się z własnymi konfliktami.

Dla wielu ukraińska walka jest dziś po prostu krótkim newsem w telewizji bądź filmikiem w mediach społecznościowych. Tym trudniej więc jest tę wojnę z drugiego końca świata zrozumieć. I objąć ją myślami. © MAGDALENA BARTCZAK

GDY SPICHLERZ ŚWIATA PŁONIE

Napaść Rosji na Ukrainę ma jeszcze jedną konsekwencję: światowy kryzys żywnościowy. A głód nie jest ani nowym, ani rzadko stosowanym narzędziem wojny.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

W porównaniu z innymi zdjęciami z wojny, to nie jest poruszające i nic dziwnego, że nie obiegło mediów. Z wielkich silosów w Humaniu unosi się potężny obłok czarnego dymu. Poza tym widać niewiele. Fotografię jednego z pierwszych bombardowań dokonanych przez siły rosyjskie można jednak uznać za prolog do koszmaru, jaki niesie wojna w Ukrainie. Koszmaru nie tylko dla Ukraińców. Także dla setek tysięcy ludzi w innych, odległych częściach świata.

Z najnowszego raportu Światowego Programu Żywnościowego (WFP) wynika, że w ukraińskich i rosyjskich silosach znajduje się 13,5 mln ton pszenicy i 16 mln ton kukurydzy, które ta oenzetowska agencja miała rozdystrybuować wśród najbardziej potrzebujących. Zresztą nawet bez wojny w Ukrainie świat był na progu największego od dziesięcioleci kryzysu żywnościowego. Z wyliczeń Johns Hopkins University wynika, że już teraz co minutę głód zabija 11 osób na świecie. Nikt na razie nawet nie próbuje szacować, ilu ludzi będzie umierać, gdy kryzys na dobre się zacznie.

Mieszkańców bogatych państw Zachodu ta klęska bezpośrednio nie dotknie, ale to nie oznacza, że nas nie dotyczy. Przeciwnie, Kreml już zaczyna rozgrywać przeciwko Europie ten kryzys i może się to stać bronią równie śmiercionośną, co bomby. – Wciąż mamy pole do działania, choć z każdym dniem staje się ono coraz mniejsze – ostrzega w rozmowie z „Tygodnikiem" Monika Tothova, ekonomistka Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO).

Chleb i rewolucje

Przez ostatnie lata producenci żywności otrzymali serię potężnych ciosów, z których każdy chwiał bezpieczeństwem milionów ludzi. Z jednej strony – pandemia i zamrożenie globalnego handlu. Z drugiej anomalie pogodowe, z których większość należy przypisywać zmianom klimatu. Na to nałożył się najwyższy od ponad dekady wzrost cen surowców energetycznych.

– Do tych ciosów z ostatnich dwóch, trzech lat dodałabym jeszcze ogromną plagę szarańczy, która dotknęła ponad 20 państw – mówi Helena Krajewska z Polskiej Akcji Humanitarnej.

Róg Afryki zmaga się z suszą dorównującą tej z lat 80. XX w., gdy z głodu zmarło milion ludzi. Z szacunków UNICEF-u wynika, że w Etiopii, Somalii i Kenii pomocy potrzebuje ponad 13 mln osób. Międzynarodowy Komitet Ratunkowy (IRC) ostrzega, że ich liczba w ciągu najbliższych trzech miesięcy zwiększy się do 25 mln. W regionach, które dotknęła klęska, drogi od kilku tygodni usiane są szczątkami martwych zwierząt. Ich właściciele nie byli ich w stanie wyżywić ani napoić. Nie było czym. A zwłok nikt nie ma siły zbierać. Ludzie ograniczają się do jednego posiłku dziennie, a i ten nie jest obfity.

Zagrożenie, jakie to niesie, opisał Martín Caparrós w książce „Głód": „Kiedy jakiś organizm przyjmuje mniej pożywienia, niż potrzebuje, zaczyna zjadać własne rezerwy cukru, potem tłuszczu. Człowiek rusza się coraz mniej, popada w letarg. Chudnie i traci siły obronne: jego system odpornościowy słabnie. Atakują go wirusy wywołujące biegunkę, która podkopuje jego siły. W ustach zagnieżdżają się, wywołując wielki ból, pasożyty, przed którymi organizm już nie umie się bronić; infekcje oskrzelowe utrudniają oddychanie i również wywołują ból. Na koniec człowiek ten zaczyna tracić masę

AHMED ZAKOT / ZUMA PRESS / FORUM

Strefa Gazy jest silnie uzależniona od dostaw pszenicy z Ukrainy i Rosji, które są w stanie wojny. Centrum dystrybucji pomocy żywnościowej UNRWA w Gazie, 16 marca 2022 r.

mięśniową: nie może utrzymać się na nogach, a wkrótce nie będzie mógł się ruszać, cierpi. Kurczy się w sobie, schnie, skóra marszczy mu się, pęka i też boli. Człowiek płacze cicho; czeka, aż wszystko się skończy".

Nie we wszystkich regionach, które zaczyna dotykać kryzys, sytuacja przedstawia się aż tak dramatycznie. W wielu miejscach żywność na półkach sklepowych jest, ale coraz mniej osób może sobie na nią pozwolić. W Sudanie Południowym już kilka miesięcy temu cena pieczywa wzrosła do poziomu około 60 proc. średniej dziennej pensji. To tak, jakby u nas bochenek chleba kosztował ponad 65 zł.

Podobna drożyzna nęka Egipcjan, Irakijczyków, Tunezyjczyków, Algierczyków i Sudańczyków. Rosnące ceny w Libanie, Syrii czy Jemenie od miesięcy dokładają się do konfliktów i pogarszają i tak już fatalne warunki humanitarne. W sudańskim mieście Wad Madani, gdzie w połowie marca wybuchły protesty z powodu wysokich cen żywności, policja otworzyła ogień do protestujących. Zginął siedemnastolatek.

To jak powtórka z historii. Na początku 2011 r. na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej doszło do bezprecedensowej fali rewolucji. Ludzie w Tunezji, Egipcie, Syrii czy Jemenie żądali ustąpienia reżimów, wolności i chleba. Wielu analityków uważa, że drożyzna, która poprzedziła te wydarzenia, była iskrą, która wywołała Arabską Wiosnę.

Rzecz w tym, że ceny na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej jeszcze zanim doszło do wojny w Ukrainie były wyższe niż 11 lat temu. Rosyjska inwazja dolewa oliwy do ognia – bo w zasadzie wszystkie kraje tego regionu, które już zmagają się z kryzysem, są uzależnione od dostaw ukraińskich lub rosyjskich zbóż.

Plaster na postrzał

Od upadku komunizmu Rosja i Ukraina wyrosły na pszeniczne potęgi. Jeszcze na początku lat 90. odpowiadały za zaledwie 1,5 proc. światowego eksportu tego zboża. Dziś Rosja jest największym graczem, odpowiadając za 18 proc. światowego rynku, a udział Ukrainy wynosi ponad 10 proc. Jednocześnie oba kraje są znaczącymi dostawcami kukurydzy (łącznie 20 proc. światowego rynku), a w 2020 r. dostarczyły 73 proc. oleju słonecznikowego. Wojna tę gospodarczą układankę wywraca.

↦

↦ Egipt, który dotąd był największym na świecie importerem pszenicy, 80 proc. jej dostaw czerpał z Rosji i Ukrainy. O tym, jak są ważne, dobrze świadczy fakt, iż program państwowych dotacji do chleba obejmuje ponad 70 mln Egipcjan, czyli dwie trzecie populacji. Nawet autorytarny przywódca kraju Abdel-Fattah al-Sisi, choć nie jest zwolennikiem takiego wsparcia dla obywateli, zapowiedział, że dotacji do chleba nie zmieni.

Po wybuchu wojny w Ukrainie roczne wydatki Egiptu na import pszenicy mogą – wedle prognoz – ulec nawet podwojeniu. Niesubsydiowany chleb w pierwszych dniach po rosyjskiej inwazji zdrożał o 25 proc. i rząd w Kairze w pierwszej połowie marca był zmuszony do ustalenia jego stałej ceny. Chociaż władze egipskie zapewniają, że rezerwy strategiczne wystarczą na pokrycie podaży do końca 2022 r., to biorąc pod uwagę sytuację na światowych rynkach, poleganie na rezerwach przypomina naklejanie plastra na ranę postrzałową.

– Jeszcze przed rozpoczęciem kryzysu ceny były bardzo wysokie. W lutym indeks cen zbóż osiągnął najwyższy poziom w historii, o 2 proc. wyższy od poprzedniego rekordu z lutego 2011 r., a nie zdążył on uwzględnić wpływu wojny – mówi Monika Tothova. I dodaje: – Sytuacja jest bardzo delikatna, a jej dalszy rozwój zależy od wielu czynników, m.in. od tego, jakie plony zbiorą rolnicy w reszcie świata. W krajach takich jak Polska czeka nas wzrost cen, który najbardziej odczują ludzie najubożsi. Kraje, które są uzależnione od importu żywności, odczują skutki o wiele mocniej.

Na razie, by uspokoić nastroje, rząd Egiptu wysłał na ulice wojsko, które jest głównym w kraju producentem żywności. Z ciężarówek rozmieszczonych w najuboższych miejscowościach i dzielnicach sprzedawano mąkę, mięso, ryż, makaron i olej po obniżonych cenach. Była to realizacja zapowiedzi prezydenta al-Sisiego, który podczas transmitowanej w telewizji narady z ministrem obrony nakazał mu „sprzedawanie wszystkiego za połowę ceny".

W ciężkiej sytuacji znalazły się nie tylko państwa. WFP połowę zboża kupował od Ukrainy. Przed wybuchem wojny organizacja dostarczała żywność dla 125 mln najbiedniejszych ludzi na świecie. Wzrost cen na światowych rynkach sprawił, że miesięczne wydatki organizacji już wzrosły o 71 mln dol. Efekt jest taki, że w wyniszczonym wojną Jemenie właśnie zmniejszono o połowę przydziały żywności dla 8 mln ludzi, których przetrwanie całkowicie zależy od pomocy WFP.

„Ostatnią rzeczą, której chcemy, jest odbieranie żywności dzieciom głodnym, by oddawać ją głodującym" – mówił w połowie marca David Beasley, dyrektor wykonawczy organizacji, przed spotkaniami z przedstawicielami Unii Europejskiej.

Bruksela już zapowiedziała, że przekieruje dodatkowe fundusze. Jak wysokie, ciągle nie wiadomo. Beasley przestrzega, że brak pieniędzy będzie oznaczał głód, destabilizację i masowe migracje: „Jeśli zaniedbamy północną Afrykę, północna Afryka napłynie do Europy. Jeśli zaniedbamy Bliski Wschód, Bliski Wschód przybędzie do Europy" – ostrzega dyrektor WFP.

Zablokowany eksport

To jeden z najbardziej charakterystycznych obrazków ukraińskiej wojny: ciągniki holujące rosyjskie czołgi. Choć nagrania z nimi podbijają internet, podnosząc morale obrońców i ośmieszając rosyjską zbrodniczą machinę wojenną, kryje się w nich drugie dno: traktory zaprzęgnięte do walki z agresorem nie robią tego, do czego zostały stworzone – nie pracują w polu.

Ukraina, czasem nazywana spichlerzem świata, sama zaczyna potrzebować żywnościowej pomocy. – Słyszałam od lokalnych władz, że w tym sezonie może uda się im zasiać i zebrać połowę tego, co zazwyczaj, a i to są optymistyczne założenia – mówi Helena Krajewska. – Nie tylko dlatego, że w wielu miejscach trwają walki, ale też przez brak paliwa, nawozów i ludzi, którzy zostali wcieleni do wojska lub zmuszeni do opuszczenia rodzinnych stron.

Rząd Ukrainy, chcąc zabezpieczyć obywateli, zakazał eksportu m.in. jęczmienia, żyta, prosa i gryki. Nie ma na tej liście pszenicy ani kukurydzy, ale ich sprzedaż i tak w zasadzie jest niemożliwa. 80 proc. ukraińskich zbóż wysyłana była przez czarnomorskie porty, a te są oblężone albo bombardowane. Armatorzy, nawet jeśli udałoby im się znaleźć miejsce do dokowania i załadunku – a większości się to nie udaje – muszą płacić zaporowo wysokie ubezpieczenia. Albo w ogóle nie są im one udzielane, bo Morze Czarne jest przez Rosjan blokowane i zaminowane.

Celem ataków są nie tylko porty. „To szokujące, że celem bombardowań stają się silosy i elewatory zbożowe" – mówiła podczas nadzwyczajnego szczytu G7 kanadyjska minister rolnictwa Marie-Claude Bideau. W zeszłym tygodniu, podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ, zastępczyni sekretarza stanu USA Wendy Sherman oskarżyła Władimira Putina o to, że kryzys żywnościowy wywołuje celowo. „Rosja zbombardowała przynajmniej trzy cywilne statki transportujące towary z portów nad Morzem Czarnym do innych krajów, w tym jeden wynajęty przez firmę z branży rolniczej. Rosyjska morska blokada ukraińskich portów w zasadzie zatrzymała eksport zboża" – mówiła. Według Amerykanów, aż 94 statki transportujące żywność nie mogą na skutek działań Rosji dotrzeć ze swoim ładunkiem z Morza Czarnego na Morze Śródziemne.

Nacisk

W tej sytuacji symptomatyczne są wyjaśnienia rosyjskiego ambasadora przy ONZ Wasilija Nebenzia, który nie tylko stwierdził, że rosyjskie wojsko nie stanowi zagrożenia dla cywilnej żeglugi i ustanowiło „korytarz humanitarny" liczący 80 mil morskich dla statków stojących w ukraińskich portach, ale też wskazał winnego zaburzeń na globalnych rynkach żywności. „Prawdziwą przyczyną są histeryczne sankcje nałożone przez Zachód na Rosję bez wzięcia pod uwagę populacji tzw. globalnego Południa i własnych obywateli" – stwierdził.

Część analityków uważa, że taka narracja oraz niszczycielskie działania Rosji w Ukrainie wskazują, że Kreml chce wykorzystywać zbożowy szantaż. Trudno bowiem o lepszy sposób na wymuszenie posłuszeństwa niż groźba, że niezbędne transporty żywności nie trafią tam, gdzie są potrzebne. „Rosja odcięła już kluczowe dostawy zbóż do krajów, które polegały na eksporcie z Ukrainy. Wykorzystując jedną ze swoich dobrze udokumentowanych kampanii promujących fałszywe narracje, prawdopodobnie będzie teraz sprzedawać tym krajom wersję, zgodnie z którą winę za ich niedostatki ponosi Zachód" – pisze w komentarzu na łamach „Politico" troje specjalistów od strategii i łańcuchów zaopatrzeniowych dr Ian Ralby, dr David Soud i Rohini Ralby.

Analitycy sugerują, że wstrzymywanie dostaw żywności może stać się dla Moskwy wygodnym narzędziem do wywierania presji na inne państwa, by na przykład zaakceptowały jej ukraińskie podboje. Taka „bomba żywnościowa" już została podłożona przez Moskwę w krajach „bliskiej zagranicy", czyli byłych republikach ZSRR. Rosyjski premier Michaił Mitoszyn w połowie marca podpisał dokument tymczasowo zakazujący eksportu zboża do Kazachstanu, Armenii i Kirgistanu.

Dodatkowym narzędziem nacisku – ściśle powiązanym z produkcją żywności i wpływającym na jej ceny – mogą być nawozy, których Rosja jest głównym producentem. Wytwarza ich rocznie ponad 50 mln ton, co stanowi blisko 15 proc. całkowitej światowej produkcji. Jednocześnie kraj ten jest jednym z największych eksporterów gazu ziemnego (20 proc. udziałów w rynku), kluczowego surowca w przemyśle nawozowym. Już w ubiegłym roku ceny gazu i nawozów rosły. To przyczyniło się do windowania cen. 4 marca, czyli niewiele ponad tydzień po rozpoczęciu inwazji w Ukrainie, rosyjskie Ministerstwo Przemysłu i Handlu zaleciło rosyjskim producentom zaprzestanie eksportu nawozów.

Pułapka zakazów

Czy świat jest w stanie wykazać się solidarnością i wspólnie zadbać o sprawiedliwy podział żywności? Niedawne doświadczenia szczepionkowe każą podchodzić do tego z ostrożnością. Świat, a zwłaszcza bogaty Zachód, znalazł się w klasycznym „dylemacie więźnia" – co prawda wszyscy zyskaliby najwięcej na pełnej współpracy, ale wystarczy, że kilka rządów, kierując się cynizmem, histerią, populizmem czy chciwością, postanowi się wyłączyć z globalnego systemu i zabronić eksportu, by ci, którzy pozostawią otwarte drzwi dla handlu, ponieśli ogromne koszty.

Obecny kryzys żywnościowy właśnie z tego powodu pod bardzo wieloma względami przypomina ten z lat 2007-08. Wówczas też trwała susza i rosły ceny surowców. Domino światowego bezpieczeństwa żywnościowego zaczęło się sypać, gdy Indie zakazały eksportu ryżu, mimo że nie było zagrożenia, że go zabraknie. Skutkiem były ogromne wzrosty cen, które uderzyły przede wszystkim w najuboższych. Świat miał przeszło dekadę, by przygotować się na powtórkę takiej sytuacji, i – jak gorzko przyznała w artykule dla „Financial Times" Ngozi Okonjo-Iweala, dyrektor generalna Światowej Organizacji Handlu (WTO) – wygląda na to, że wolno się uczy.

UDZIAŁ W ŚWIATOWYM RYNKU:

PSZENICA

18% ROSJA

10% UKRAINA

OLEJ SŁONECZNIKOWY

ROSJA I UKRAINA ŁĄCZNIE W ROKU 2020

TP-ONLINE

Z danych Global Trade Alert, organizacji monitorującej zmiany w polityce handlowej poszczególnych państw, wynika, że co kilka dni kolejne rządy nakładają ograniczenia na sprzedaż żywności za granicą. Okonjo-Iweala napisała, że na razie 12 krajów członkowskich WTO nałożyło ograniczenia eksportowe, aby zatrzymać żywność w swoich krajach, ale nie podała ich nazwy (na zakazy eksportu WTO nie pozwala, ale organizacja ta zostawia rządom furtkę na czasowe ich wprowadzanie „by zapobiec krytycznemu brakowi żywności czy innych produktów").

Teraz, zdaniem Okonjo-Iweali, aby uratować cały system, „kraje z nadwyżkami zapasów produktów takich jak zboża powinny je wypuszczać na rynki światowe", zamiast trzymać w magazynach.

– Podtrzymanie otwartego, globalnego handlu żywnością jest kluczowe – podkreśla Tothova. – Zakazy wyrządzają krzywdę wszystkim, a kraje, które je wprowadzają, odnoszą jedynie krótkotrwałe korzyści. Kiedy jednak kolejne kraje zaczynają je wprowadzać, szybko może się okazać, że niemal nikt nie eksportuje. Tymczasem bez otwartego handlu nawet Światowy Program Żywnościowy nie będzie miał skąd wziąć odpowiedniej ilości niezbędnych towarów.

Zrywanie masek

Głód nie jest ani nowym, ani rzadko stosowanym narzędziem wojny. Dość wspomnieć zagłodzenie miliona Ormian podczas I wojny światowej czy nazistowski „plan głodowy" wobec Związku Sowieckiego. Alex de Waal, dyrektor World Peace Foundation i jeden z czołowych ekspertów w dziedzinie wykorzystywania głodu w walce politycznej, w książce „Masowy głód. Historia i przyszłość głodu" wskazuje, że plagi głodu wywoływane lub wykorzystywane przez polityków do lat 80. zabijały co dekadę średnio 10 mln ludzi. Przed takim kryzysem w skali globalnej trudno się bronić. Gdy ktoś z politycznych względów zakręca kurek z ropą czy gazem, inni producenci mogą, jeśli zechcą, skompensować różnicę w ciągu godzin czy dni. Jeśli na rynku zaczyna brakować pszenicy – nadrobienie straty, gdy w silosach brak rezerw, jest kwestią następnego sezonu upraw.

– Lubimy myśleć o politycznych wstrząsach i konfliktach w kategoriach walki o władzę, ale tak nie jest – mówi dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem im. Krzysztofa Liedela w Collegium Civitas, dodając, że państwa i grupy społeczne rywalizują o kontrolę nad terytorium, o wodę pitną, o dostęp do żywności, a są to, choć często pod przykryciem ideologicznych sloganów, po prostu ludzkie pierwsze potrzeby zapewniające przetrwanie. – Konflikty, te wewnętrzne i te międzypaństwowe, są trudne do rozwiązania, gdy rywalizujemy o idee czy formy reżimów politycznych. Rywalizacja o dostęp do dóbr zapewniających fizyczne przetrwanie może zerwać wszelkie maski – dodaje dr Piasecka.

W czasie potrzebnym na lekturę tego artykułu na świecie zmarło z głodu ponad sto osób.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JAK ZDEFINIOWAĆ UPADEK

Jak to się stało, że upadły cywilizacje stworzone przez Rzymian, Majów czy mieszkańców Wyspy Wielkanocnej? Łatwo dojść do wniosku, że nie ma hipotezy na tyle absurdalnej, by jakiś uczony jej nie wysunął.

KAMIL KOPIJ

Pod koniec września 2021 roku w prestiżowym czasopiśmie naukowym „Scientific Reports" opublikowano artykuł, który rozpalił wyobraźnię ludzi na całym świecie. Oto grupa amerykańskich badaczy dowodziła, że położone w dzisiejszej Jordanii miasteczko Tell el-Hammam zostało zniszczone 3500 lat temu przez asteroidę. W dodatku utożsamili to miejsce z Sodomą, potwierdzając tym samym biblijną narrację. Wkrótce autorów oskarżono o manipulację ilustracjami, nieprawidłowe interpretacje oraz uszycie wniosków pod obraną wcześniej tezę. Dziś artykuł ten uchodzi za naukowy bubel i plamę na prestiżu pisma.

Na popularność tej historii niewątpliwie miały wpływ jej biblijne konotacje oraz nasze współczesne lęki, zobrazowane ostatnio w filmie „Nie patrz w górę". Nie zmienia to faktu, że ruiny starożytnych kultur nieustannie fascynują: same tylko Pompeje goszczą każdego roku ok. 2,5 mln turystów. Wielu zastanawia się, co się stało z ich budowniczymi. Jak do tego doszło, że upadły cywilizacje stworzone przez Rzymian, Majów czy mieszkańców Wyspy Wielkanocnej?

Nad losami upadłych cywilizacji zastanawiali się już starożytni, zwykle upatrując przyczyn ich upadku w regresie moralnym i dekadencji elit. Tak odczytywano opowiedzianą przez Herodota historię schyłku Imperium Asyryjskiego i zastąpienia go przez państwo Medów. Jako ostrzeżenie Ateńczyków przed tym, że pycha kroczy przed upadkiem, interpretować należy natomiast snute przez Platona opowieści o mitycznej Atlantydzie. Rozwinięciem tego typu rozważań była pierwsza „naukowa" teoria upadku, stworzona w XIV w. przez arabskiego historyka Ibn Chalduna. Uważał on, że za udanym tworzeniem państw stoi posiadanie poczucia solidarności grupowej, zwanej z arabska asabiyą. Z czasem jednak, gdy elity wystawione zostały na pokusy bogactwa i władzy, *asabiya* w naturalny sposób słabła, co prowadziło do upadku dynastii. Nowe grupy z silniejszą asabiyą – często koczownicy – przejmowały i tworzyły kolejne dynastie, a faktycznie państwa. Cykl się zamykał.

JOHN MILNER / SOPA / GETTY IMAGES

Rzym

W 1984 r. niemiecki historyk Alexander Demandt opublikował listę 210 wymienianych przez historyków przyczyn upadku Imperium Rzymskiego. Prócz wojen z barbarzyńcami czy wzrostu znaczenia regionalnych elit i partykularnych interesów znalazły się tam też wpływy żydowskie, chrześcijaństwo czy emancypacja kobiet. Łatwo dojść do wniosku, że nie ma hipotezy na tyle absurdalnej, by jakiś uczony jej nie wysunął. Dziś popularne są te mówiące o środowiskowych przyczynach upadku cywilizacji: zmianach klimatu, wylesianiu, nadmiernej eksploatacji zasobów. Pojawianie się nowych wyjaśnień związane jest nie tylko z rozwojem nauki, ale również społeczno-kulturowym kontekstem, w którym powstają, i lękami ludzi, którzy je tworzą. Chętnie też szukamy prostych rozwiązań złożonych problemów, bo złożoność utkaną z dziesiątek powiązanych ze sobą sznurków trudno ogarnąć.

Nie ma chyba drugiej cywilizacji, której upadek tak bardzo nas interesuje, jak agonia starożytnego Rzymu. Uważamy się wszak za jego kulturowych dziedziców. Dlatego m.in. temat przesiąkł do popkultury. Amerykański pisarz Robert Silverberg stworzył cykl opowiadań o alternatywnej rzeczywistości, w której Rzym nigdy nie upadł. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to lektura „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego" Edwarda Gibbona i refleksja nad tym, czy upadek był nieuchronny, skłoniły Isaaca Asimova do napisania cyklu „Fundacja". Rok 476, choć niespecjalnie wyróżniający się dla żyjących wówczas Rzymian, jest datą symboliczną, mimo że formalnie rzecz biorąc cesarstwo trwało na Wschodzie.

Jak to się stało, że imperium, które podbiło cały śródziemnomorski świat, a jego granice sięgały od dzisiejszej Szkocji po północne rejony Arabii Saudyjskiej, upadło? Są historycy, którzy do pewnego stopnia ten upadek kwestionują. Zgadzają się, że upadła pewna struktura polityczna, której formuła była jednak od dawna na wyczerpaniu. Cesarze zachodniorzymscy byli przecież w ostatnich dziesięcioleciach marionetkami w rękach lokalnych elit i wodzów, zwykle germańskiego pochodzenia. W 476 r. po prostu zburzono tę zgniłą fasadę i formalnie zjednoczono cesarstwo pod rządami Konstantynopola.

Przeciwnicy koncepcji upadku patrzą na cywilizację jako na fenomen kulturowy, nie polityczny. Czy kultura rzymska upadła? Zgodzimy się chyba, że nie tylko nie zniknęła, ale do pewnego stopnia jest żywa do dziś, ulegając powolnej transformacji. Skupmy się jednak na strukturach politycznych – to je mamy przecież na myśli, mówiąc o upadku. Czy Cesarstwo Zachodnie upadło? Wydawałoby się, że tak postawione pytanie jest absurdalne: oczywiście, że tak. Wszystko jednak zależy od tego, jak zdefiniujemy upadek. Większość historyków i archeologów uważa, że należy oddzielić od siebie dwa zjawiska: upadku i zmierzchu. Ten pierwszy, jak pisał w książce „The Collapse of Complex Societies" Joseph Tainter, „musi być szybki – trwający nie dłużej niż kilka dekad – i musi pociągać za sobą znaczną utratę struktury społeczno-politycznej". Zmierzch natomiast to proces dłuższy i mniej drastyczny. Warto zwrócić uwagę, że podział ten oddaje już oryginalny tytuł dzieła Gibbona „The History of the Decline and Fall of the Roman Empire".

Spójrzmy w tym kontekście na kalendarium wydarzeń. W roku 410 Rzymianie wycofują się z Brytanii, by nigdy już do niej nie powrócić, a stolica imperium zostaje złupiona przez Wizygotów. Szczególnie to drugie wydarzenie wstrząsnęło światem śródziemnomorskim. Ostatnio bowiem Rzym znajdował się w obcych rękach niemal 800 lat wcześniej, gdy zdobyli go Galowie. Pierwsze dekady V wieku to stopniowa utrata kontroli nad prowincjami germańskimi, Galią i Hiszpanią. Związana ona była nie tylko z ciągłym zaangażowaniem sił militarnych, ale również z utratą wpływów z podatków i zmniejszeniem puli kandydatów do służby wojskowej. Szczególnie dotkliwa była utrata Afryki Północnej na rzecz Wandalów w 439 r. Prowincje afrykańskie stanowiły bowiem spichlerz zachodniej części imperium. W 455 r. doszło do ponownego złupienia Rzymu, tym razem przez Wandalów. Jedenaście lat później abdykuje Romulus Augustulus, ↦

Posągi moai w Parku Narodowym Rapa Nui na Wyspie Wielkanocnej

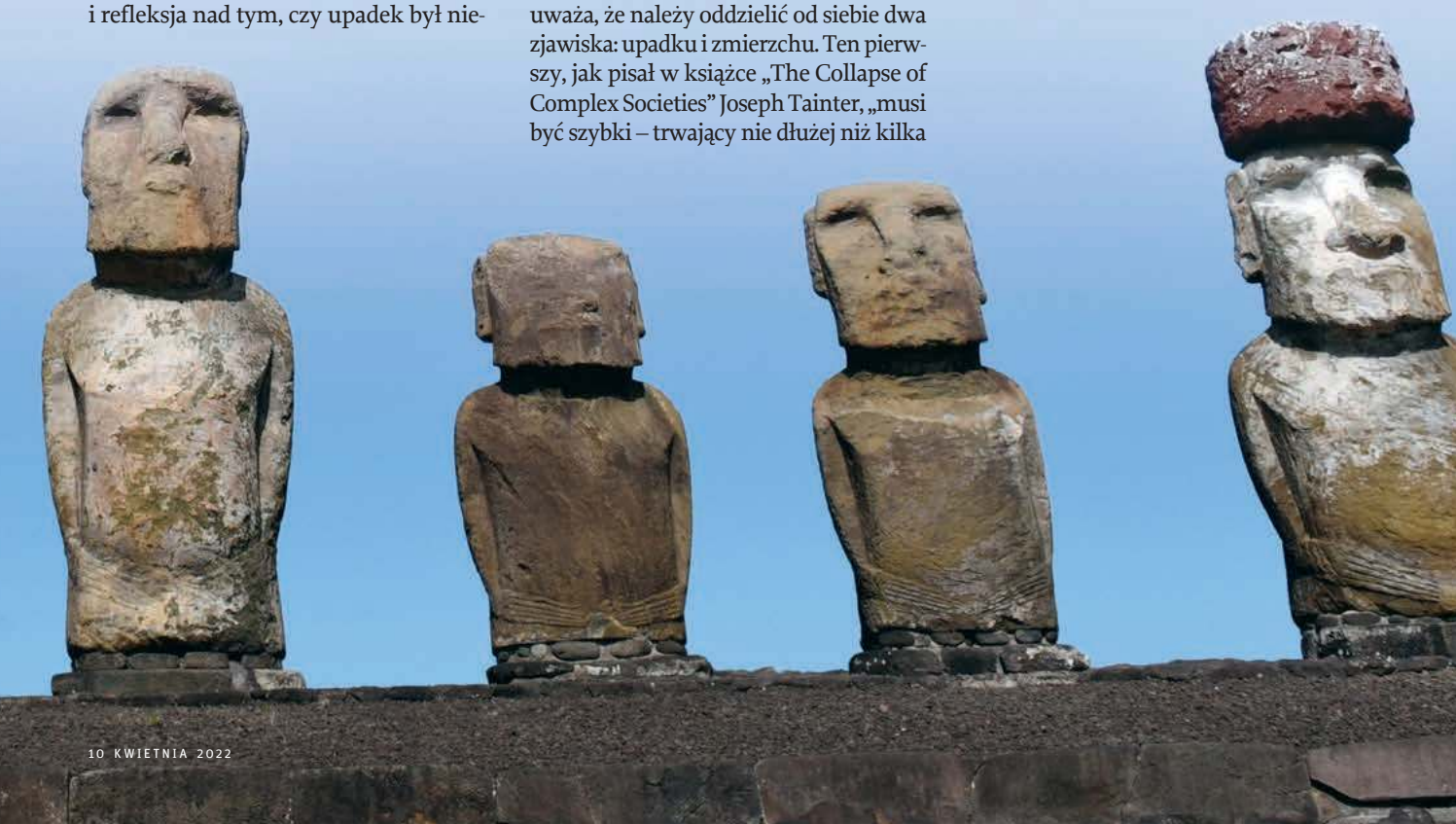

GREG WILLIS / CC BY 3.0

Piramida schodkowa Majów w Tikál, Gwatemala.

a senat wysyła do Konstantynopola symbole władzy cesarskiej.

Czy 66 lat to „kilka dekad" Taintera, które pozwoliłyby mówić o upadku? A może był to zmierzch? Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że swój wpływ na ostateczne losy Rzymu mogły mieć zmiany klimatu i epidemie. Może idąc za Gibbonem i Kyle'em Harperem, autorem wzbudzającej kontrowersje książki „Los Rzymu. Klimat, choroby i koniec imperium", powinniśmy być raczej zdziwieni tym, że Cesarstwo Rzymskie przetrwało tak długo?

Akad

Bogactwo źródeł sprawia, że na zmierzch Rzymu możemy patrzeć z różnych stron, podkreślając znaczenie jednych czynników, a deprecjonując inne. W przypadku innych cywilizacji nie mamy tyle szczęścia – tu rośnie rola ustaleń nauk przyrodniczych. Dobrze ilustruje to wydana niedawno książka „Climate Chaos" Briana Fagana i Nadii Durrani, opowiadająca o wpływie zmian klimatu na dawne kultury. Im bliżej współczesności, a więc wraz ze wzrostem liczby źródeł, obraz staje się bardziej zniuansowany. Ludzie przestają być biernymi pionkami miotanymi po planszy przez siły natury i zyskują sprawczość, która pozwala im przygotować się na zmiany.

Spójrzmy na krótkie dzieje pierwszego w historii imperium – stworzonego przez Sargona królestwa Akadu. Jak kometa przeleciało ono przez Mezopotamię scalając pod władzą jednego króla cały niemal jej teren, aż po syryjskie wybrzeża Morza Śródziemnego. Przetrwało niecałe 200 lat (ok. 2334-2154 p.n.e.). Powstała w czasach III dynastii z Ur, czyli pod koniec trzeciego lub na początku drugiego tysiąclecia p.n.e., „Klątwa Akadu" żywo odmalowuje obraz upadku państwa, wskazując na nieurodzaj prowadzący do kanibalizmu, upadek ekonomiczny i najazd „barbarzyńców" z północy. Nic więc dziwnego, że gdy pojawiły się wyniki badań paleoklimatycznych dla tego regionu, wskazujące na osuszanie się klimatu, badacze ochoczo zestawili je z tekstem eposu. I choć liczba danych dotyczących tzw. wydarzenia 4,2 tys. lat temu (*4.2 kya event*) wciąż rośnie, rosną też wątpliwości co do tego, że było główną przyczyną upadku imperium.

Po pierwsze, wydaje się, że władza Akadyjczyków była raczej efemeryczna. Nie wiemy, jak dużą część imperium kontrolowali bezpośrednio, a jaka pozostawała jedynie pod ich zwierzchnictwem. Wiemy natomiast, że kolejni władcy prowadzić musieli nieustanne wojny z buntującymi się miastami. Po drugie, „dom Sargona" nie był rodziną żyjącą w harmonii, a spiski pałacowe i zamachy nie były rzadkością. Być może więc głównej przyczyny upadku imperium powinniśmy doszukiwać się w jego wewnętrznej słabości. Szczególnie że opublikowane przez Arkadiusza Sołtysiaka z UW i Ricarda Fernandesa z Instytutu Maxa Plancka latem 2021 r. wyniki badań szkieletów mieszkańców północnej Mezopotamii w okresie poprzedzającym *4.2 kya event*, w jego trakcie oraz po jego zakończeniu nie wskazują na drastyczne zmiany w diecie, które wspierałyby hipotezę o głodzie. Nawet jeśli zmiany klimatu były poważne, wygląda na to, że ludzie potrafili się do nich dostosować.

A co z „Klątwą Akadu"? No cóż, jest to tekst powstały nie dość, że przynajmniej sto lat po upadku imperium, to jeszcze w kręgu ludzi, którzy nie darzyli Akadyjczyków sympatią i próbowali legitymizować swoją władzę w oczach poddanych. A jednym z najlepszych sposobów na to jest dowodzenie, że zaprowadziło się porządek tam, gdzie panował chaos.

Majowie

Tym, czym dla archeologów europejskich jest upadek Rzymu, dla tych zza oceanu jest los starożytnych Majów. Rosyjsko-amerykańska majolożka Tatiana Proskuriakowa w 1946 r. pisała, że „nagły zanik sztuki można wytłumaczyć jedynie w kategoriach jakiejś rozległej i nieprzewidzianej katastrofy, która dotknęła większość miast Majów wkrótce po roku 800 n.e.".

Hipotezę o zmianach klimatycznych wysunął po raz pierwszy w 1914 r. amerykański geograf Ellsworth Huntington. Wówczas nasza wiedza o przeszłych zmianach klimatu była nikła, a danych dla terenu, na którym mieszkali Majowie, nie posiadaliśmy prawie w ogóle – zaczęły się pojawiać w drugiej połowie XX wieku. Wysunięto wtedy tezę o wielkiej suszy, która doprowadziła do zapaści demograficznej i zniszczyła cywilizację. Nowsze badania rzeczywiście zdają się wskazywać na zmianę klimatu na bardziej suchy. Co więcej, sugerują krótsze okresy szczególnie dotkliwej suszy około 760, 810, 860 i 910 r. n.e. O ile do rozciągniętego na wiele lat procesu osuszania się klimatu Majowie mogli się dostosować, to nagłe susze i związane z nimi klęski nieurodzaju musiały siać spustoszenie. Szczególnie że obejmowały prawdopodobnie spory obszar, co uniemożliwiało import żywności z innych miast. Do takiej narracji lepiej pasują też dane epigraficzne, które – wbrew temu, co twierdziła Proskuriakowa – wskazują, że upadek majańskich ośrodków miejskich nie był wcale tak nagły i rozciągał się na przestrzeni około dwustu lat. Część z nich lepiej radziła sobie z presją środowiska, inne, posiadające mniej zasobów, upadały szybciej.

Spopularyzowana przez film dokumentalny BBC „Ancient Apocalypse: The Maya Collapse" z 2002 r. i poprzedzającą go książkę Richardsona B. Gilla pt. „Drought and the Maya Collapse" hipoteza o megasuszy jako przyczynie upadku Majów rozpowszechniła się wśród laików. Archeolodzy w większości są jednak sceptyczni. Po pierwsze, przeważająca część danych klimatycznych pochodzi z osadów jeziornych na północnym Jukatanie. Tymczasem tamtejsze miasta zamiast upadku przeżywały w tym okresie rozkwit. Mimo że suma opadów deszczu na suchszych terenach na północy stanowiła w przybliżeniu jedynie połowę sumy opadów na południu, to właśnie położone na południu miasta popadły w ruinę. Po drugie, wyda-

Forum Romanum, Rzym. Obok: walczący żołnierze akadyjscy, ok. 2300 pne., Luwr. Tell el-Hammam w dolinie Jordanu.

CC BY 3.0 x3

wałoby się, że w pierwszej kolejności upadać będą miasta pozbawione dostępu do stałych źródeł wody, takich jak rzeki i jeziora, a więc opierające gospodarkę wodną głównie na gromadzeniu deszczówki. Tymczasem wiele z nich, m.in. Tikal, Calakmul czy Caracol, przetrwało dłużej niż te mające dostęp do tego typu źródeł.

Bardziej szczegółowe przyjrzenie się dziejom poszczególnych miast wskazuje zresztą, że strategie radzenia sobie ze zmianami środowiskowymi mogły być różne. Na początku roku opublikowano artykuł, którego autorzy – Scott Fedick i Louis Santiago z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Riverside – przedstawili wyniki analizy odporności na suszę 497 roślin spożywanych przez Majów. Pokazały one, że jedynie kilkuletnie ciężkie susze były w stanie ograniczyć zasób dostępnych jadalnych gatunków roślin na tyle (do ledwie 50 gatunków), że bez gromadzenia dużych zapasów na chude lata lub importu żywności na dużą skalę Majowie musieliby spojrzeć w oczy głodowi. I choć zmiany klimatu mogły przyczynić się do ostatecznego schyłku klasycznej cywilizacji Majów, nie były jej jedyną przyczyną. Równie ważne były nie tylko konflikty zbrojne między miastami, ale być może również zmiany polityczno-społeczne, które sprawiły, że swoje znaczenie stracili *k'uhul ajaw*, czyli boscy królowie, w głównej mierze odpowiadający za wznoszenie monumentalnych budowli.

Wyspa Wielkanocna

O ile Akadyjczycy, Rzymianie i Majowie są czasem postrzegani jako bogu ducha winne ofiary zmian środowiska, nie ma lepszego przykładu cywilizacji, która wykończyła sama siebie, niż cywilizacja Wyspy Wielkanocnej. Od czasów „Strzelb, zarazków, maszyn. Losów ludzkich społeczeństw" Jareda Diamonda popularny jest bowiem obraz mieszkańców Rapa Nui, którzy poprzez nadmierną eksploatację zasobów naturalnych wyspy i jej wód przybrzeżnych doprowadzili do własnego upadku. Największym ich grzechem miało być wylesianie terenu związane nie tylko z codziennymi potrzebami, ale i wznoszeniem monumentalnych rzeźb zwanych *moai*. Gdy w kwietniu 1722 r. do brzegów wyspy przybył pierwszy europejski statek, jej społeczeństwo było już cieniem samego siebie.

Dziś powiedzieć możemy, że choć na szybkie wylesianie wyspy mamy całkiem przekonujące dowody, to raczej niewiele wspólnego miało to z *moai*, do których transportu i wznoszenia, jak pokazują współczesne eksperymenty, wcale nie trzeba było drewna. Potrzebne było ono raczej jako paliwo i budulec, a w niszczeniu lasów palmowych mogły wspomóc ludzi przywleczone przez nich szczury, które – zjadając orzechy – utrudniały ich reprodukcję (choć nie brak kontrargumentów umniejszających rolę gryzoni). Według popularnej narracji wylesianie odbiło się negatywnie nie tylko na rybołówstwie (brak materiału do budowy łodzi), ale i rolnictwie (wietrzenie gleb).

W trakcie niedawnej dorocznej konferencji Amerykańskiej Unii Geofizycznej zespół Olivera Chadwicka z Uniwersytetu Kalifornijskiego przekonywał, że także przed zasiedleniem ziemia Wyspy Wielkanocnej była mniej żyzna w porównaniu do gleby innych wysp polinezyjskich. Cywilizacja wyspy była więc skazana na upadek od początku. Dla wielu dowodem na jej szybki kres były niedokończone *moai* porzucone w kamieniołomach.

Jednak bardziej wnikliwe przyjrzenie się dowodom archeologicznym i historycznym wskazuje, że o upadku – przynajmniej przed kontaktem z Europejczykami – nie ma raczej mowy. Owszem, warunki glebowe były trudne, ale wyspiarze rozwinęli system ogrodnictwa wykorzystujący *manawai*, otoczone kamieniami okręgi, które chroniły uprawy przed erozją gleby, wiatrem i zwiększały wilgotność. Źródła historyczne dowodzą, że nie mieli większych problemów ani z uprawą żywności, ani z jej pozyskiwaniem z morza. Coraz więcej dowodów wskazuje natomiast na to, że po przybyciu Europejczyków doszło do zapaści demograficznej związanej zarówno z nieznanymi wcześniej tubylcom chorobami zakaźnymi, jak i niewolnictwem, a później również dobrowolną emigracją do Peru.

Dawne cywilizacje, podobnie jak i nasza, to złożone systemy, które nie tylko same ewoluują, ale potrafią dostosować się do zmian. Pod warunkiem, że zmiany te nie są zbyt gwałtowne, a na system nie działa zbyt wiele stresorów naraz. Dlatego też zastanawiając się nad zmierzchem i upadkiem danych kultur, pamiętać powinniśmy o słowach wybitnego brytyjskiego archeologa Mortimera Wheelera: „Upadek, podobnie jak powstanie cywilizacji, jest bardzo złożonym procesem, który można łatwo zniekształcić poprzez nadmierne uproszczenie". © KAMIL KOPIJ

TYGODNIK POWSZECHNY

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY, czyli co nas czeka

KSIĄŻKI W TYGODNIKU: eseje, recenzje, felietony

OCHRONA ZDROWIA: czy system da się wyleczyć

KRYZYS KLIMATYCZNY: jak zatrzymać katastrofę

UCHODŹCY I MIGRANCI: granice wytrzymałości

POLSKA SZKOŁA i lekcje do odrobienia

ATAK NA UKRAINĘ: korespondencje, analizy, podkasty

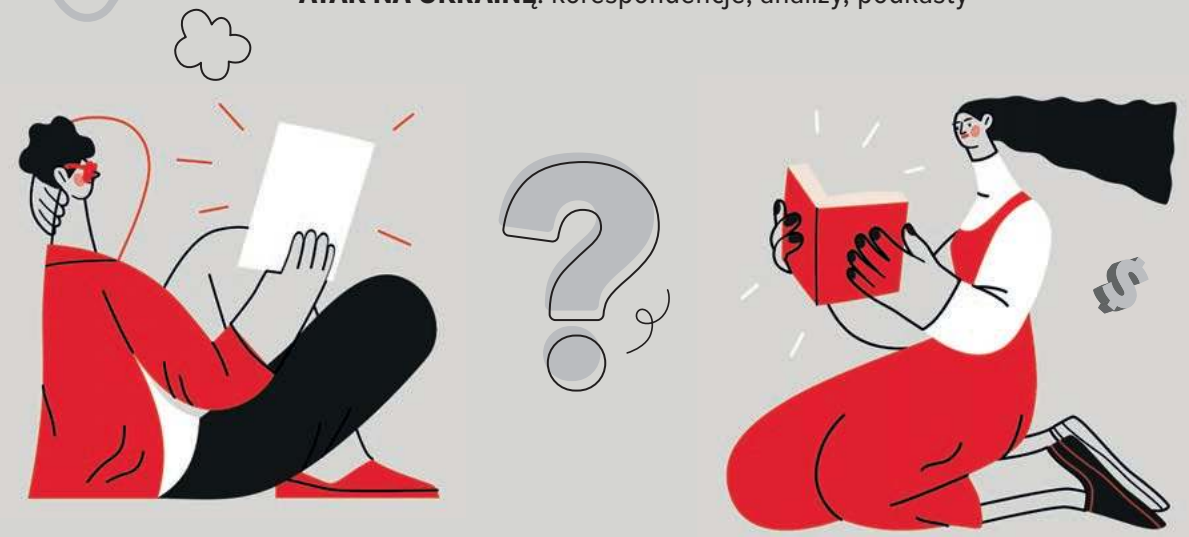

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj! na TygodnikPowszechny.pl/patrz-szerzej

TOMASZ

Stawiszyński: *Skuteczna likwidacja celu*

Czy język nie tylko opisuje, ale i jakoś współtworzy rzeczywistość? To pytanie ściśle metafizyczne: nie sposób go rozstrzygnąć, bo nie sposób zweryfikować. Że jednak język wpływa na to, jak rzeczywistość przeżywamy, modeluje jej obraz, czasami bardzo intensywnie – to już jest teza empiryczna. Zweryfikowana i potwierdzona wielokrotnie, zarówno w ramach tzw. mądrości potocznej, jak i wiedzy osiąganej pod rygorami metody naukowej.

Doskonale zdawali sobie z tego sprawę wszyscy totalitarni władcy, którzy dokładali wysiłków, żeby nad językiem sprawować absolutną kontrolę. Pomyślmy tylko, jak głęboko Stalin musiał wierzyć w nieokiełznaną moc słów, żeby skazać Osipa Mandelsztama na zesłanie za słynny wiersz rozpoczynający się (także i dzisiaj przyprawiającym o dreszcze) zdaniem „Żyjemy tu nie czując pod stopami ziemi" (przekład Stanisława Barańczaka). Pomyślmy tylko, jak radykalnie w moc słów musi wierzyć Władimir Putin, żeby konsekwentnie nazywać wojnę w Ukrainie „operacją specjalną" i grozić wieloletnim więzieniem każdemu, kto się na temat owej „operacji" wyrazi w nieautoryzowanej stylistyce.

Czemu to takie ważne: „wojna" czy „operacja specjalna"? Co to za różnica, jakie określenie wybierzemy? Różnica jest zasadnicza. Inne pod wpływem tych słów wytworzą się w nas emocje, inne obrazy przyjdą na myśl, słowem – inaczej ustrukturyzuje się rzeczywistość, w której będziemy żyć. Czy też raczej – mówiąc precyzyjnie, żeby nie popaść w metafizykę – inne stanie się nasze doświadczenie rzeczywistości.

Podobnie: odmienny dostaniemy obraz drugiego człowieka, jeśli zamiast nazywać go „człowiekiem", użyjemy jakiegoś nie-ludzkiego terminu, np. „robak". Specjaliści od rozpętywania i ukierunkowywania masowej przemocy celowo dokonują tego rodzaju leksykalnych zabiegów, często też zachodzą one spontanicznie, jako proces towarzyszący niektórym formom zbiorowej agresji. Stosowanie zdehumanizowanych pojęć faktycznie osłabia w ludziach empatię, a niekiedy ją wyłącza. Z tego powodu ów mechanizm z powodzeniem wykorzystuje się również wszędzie tam, gdzie odruchy współczucia mogą potencjalnie zakłócać wykonywanie ściśle zdefiniowanych zadań.

Na przykład w armii. Specyficzny żargon, jakim wojskowi mówią o ludziach walczących po przeciwnej stronie – „cele", „likwidacja celu" – służy, poza benefitami wynikającymi ze swoistej lingwistycznej ekonomii, właśnie temu, żeby umysł kogoś, kto strzela do innego człowieka, na jakiś czas sprytnie wywieść w pole. Czy raczej żeby zminimalizować ryzyko naturalnej reakcji zawahania, która pojawić by się mogła w takiej sytuacji u każdego, kto nie jest po prostu psychopatą całkowicie pozbawionym uczuć wyższych. Taka jest brutalna pragmatyka tego świata, która oczywiście – nie popadajmy w naiwny idealizm – ma w pewnych sytuacjach uzasadnienie. Ale która również – wystarczy poczytać wspomnienia byłych żołnierzy – potrafi okaleczyć nie tylko ciało wroga, lecz także psychikę tego, kto najpierw ulega tej pojęciowej mistyfikacji, a później uświadamia sobie, co tak naprawdę zrobił.

Nie ma więc najmniejszych wątpliwości, że język poddany ukierunkowanym modyfikacjom, skonfigurowany tak, żeby w specyficzny sposób zmieniać percepcję, to potężne narzędzie, którego zastosowanie musi być staranne i ostrożne. Choć oczywiście – a może raczej niestety – zachowanie sterylności warunków jest w tym przypadku niemożliwe. Słowa i zdania wymykają się wszelkim próbom izolowanego użycia, przenikają mury o najbardziej skondensowanej gęstości, nie ma dla nich dystansów nie do pokonania.

Wydawałoby się jednak, że akurat tam, gdzie wrażliwość i świadomość potęgi języka jest, a w każdym razie powinna być wysoka – czyli np. w mediach – pieczołowicie dba się o standardy jego użycia. Zwłaszcza w czasach ekstremalnych, jak dzisiejsze. Tymczasem już po raz kolejny na antenie ogólnopolskiej telewizji słyszę dziennikarza, który powtarza – raz za razem – że wedle najnowszych doniesień pewien rosyjski generał „został skutecznie zlikwidowany". I że „likwidacja nastąpiła" o tej i o tej godzinie w takim to a takim miejscu.

Nie jestem w żadnym razie językowym purystą, nie żal mi również – jeśli mam być szczery – rosyjskiego generała, a jednak na dźwięk tych słów przechodzi mnie dreszcz. Rozumiem bowiem, jakie to może przynieść konsekwencje, jeśli w kulturze, w której nasze interakcje z żywymi ludźmi i tak są już poważnie ograniczone na rzecz awatarów, zaczniemy powszechnie posługiwać się pojęciami rodem ze słownika oddziałów specjalnych. I zamiast o zabijaniu ludzi – choćby tych najbardziej złych i okrutnych, choćby w słusznej sprawie – zaczniemy, jak gdyby nigdy nic, mówić o ich „skutecznej likwidacji". ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 234/21 toczy się postępowanie z wniosku Moniki Żak o stwierdzenie nabycia przez nią na własność przez zasiedzenie m.in. zabudowanej nieruchomości położonej w Wysokinie, gm. Odrzywół, pow. przysuski, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 2127 o pow. 0,0878 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.III.6621.2.59.2015, oraz niezabudowanej nieruchomości położonej w Wysokinie, gm. Odrzywół, pow. przysuski, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 2128 o pow. 0,0800 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.I.6621.2347.2021.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

NAUKA

PODRÓŻ W GŁĄB SIEBIE

Jak zbadać ludzkie ciało? Można otworzyć jego jamy i zajrzeć do wnętrza. Można je też prześwietlić, nie naruszając struktur. I można skorzystać z kilku naturalnych otworów, by się trochę rozejrzeć.

BARTOSZ KABAŁA

Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa czyhające w naturze, człowiek zapewne dość szybko dowiedział się, że skórzasto-mięśniowy worek zawiera w środku czerwone i miękkie organy. Z większym zainteresowaniem przyjrzano się ciału w starożytnym Egipcie. Narzucającym się powodem jest rytualne chowanie zwłok. Mumifikacja wymagała wycięcia narządów wewnętrznych z jam ciała, w pierwszej kolejności mózgu, który początkowo upłynniano, by później wydobyć go przez nos. Nie służyło to jednak zrozumieniu anatomii człowieka.

Wiwisekcje w Aleksandrii

Za jeden z pierwszych podręczników medycznych uznaje się tzw. papirus Edwina Smitha, pochodzący sprzed 5 tys. lat. Tekst w formie nie różni się wiele od współczesnych medycznych publikacji – jest to zbiór 48 przypadków klinicznych z zakresu medycyny urazów. Obok metod leczenia pojawiają się również opisy anatomiczne mózgu i rdzenia kręgowego. Pomimo tych zalążków wiedzy anatomicznej Egipcjanie nie prowadzili zaawansowanych badań nad ludzkim ciałem. Sekcje w ogóle nie wchodziły w grę. Nawet proces balsamowania ciała uważany był za niegodny, a stałym rytuałem pogrzebowym było obrzucenie kamieniami przez rodzinę zmarłego osób wykonujących mumifikację.

Rozkwit anatomii nastąpił w III w. p.n.e. w Aleksandrii, która była wówczas jedynym miejscem na starożytnej mapie świata umożliwiającym naukowcom wykonanie sekcji zwłok w celach badawczych, choć nie trwało to długo. W odpowiednim miejscu i czasie znalazł się grecki lekarz Herofilos. Jego badania zaowocowały dokładnymi opisami układu nerwowego i oka, ze szczególnym uwzględnieniem warstw. Jako pierwszy zauważył też nerwy czaszkowe oraz nadał dwunastnicy jej nazwę (wyliczył, że ma ona długość dwunastu palców).

Szczytem liberalnego podejścia do nauki Ptolemeusza I, za którego panowania Aleksandria stała się prężnym ośrodkiem naukowym (m.in. za sprawą założonej przez tego władcę Biblioteki Aleksandryjskiej), było pozwolenie na „sekcje" na żywych ludziach. Wykonywanie przez Herofilosa wiwisekcji potwierdzają Celsus i Tertulian, a ten ostatni twierdzi, że ofiarami tych badań stało się sześciuset więźniów i, potępiając Herofilosa, nazywa go „lekarzem-rzeźnikiem". W historii poza Aleksandrią wiwisekcjami na ludziach zhańbiły się jeszcze III Rzesza i Japonia w czasie II wojny światowej.

Jednak współcześni historycy kontestują fakt wykonywania wiwisekcji przez Herofilosa. Badania Greka są znane jedynie z doniesień innych autorów. Do naszych czasów nie zachowała się żadna jego praca. A to właśnie opisy i szkice mają w anatomii największe znaczenie. Rozwój anatomii przypomina badanie nieodkrytych lądów. Anatomowie przez lata kreślili przebiegi naczyń i nerwów, niczym kartografowie przebiegi rzek, by ich następcy do już istniejących dodawali kolejne odkrycia. Te mapy ludzkiego ciała z czasem stawały się coraz doskonalsze i pełne kunsztu.

Anatomiczny spektakl

Pierwszym dziełem dotyczącym anatomii wydanym drukiem była bogato ilustrowana praca „De humani corporis fabrica" Wesaliusza z połowy XVI w. Wiele rycin obecnych na jej kartach, autorstwa jednego z uczniów Tycjana, Jana van Calcara, do dziś można uznać za niezwykle precyzyjne,

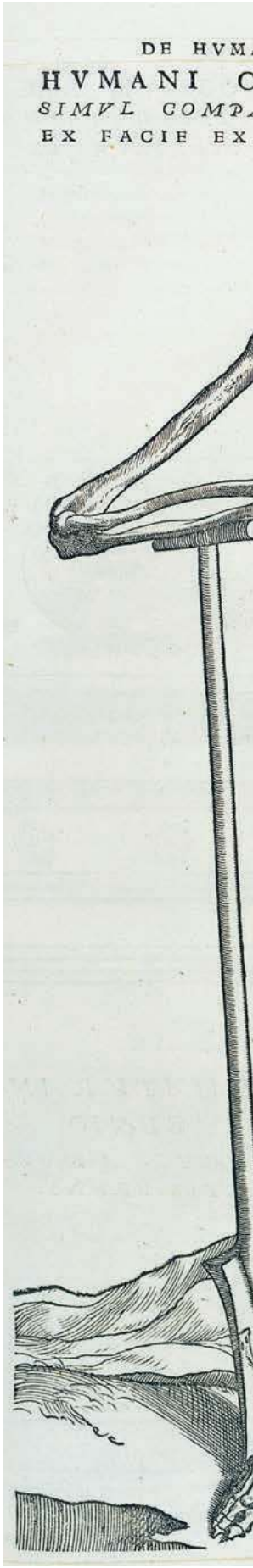

WELLCOME LIBRARY / LONDON

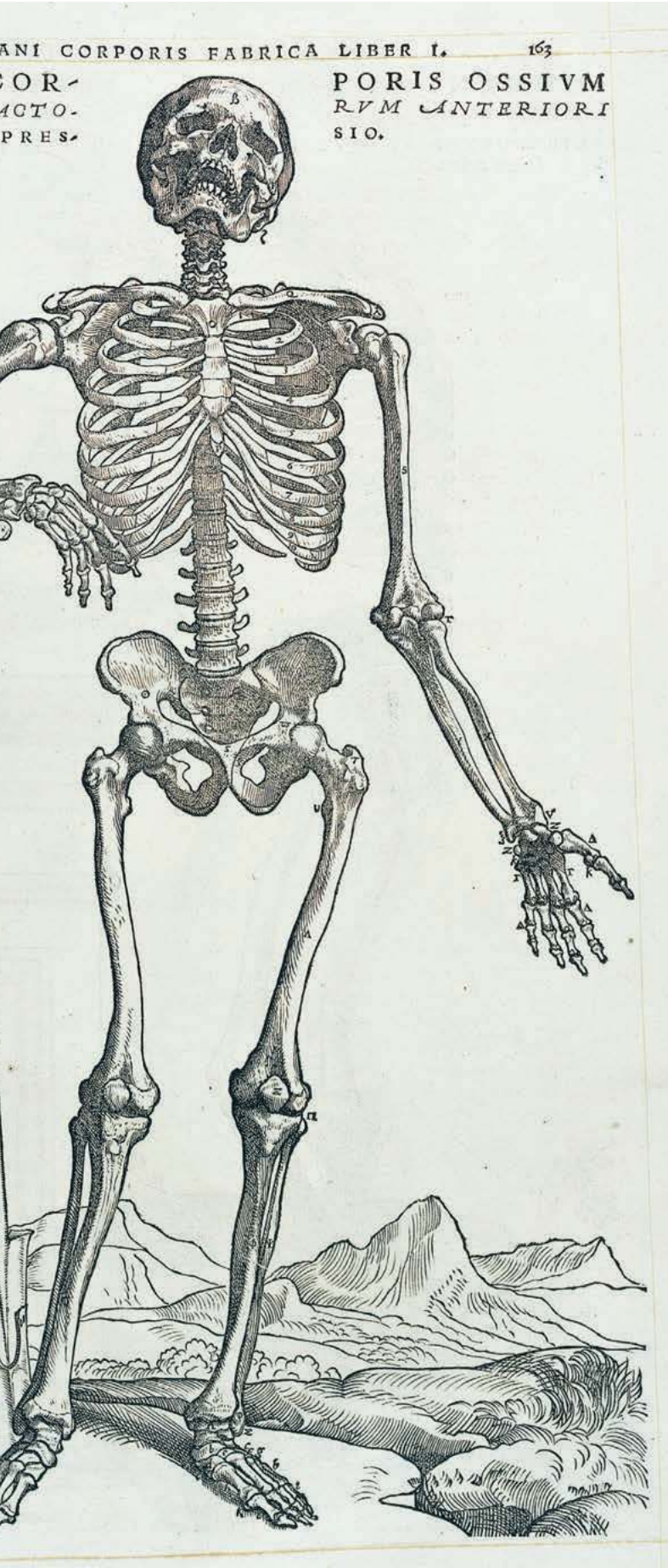

a przy tym wartościowe artystycznie. Rysunki często przedstawiają otwarte zwłoki lub szkielety w dynamicznych pozach na tle krajobrazów, roślinności i zabudowań. Jednocześnie Wesaliusz naprawił merytoryczne błędy poprzedników i wprowadził anatomię na drogę ku nowoczesności.

Po nim wysypał się worek z kolejnymi odkryciami. Do końca XVII w. Bauhin odkrył połączenie jelita cienkiego z grubym, Wirsung przewód wewnątrz trzustki, a Eustachi trąbkę słuchową. Eponimy od ich nazwisk do dziś używane są powszechnie w medycynie. Te sukcesy możliwe były dzięki znacznie swobodniejszemu podejściu do sekcji zwłok.

Przed Wesaliuszem najważniejszym źródłem wiedzy o organizmie człowieka były badania Galena. Prowadził je jednak głównie na zwierzętach, a jedynie sporadycznie obserwował wnętrze ludzkiego ciała, np. przy okazji urazów gladiatorów. Sam sekcji zwłok wykonać nie mógł.

Z czasem jednak badanie pośmiertne stało się podstawowym narzędziem i zaczęło służyć nie tylko nauce. Powstające w Europie teatry anatomiczne, początkowo tylko przy wydziałach medycznych uniwersytetów, cieszyły się ogromną popularnością wśród zamożnych mieszkańców – za wejście na pokaz należało odpowiednio zapłacić. Specjalnie przystosowane do takich medycznych spektakli pomieszczenia, gdzie ciekawość mieszała się z odrazą, były odwiedzane przez pisarzy, filozofów i malarzy, czego efektem są np. liczne obrazy przedstawiające „lekcje anatomii", w tym te najsłynniejsze, autorstwa Rembrandta. Aby umilić widzom wieczór krojenia zwłok, anatomowie decydowali się często na okraszenie seansu muzyką. W występie brał udział również narrator, który na bieżąco opowiadał widzom co kroi, wycina i wygrzebuje operator.

W czasie pobytu w Padwie w 1618 r. Hieronim Morsztyn, polski poeta okresu baroku, odwiedził pierwszy na świecie teatr anatomiczny. To, co zobaczył, mocno go poruszyło. Lekcjom anatomii poświęcił dwa wiersze. Oto fragment „Do Abrahama Maciejowskiego o anatomijej białogłowskiej":

Bodajże go kat samego ćwiartował,
Tak jako wczora niebogę katował,
Owę niewiastę, po śmierci chudzinę
Właśnie jak rzeźnik w jatkach cielęcinę.
Aż dziś czuję jakąś w sercu trwogę,
Ani na białą płeć spojrzeć nie mogę,
Co sobie wspomnię na owe brzydkości,
Którem w nieczystej wczora cielesności
Na oko widział, kiedy ją rozbierał
Po żyłach i gdy w jej wnętrznościach gmerał (...).

Można pomyśleć, że skoro badanie budowy organizmu trwa od setek lat, to anatomia nie ma już przed nami tajemnic. Dokładne schematy, opisy wszelkich anatomicznych odmienności, a nawet ich procentowy ↦

Rycina z dzieła Wesaliusza „De humani corporis fabrica", 1543 r.

↦ udział w populacji, co często przydaje się operującym chirurgom, mogą dać poczucie, że anatomia jest nauką skończoną. Tymczasem po ponad dwóch mileniach od badań naukowców z Aleksandrii odkryto, że mózg, a właściwie opony, którymi jest otoczony, posiadają naczynia limfatyczne. Wcześniej powszechnie uznawano, że mózg takich naczyń nie posiada. W 2015 r. w „Nature" naukowcy z Uniwersytetu w Wirginii opisali je w mózgu myszy, a dwa lata później przy pomocy nowych technik obrazowania zostały odkryte u ludzi.

Prześwietlenie w sklepie obuwniczym

Ku radości naukowców, lekarzy i zwykłych poszukiwaczy sensacji pod koniec XIX w. pojawiła się nowa możliwość zaglądania do wnętrza ciała. Jak głosi legenda powielana przez biografów, Wilhelm Roentgen odkrył promieniowanie X przypadkowo. W listopadzie 1895 r. pracował nad promieniowaniem katodowym wytwarzanym przez specjalne lampy wyładowcze. Jedną z nich postanowił szczelnie osłonić nieprzepuszczalnym dla światła materiałem i wówczas na fluorescencyjnym ekranie ujrzał delikatną poświatę.

Następne tygodnie upłynęły niemieckiemu fizykowi na sprawdzaniu, czy efekt można wytłumaczyć znanymi wówczas zjawiskami, oraz na poszukiwaniu materiału, który będzie w stanie zatrzymać nowo odkryte promienie. Promienie prześwietlały biurko, książki i płótna. Medyczne zastosowanie objawiło się Roentgenowi, gdy skierował promienie na dłoń swojej żony Anny. Na ekranie po piętnastu minutach naświetlania ukazał się cień kości *frau* Roentgen, która miała wtedy powiedzieć, że zobaczyła własną śmierć.

Ponieważ uzyskanie promieniowania wymagało stosunkowo prostego i dostępnego sprzętu, metoda szybko się spopularyzowała. W ciągu roku od ogłoszenia światu odkrycia powstało ponad tysiąc artykułów naukowych bazujących na promieniach X, a warto wspomnieć, że towarzyszyła im nie mniejsza liczba tekstów w prasie popularnej. Nic więc dziwnego, że zdjęcia rentgenowskie stały się również fenomenem społecznym, a ich wykorzystanie wykraczało daleko poza fizykę i medycynę.

Bezkrwawa metoda umożliwiająca podgląd wnętrza ciała, pozwalająca ujrzeć

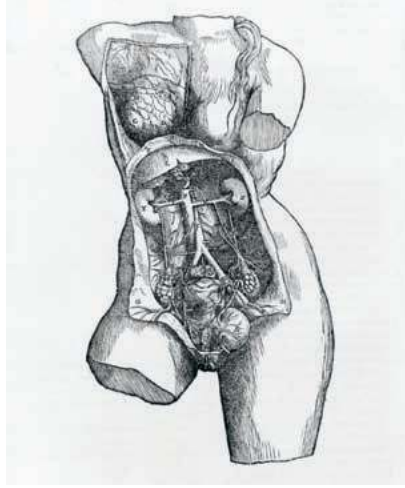

Rysunki anatomiczne wykonane przez uczniów Tycjana w „De humani..."

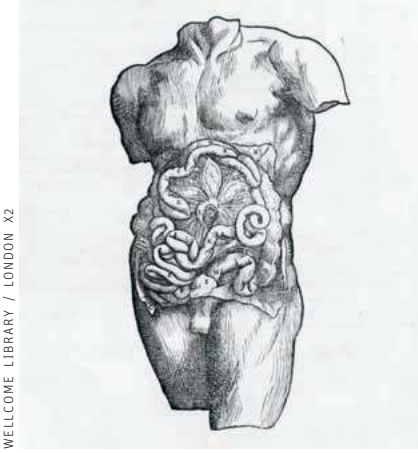

WELLCOME LIBRARY / LONDON X2

szkielet, a czasami delikatny zarys narządów, pobudzała wyobraźnię. Profesor Sylvia Pamboukian nazywa reakcję angielskiego społeczeństwa końca epoki wiktoriańskiej na odkrycie Roentgena „szałem na promienie X". Zdjęcie ręki żony Wilhelma Roentgena obiegło prasę i stało się czymś na wzór współczesnego internetowego mema. Jak pisali wówczas autorzy pisma „Quarterly Review": „Możliwości promieni rentgenowskich są dziś oczywiste dla każdego człowieka z ulicy, pojawiają się na każdej sali wykładowej, w karykaturach komiksowych i w teatrze".

Z dobrodziejstwa promieni X można było skorzystać na wielu publicznych wystawach i przedstawieniach. Zdjęcia wykonywali medycy, inżynierowie i bardzo często fotografowie. Kto chciał, mógł pooglądać swój lub cudzy szkielet. Portret kości ręki przyodzianej w obrączkę (na wzór dłoni Anny Roentgen) był uważany za wyznanie wierności małżeńskiej, zapowiadające wypełnienie słów przysięgi „nie opuszczę cię aż do śmierci". W amerykańskich sklepach obuwniczych jeszcze w latach 50. stosowano promienie rentgenowskie, by sprawdzić, czy rozmiar buta jest odpowiedni.

Nowoczesna depilacja

Dzięki kolejnym udoskonaleniom metody powstała nowa forma prześwietlenia nazywana skopią, pozwalająca uchwycić ruch. Wiąże się ona z dłuższym czasem napromieniowania i wyższym ryzykiem powikłań. Strach pomyśleć, na jakie promieniowanie narażał się człowiek spacerujący ulicami Londynu w 1896 r., ale któż po tak ekscytującym odkryciu miał czas przejmować się skutkami ubocznymi? Jednym z nich jest łysienie, ale i ono zostało uznane za cudowną właściwość nowego zjawiska i zaczęto używać promieni w kosmetologii, jako metodę depilacji.

Odkrycie Roentgena było jednym z pierwszych tak powszechnie zauważonych przełomów w nauce. Jak pisze prof. Pamboukian, „promienie X pozwoliły każdej opiekunce wziąć udział w wielkim dyskursie nauki". Z wielką nauką obcowało się na każdym kroku, bo promienie X jako chwyt marketingowy pojawiały się zupełnie bez uzasadnienia na paście do butów, opakowaniu leków przeciwbólowych i maszynce do golenia. Były też „rentgenowskie" wyciskacze do cytryn i młynki do kawy, a nawet whisky.

Nie brakło również głosów krytycznych. Promienie, które pozwalają prześwietlić skórę i ludzkie mięśnie, to przecież ogromne zagrożenie dla prywatności. Na okładce niemieckiego czasopisma satyrycznego „Der Floh" przedstawiono Roentgena z kamerą i ludzi, którzy w panice uciekają przed jego promieniami, bojąc się, że naukowiec odkryje wszystkie ich sekrety.

Oczywiście głównym obszarem wykorzystania promieni rentgenowskich stała się diagnostyka i leczenie. Gdy wykonuje się zdjęcie RTG, promienie przechodzą przez ciało i docierają do kliszy. Narządy, które pochłoną część promieniowania, pojawiają się na zdjęciu jako ubytki, czyli zacienienia. Najbardziej pochłaniającą strukturą są kości, dlatego widać je najwyraźniej. Narządy miękkie, takie jak wątroba czy żołądek, nie są widoczne na zdjęciu.

W artykule z 1906 r. podsumowującym dekadę po odkryciu promieni X doktor Czesław Barszczewski, szef pracowni rentgenowskich w szpitalach w Warszawie, wymienia wiele problemów, które

nie zostały rozwiązane przez nową metodę. Zauważa m.in., że „drogą radiografii nie udaje się rozpoznawać ulcus od carcinoma ventriculi". Odróżnienie wrzodu żołądka od nowotworu jest w istocie niemożliwe przy pomocy zdjęcia RTG. Aby precyzyjnie zdiagnozować te dwie choroby, trzeba ujrzeć wnętrze organizmu na własne oczy, najlepiej bez konieczności rozcinania jego powłok. W tym celu można skorzystać z naturalnych otworów ciała.

Połykacze mieczy

Na pomysł taki wpadł niemiecki lekarz Adolf Kussmaul, gdy obserwował połykaczy mieczy. Jeśli są oni w stanie tak ułożyć swoje ciało, by jama ustna, gardło i przełyk stanowiły prostą drogę do żołądka, to można wsadzić w ten sposób rurę z otworem pozwalającą zajrzeć do wnętrza. Gastroskop Kussmaula z 1868 r. był właśnie taką sztywną rurą, dla której źródłem światła była świeca i system luster. Po testach, jakie wykonał na połykaczu mieczy, okazało się, że zarówno widoczność, jak i komfort pacjenta nie były mocną stroną urządzenia. Przewód pokarmowy, średnio długości 9 metrów, ma skomplikowany układ zagięć, pętli i zwężeń. Warunki do obserwacji w środku nie są sprzyjające – jest ciemno, wilgotno, a całość, z powodu ruchów perystaltycznych, porusza się bez ustanku. Dlatego sukcesem było pierwsze w dziejach zbadanie żołądka żywej osoby bez otwierania jamy brzusznej.

Gdy Kussmaul wraz z cyrkowcami opracowywał pierwszy gastroskop, inny naukowiec Jan von Mikulicz-Radecki, austriacki lekarz polsko-niemieckiego pochodzenia, dopiero rozpoczynał studia medyczne w Wiedniu. Nieco ponad dekadę później Mikulicz prowadził własne badania nad gastroskopami, korzystając m.in. z pomocy starszej kobiety, u której, jak podają źródła, odkrył niezwykłą zdolność do połykania przedmiotów. Endoskop Mikulicza to również sztywna rura z soczewkami, na której końcu znajduje się wygięty w kształt litery U drut platynowy otoczony szkłem i systemem wodnego chłodzenia. Drut podłączony do baterii był źródłem światła, które jednak szybko się nagrzewało i mogło powodować uszkodzenia błony śluzowej. Oparzenie mogło być zresztą najmniej groźnym powikłaniem, bo cała metoda groziła także perforacją dolnego odcinka przełyku.

Ograniczenie ryzyka przedziurawienia przewodu pokarmowego poprzez stworzenie giętkiego przewodu było przez długie lata nieosiągalnym ideałem. Impas przełamał ojciec współczesnej gastroenterologii Rudolph Schindler. Dalszy odcinek jego endoskopu z 1932 r. był wykonany z elastycznego materiału, w którym znajdowały się soczewki przenoszące obraz z zakrzywionej końcówki do dalszych części urządzenia. Średnica sprzętu razem z kanałem powietrznym, który pozwalał przeczyścić soczewkę i poprawić widoczność, wynosiła 1,2 cm. Wkrótce potem dodano kolejny kanał, dzięki któremu możliwe było pobieranie wycinków do badania mikroskopowego, ale to zwiększyło średnicę do 1,5 cm.

Od drugiej strony

Dzięki Basilowi Hirschowitzowi, amerykańskiemu lekarzowi z Uniwersytetu w Michigan, i zastosowaniu przez niego światłowodów w 1957 r., współcześnie używane endoskopy są całkowicie giętkie i dużo cieńsze. Co ciekawe, pierwszym żołądkiem, który prof. Hirschowitz zbadał przy pomocy swojego wynalazku, był jego własny.

Wszystkie te przełomy stały się również udziałem endoskopii, która rozpoczyna się z drugiej strony przewodu pokarmowego. Wraz z rozwojem techniki endoskop sięgał coraz dalej. Dziś panendoskopia, bo tak nazywane jest badanie górnego odcinka przewodu pokarmowego, pozwala diagnozować choroby przełyku, żołądka i dwunastnicy, kolonoskopia pozwala zobrazować jelito grube na całej długości od odbytu aż do zastawki Bauhina, czyli połączenia jelita grubego z cienkim. Obraz nie pojawia się już tylko na wystającym z pacjenta końcu endoskopu, ale na monitorze. Co więcej, możliwe jest również endoskopowe usuwanie polipów, które mogą być zmianami nowotworowymi na wczesnym etapie, tamowanie krwawień i leczenie zwężeń, a nawet obrazowanie dróg żółciowych i usuwanie z nich kamieni.

Jedyną częścią ciała, do której rutynowo nie sięga oko lekarza, jest jelito cienkie, choć takie możliwości dziś również się pojawiły. Jedną z nich jest endoskopia kapsułkowa, stosowana powszechnie od 2001 r. Pomysł, by oglądać wnętrze ciała z perspektywy bohaterów kreskówki „Było sobie życie", jest niezwykle prosty koncepcyjnie, choć skomplikowany technicznie. Pacjent połyka kamerę z nadajnikiem, który wysyła nagrany film do rejestratora. Kapsułka po opuszczeniu jelita nie jest odzyskiwana ani powtórnie wykorzystywana.

W badaniu endoskopowym ogromne znaczenie ma możliwość pobrania wycinków do badania histopatologicznego. Obecność guza można wykryć różnymi metodami, ale dopiero badanie pod mikroskopem przez patomorfologa pozwala z całą pewnością ocenić jego typ, złośliwość i z dużym prawdopodobieństwem podać rokowanie. Ale nie zawsze pobranie tkanki jest stosunkowo tak łatwe, jak z przewodu pokarmowego. Uzyskanie dostępu do guza mózgu jest dużo trudniejsze, jednak radiologia dysponuje metodami, które pozwalają na ocenę składu chemicznego tkanki bez otwierania czaszki.

Zaglądanie do (kostnej) puszki

Tkanka mózgu to nie tylko neurony, ale też ogromna liczba dodatkowych komórek, takich jak astrocyty, mikroglej i oligodendrocyty. Wszystkie one produkują substancje, których ilość i proporcje w tkance są określone w warunkach fizjologicznych. Gdy w zdrowej tkance pojawiają się komórki nowotworowe, te proporcje mogą zostać zaburzone.

Metodą umożliwiającą zbadanie składu chemicznego tkanki zamkniętej w kostnej puszce ludzkiej czaszki jest spektroskopia mas rezonansu magnetycznego. Związki chemiczne znajdujące się w polu magnetycznym wytwarzanym przez aparat emitują określony sygnał, który pozwala je zidentyfikować i ocenić ich ilość w tkance. W badaniu mózgu analizie podlegają m.in. N-acetyloasparaginian (NAA), kreatyna i cholina. Przykładowo, NAA jest związkiem produkowanym w dużej ilości przez neurony, zatem jego spadek lub brak w badanej tkance może wskazywać na przerzut nowotworowy do mózgu. Z kolei duża przewaga choliny w stosunku do kreatyny sugeruje wysoki stopień złośliwości guza. Odpowiednia interpretacja wyniku daje spore możliwości diagnostyczne.

Jeśli anatomów można porównać do pierwszych podróżników, odkrywców lądów czy kartografów, to współczesne etapy badania ludzkiego ciała przypominają już bardziej wysiłki fizyków i kosmologów, próbujących zrozumieć cały mikrokosmos naszego ciała.

© BARTOSZ KABAŁA

MISTERIA PASCHALIA

Nowe narodziny

JAKUB PUCHALSKI

W Wielki Wtorek wraca do słuchaczy – i do sal koncertowych – krakowski festiwal Misteria Paschalia. Tym razem w szczególnej odsłonie: wielkanocny festiwal muzyczny jako drogowskaz w równej mierze estetyczny, co etyczny.

Giuseppina Bridelli

ROCCO CASALUCI / MATERIAŁY PRASOWE

Martyna Pastuszka, skrzypaczka, założycielka i kierowniczka znakomitego zespołu {oh!} Orkiestra Historyczna, która w tym roku podjęła się zadania przygotowania programu Misteriów Paschaliów jako dyrektorka-rezydentka, uważa, że cały okres Wielkanocy, poczynając od Wielkiego Tygodnia, a kończąc na Pięćdziesiątnicy, Zesłaniu Ducha Świętego, tworzy rytualny czas na przejście duchowego, moralnego odrodzenia. To moment, by zwrócić się ku imperatywowi etycznej przemiany siebie na lepsze. Pójście za tą koncepcją wymagać będzie świadomego uznania swoich błędów, spojrzenia na siebie krytycznym okiem, zmierzenia się ze swymi najgłębszymi słabościami, a wreszcie odwrócenia się od nich, przepracowania i znalezienia nowej, lepszej drogi. I taką narrację można wyczytać z intrygującego oraz poniekąd nowatorskiego programu festiwalu.

> *Omięniałem iuż práwie*
> *rátunku wołáiąc*
> *Stráćiłem oczy w niebo pátrzáiąc.*

Różne są słabości człowieka. Pierwsza z nich pokazuje znikomość ludzkiej istoty – jak w zacytowanym wyżej Psalmie 69. Naturalnie znikomość w obliczu Boga – ale nie tylko, bo także w obliczu wszelkiego rodzaju zła. W ten sposób jawi się ona w siedmiu Psalmach pokutnych, które na festiwalu zabrzmią w wersji Jana Kochanowskiego i Mikołaja Gomółki. Obaj twórcy – pierwszy przez tłumaczenie „Psałterza Dawidów", drugi przez opatrzenie go muzyką – stworzyli jeden z największych pomników kultury polskiej XVI wieku. Jeden z największych i dotąd zagadkowych, niemających bowiem odpowiednika nie tylko na gruncie lokalnym, lecz i światowym: wbrew wyrażonej nadziei, że w ten sposób Psalmy trafią do „nászych prostych domaków" (jak było choćby w przypadku sławnego i prostego śpiewnika Goudimela), kompozycje Gomółki wymagają fachowych i najwyższej jakości wykonawców. Szczęśliwie trafiły tym razem w ręce – a raczej głosy – które swoich kompetencji dowiodły nagrywając je wszystkie (wszystkie!) na płyty: Chór Polskiego Radia wdrożyła w ten repertuar i pokierowała nim znana specjalistka, Agnieszka Budzińska-Bennett (tytułem przypomnienia: znakomita śpiewaczka i muzykolog, założycielka i kierowniczka rezydującego w Szwajcarii Ensemble Peregrina, z którym regularnie publikuje płyty, będące fantastycznymi przygodami odkrywania średniowiecznego repertuaru).

Z tymi samymi słabościami – ale w jakże innych brzmieniach i z innym rezultatem – spotkamy się w drugim wieczorze. Tym razem pokutującemu Dawidowi przyglądać się będziemy oczami Mozarta. Jego oratorium „Davidde penitente" wykonywane jest dziś wprawdzie o tyle rzadko, o ile często grana jest genialna Wielka Msza c-moll, z której kompozytor zaczerpnął trzy czwarte muzyki (swoją drogą w wieku XIX należało ono do najpopularniejszych pozycji Mozarta). Tutaj jednak nie tylko będziemy mogli usłyszeć ten rzadki utwór, lecz i przejść kolejny krok w poznaniu siebie: od stwierdzenia słabości, po iście tragiczne perypetie. Co oznacza także podjęcie walki, w celu znalezienia rozwiązania. Nie umknie to słuchaczom oratorium, a tym bardziej towarzyszącej mu sławnej, przedostatniej Symfonii g-moll (co jest śmiałą nowością na Misteriach Paschaliach). Całość wykona {oh!} Orkiestra Historyczna pod kierunkiem Martyny Pastuszki – w oratorium zaśpiewa zaś renomowany zespół wokalny Vox Luminis (tym razem w rozmiarze XL).

> *Y owſzem mię źli ludźie żółćią*
> *nákarmili*
> *Y w vprágnieniu octem poili.*

Trzeci koncert przybliża nas do największych głębin słabości. W Ewangeliach znajduje się emblematyczna jej manifestacja: zaparcie się Piotra. Oratorium „Gesù Cristo negato da Pietro" Johanna Josepha Fuxa pokazuje właśnie to wydarzenie – piórem sławnego barokowego teoretyka muzyki, a jednocześnie kompozytora tworzącego w swym utworze przejmujące, dramatyczne narracje muzyczne. Wykonawcami będą uznani muzycy Ars Antiqua Austria, prowadzeni przez Gunara Letzbora.

W ten sposób dochodzimy do pierwszego punktu kulminacyjnego Wielkanocy: do ukrzyżowania i śmierci Chrystusa. Wielki Piątek to dzień, w którym musi zabrzmieć pasja. Tym razem jednak pasja nieoczywista, zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie, że jej autor, Alessandro Scarlatti, był jednym z najważniejszych i najbardziej błyskotliwych twórców włoskiego baroku. Geniusz Scarlattiego w jego wczesnej „Pasji wg św. Jana" poprowadził go bowiem ku muzyce o niezwykłym pięknie, lecz mimo że ekspresyjnej, to wręcz antyteatralnej, skupionej. Przypomina się tu geneza muzycznego gatunku oratorium – wywodzącego się z rzymskiego oratorium, czyli domu modlitwy kongregacji św. Filipa Neri. Śpiewny czar Pasji Scarlattiego zgłębili i przekażą muzycy Cappella Mediterranea wraz z solistką Giuseppiną Bridelli i Choeur de Chambre de Namur, prowadzeni przez Leonarda Garcíę Alarcóna.

> ***A niebył kogoby móy rzewny płácz rozkwilił***
> ***Nie był ktoby mię ſłowkiem pośilił.***

Florencja około roku 1350 była miastem kontrastów. Z jednej strony tragicznie przetrzebiona przez „czarną śmierć" i trapiona katastrofami gospodarczymi. Jednocześnie – buzująca frustracjami dolnej warstwy robotniczej o nieuregulowanej kondycji, a służącej w przemyśle włókienniczym, który przyniósł miastu pierwsze bogactwo. Niebawem miał wybuchnąć bunt owych Ciompich, przynosząc na krótko radykalną demokrację, tymczasem jednak elity mogły chronić się w swych rezydencjach na okolicznych wzgórzach – chronić przed morowym powietrzem lub skwarem – gdzie oddawały się m.in. rozkoszom poetyckiej refleksji nad światem. W ten sposób, nie bez rubasznej radości, spędzali czas bohaterowie „Dekameronu" – i ten świat pokazuje kameralny, intymny program Sollazzo Ensemble. Jasne, humanistyczne średniowiecze, którego warto słuchać, pamiętając o wszystkich dramatycznych konfliktach, od których stanowiło ucieczkę.

> ***A ty więc moiá lutni pomni chwałę dáwáć***
> ***Y páńſką łáſkę wiecznie wyznáwáć.***

Zmartwychwstanie Chrystusa jest nie tylko kulminacją świąt wielkanocnych – jest też symbolem rytualnego odrodzenia. W tym: indywidualnej przemiany etycznej. Owszem, wymaga to pracy. Jak dwie symfonie, których sama muzyczna forma na pracy się opiera: na przetworzeniu odmiennych tematów, które w efekcie dać mają syntezę. Nie trzeba jednak programu symfonicznego, który zabrzmi w Wielką Niedzielę, czytać poprzez heglowską dialektykę – istotniejsza jest droga prowadząca od początkowych mroków Symfonii f-moll „La Passione" Josepha Haydna do światła, światła perfekcyjnej mądrości, jaką jest finałowa fuga ostatniej symfonii Mozarta, zwanej „Jowiszową". Pomiędzy nimi zabrzmi też triumfalny i spektakularny sopranowy motet Mozarta, „Exsultate, jubilate". Wyśpiewa go Florie Valiquette, całość zagra zaś francuska orkiestra Le Concert de la Loge, prowadzona od skrzypiec przez Juliena Chauvina.

Ostatni koncert, jak zwykle w Wielkanocny Poniedziałek, przynosi ostatnie napomnienie: nic nie jest pewne. Każda przemiana wymaga nieustannej uwagi i czujności – nic prostszego niż ulec ślepocie własnych zmysłów, które przez przyzwyczajenie lub wygodę odciągają nas od wyznaczonego celu. O tym przypominają dwaj uczniowie, którzy zmierzali ze Zmartwychwstałym do podmiejskiego Emaus, nie rozpoznając go. Opowiada o nich oratorium „Die Jünger zu Emaus" Jacoba Schubacka z 1778 r. – podczas festiwalu utwór otrzyma swoje współczesne prawykonanie. Jak brzmi muzyka hamburskiego organizatora życia muzycznego (w czasach, gdy urzędował tam jako Generalmusikdirektor Carl Philipp Emanuel Bach), prawnika i kompozytora – dowiemy się dzięki artystom-rezydentom festiwalu:

MATERIAŁY PRASOWE

Martyna Pastuszka

MARCO BORGGREVE / MATERIAŁY PRASOWE

Julien Chauvin

Chórowi Polskiego Radia oraz {oh!} Orkiestrze Historycznej i jej kierowniczce, Martynie Pastuszce. Festiwal w jej ujęciu kończy się więc napomnieniem – ale i nadzieją. Tak bardzo nam potrzebną.

© JAKUB PUCHALSKI

Fragmenty Psalmu 69 w przekładzie Jana Kochanowskiego

MATERIAŁ PROMOCYJNY

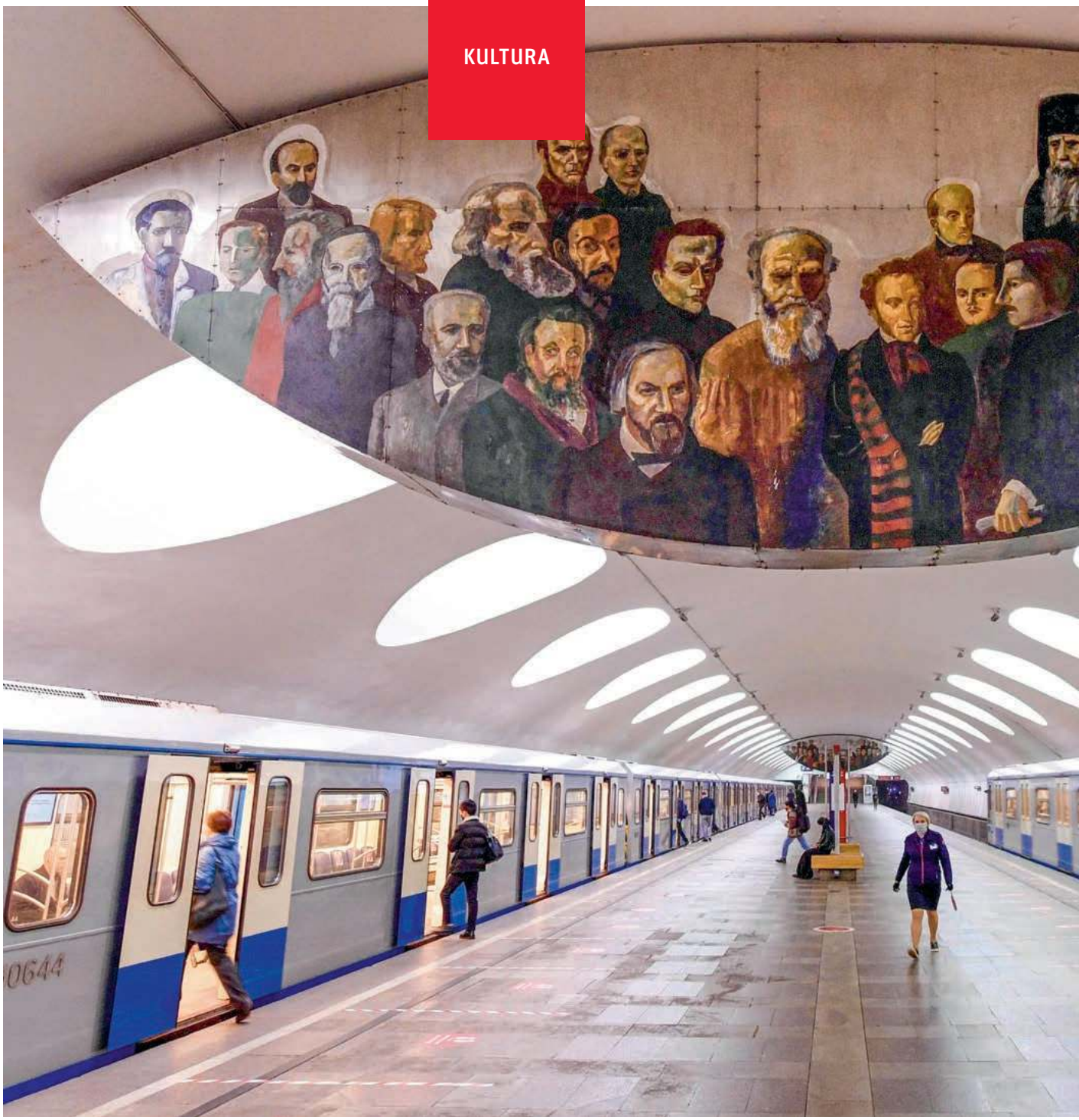

NADAL CZYTAM RUSKICH

Antyrosyjska trauma jest dla nas strefą komfortu. Jeśli z niej nie wyjdziemy, stracimy szansę na rozwój. Ale jak wyjść z niej teraz, kiedy Rosjanie mordują Mariupol i zrzucają bomby na Charków, Lwów, Kijów?

RENATA LIS

KIRILL KUDRYAVTSEV / EAST NEWS

Portrety rosyjskich pisarzy i kompozytorów na stacji metra Otradnoje w Moskwie, czerwiec 2020 r.

Wieczorem dla uspokojenia myśli wypisuję sobie pilne sprawy na najbliższe dni. Ostatnio z mojej listy nie schodzą cztery punkty:

1. Procesy norymberskie dla organizatorów i wykonawców zbrodni w Ukrainie: od Putina do zwykłego szeregowca.
2. Reparacje dla Ukrainy. Rosjanie będą je spłacać przez pokolenia, aż spłacą wszystko, do ostatniego ukradzionego miksera.
3. Demilitaryzacja i decentralizacja Rosji. Przeniesienie stolicy na Syberię. Trudne, ale nie do uniknięcia, jeśli mają przestać zagrażać światu.
4. Denazyfikacja: głębokie czyszczenie z imperialno-czekistowskich złogów od Kaliningradu po Kamczatkę.

Takie czasy.

Lęki i mosty

„Wiemy, jak się maskuje bestialstwo: naciąganiem na wilka owczej skóry – z owcy, którą wilk najpierw zarżnął" – pisał niedawno o Rosji Dmitrij Głuchowski, autor popularnego postapokaliptycznego cyklu powieściowego „Metro 2033". Rozbestwione bezkarnością za zbrodnie w Czeczenii, Mołdawii, Gruzji, Syrii, Donbasie i na Krymie, rosyjskie imperium (postimperium? niedoimperium?) przypuściło otwarty atak na Ukrainę – państwo graniczące z Unią Europejską i strefą bronioną przez NATO. Rosja zrzuciła owczą skórę, szczerzy kły i łypie z bliska żądnymi krwi ślepiami (choć też – i to jest nowość – potyka się o własne nogi, traci generałów i czołgi).

Ludzie, którzy w stosunku do Rosji kierowali się głównie strachem, nienawiścią i pogardą, dzisiaj triumfują. Czy nie stało się to, przed czym ostrzegali? Jak zepsuty zegar, który raz do roku pokazuje właściwą godzinę, powszechny w Polsce negatywny stereotyp Rosji trafił na swój czas.

Nie twierdzę, że jest bezpodstawny. Opiera się na doświadczeniu pokoleń i zbiorowej pamięci, sięgającej zaborów i świeższych aktów rosyjskiej agresji: operacji polskiej z lat 1937-38 oraz inwazji z 1939 r., deportacji, zbrodni katyńskiej, więzień i łagrów, i tragicznego losu tych naszych krewnych, którzy przepadli w Rosji bez wieści (jak mój cioteczny pradziadek, zastępca zawiadowcy stacji w Łapach, wywieziony jesienią 1939).

Poeta Aleksander Wat, weteran stalinowskich więzień, zauważa w „Moim wieku", że rozumienie przez Polaków Rosji, nawet „najbardziej prostackie i najgłupsze", bywa zaskakująco trafne, tyle że jest to „trafianie z przeciwnego brzegu" – z drugiej strony rzeki, której samemu nigdy się nie przekroczyło. Inaczej mówiąc, polska prawda o Rosji na ogół wyrasta nie z własnych przeżyć tego, kto ją głosi. Przechodzi z pokolenia na pokolenie jak mroczna legenda o potworze, który pożerał naszych przodków.

↦

↦ Nie jest to prawda błędna. Jest jednak – paradoksalnie – ślepa. Mądrość wywiedziona z historycznej traumy sprawdza się jako tarcza, ale poza czasem wojny staje się przeszkodą, zamykającą dostęp do realnej Rosji. Tak jakby ktoś na okrągło chodził w zbroi. Tymczasem osobisty kontakt z rosyjską rzeczywistością – literaturą, ludźmi, miastami, mediami – choć nie zmienia diametralnie poglądu na ten kraj, to jednak komplikuje obraz. Zaczyna się widzieć podziały, procesy, niuanse. Trudniej jest uogólniać i upraszczać.

Kiedy w 1968 r. radzieckie czołgi zagrażały Pradze, na placu Czerwonym w Moskwie protestowała poetka Natalia Gorbaniewska z piątką przyjaciół. Dzisiaj za protest przeciwko rosyjskiej agresji na Ukrainę do więzień trafiło już kilkanaście tysięcy Rosjan w całym kraju. Świat się zmienia, zmieniają się też ludzie w Rosji.

Według różnych badań z ostatniego czasu od 20 do 30 proc. rosyjskich obywateli nie popiera polityki Kremla. To spory kapitał. W okresach, kiedy imperium przechodzi z trybu mięsożerczego w wegetariański (zgodnie z rozróżnieniem Anny Achmatowej), tacy ludzie wspierają zmiany na lepsze. Można z nimi budować mosty, które w przyszłości przyniosą efekt dobry dla nas i dla nich. Pomagać im przybliżyć tę nową Republikę Nowogrodzką z marzeń dzisiejszych emigrantów, którzy – jak Michaił Zygar, autor bestsellera „Imperium musi umrzeć" – usuwają z trójkolorowej rosyjskiej flagi czerwony pasek, zaznaczając wolę zerwania z krwawym dziedzictwem państwa carskiego, radzieckiego i putinowskiego.

Padół wtedy i teraz

Antyrosyjska trauma – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało – jest dla nas strefą komfortu. Jeśli z niej nie wyjdziemy, stracimy szansę na rozwój. Ale jak wyjść z niej teraz, kiedy Rosjanie mordują Mariupol i zrzucają bomby na Charków, Lwów, Kijów? Chowamy się w niej jak w schronie.

Słyszę, że ostatniej nocy rakieta balistyczna uderzyła w Padół, historyczną dzielnicę Kijowa. Było kilka potężnych eksplozji, zniszczone zostało centrum handlowe oraz budynki mieszkalne; są zabici i ranni. Latem 1918 r., w czasie innej wojny, rosyjski poeta i prozaik Iwan Bunin uciekał z opanowanej przez bolszewików Moskwy do „białej" Odessy. Spędził wtedy dzień w Kijowie, na plaży nad Dnieprem – naprzeciwko Padołu. Rzeką płynęły trupy przedstawicieli klasy do niedawna panującej, na brzegu bawił się i ucztował lud pracujący – Bunin patrzył na to z goryczą, z perspektywy swojego szlacheckiego pochodzenia. Na Padole wychowała się też rosyjska poetka Galina Kuzniecowa – jego ostatnia miłość.

Skoro Rosja jest powracającym problemem, tym bardziej warto ją poznawać. W przezwyciężenie w sobie antyrosyjskości zainwestowałam sporo czasu, pieniędzy i pracy. **Właśnie dlatego wojna niczego nie zmieniła w moim stosunku do Rosji.**

Życiu Bunina na uchodźstwie poświęciłam książkę „W lodach Prowansji", pisaną w czasie Majdanu, aneksji Krymu i wojny w Donbasie. Już wtedy zastanawiałam się, co może łączyć Bunina z rosyjską wojną. Dzisiaj, kiedy cała Polska lustruje rosyjskich twórców pod kątem impulsów imperialnych, wracam do tego pytania. Bunin podkreślał, że jego ród wywodzi się z Wielkiego Księstwa Litewskiego, a na tragedię likwidacji państw bałtyckich przez Związek Radziecki w roku 1940 reagował z taką samą rozpaczą, z jaką reagowałabym ja. Wprzęgnięte w służbę carom rosyjskie prawosławie wydawało mu się czymś dzikim i potwornym. Dostrzegał też odrębność kulturową Ukrainy. W roku 2014 zaliczyłam mu to wszystko na plus. Dzisiaj nie wiem, tracę pewność.

Czołgiem w gender

Presja jest ogromna. Wyroki na kulturę rosyjską zapadają codziennie setki razy. Ilekroć rosyjska rakieta uderzy w ukraiński teatr lub galerię, ludzie pytają retorycznie: „I to ma być ta wielka kultura rosyjska, którą mamy szanować?".

Oczywiście, kultura jest całością i bez wątpienia istnieje pewien związek między sztuką danego kraju a jego armią, zwłaszcza gdy prowadzona jest, tak jak dzisiaj w Ukrainie, wojna rozmyślnie niszczycielska, eksterminacyjna. Jednak, mimo wszystko, to nie Dostojewski siedzi w czołgu pod Kijowem (i nie Mickiewicz torturuje uchodźców na polsko-białoruskiej granicy).

To jasne, że wielkość (zresztą trochę przeceniana) kultury rosyjskiej nie usprawiedliwia rosyjskich zbrodni. Jasne, że prowadzona przez Rosję brutalna wojna to najgorszy czas na łzy nad Czechowem, któremu Luk Perceval przerobił w „Trzech siostrach" Moskwę na Kijów. Nie podlega dyskusji, że kultura rosyjska wymaga przewartościowania i dekonstrukcji – np. takiej, jaką Galina Rymbu, mieszkająca w Kijowie rosyjska poetka feministka, z pochodzenia Mołdawianka, przeprowadziła w poemacie „Wielka Literatura Rosyjska" (można znaleźć go w sieci – w przekładzie Anety Kamińskiej). Oczywiste jest, że kultury narodów zdominowanych przez Rosję zasługują na więcej uwagi i uznania – nie tylko w czasie wojny.

Wszystko to nie oznacza jednak, że kulturę rosyjską trzeba sobie amputować jak zgangrenowaną kończynę. Skoro Rosja jest powracającym problemem, tym bardziej warto ją poznawać. Ja sama w przezwyciężenie w sobie odruchowej antyrosyjskości zainwestowałam sporo czasu, pieniędzy i pracy. Właśnie dlatego wojna niczego nie zmieniła w moim stosunku do Rosji. Wiem, że rosyjski imperializm nie zaczął się wczoraj – trwa niemal nieprzerwanie od XVIII wieku, przebiera się tylko w kolejne ideologie (dzisiaj ma postać religijnego konserwatyzmu wymierzonego w gender i parady równości). Wiersz Puszkina „Oszczercom Rosji" – butna deklaracja rosyjskiej dominacji nad Słowiańszczyzną – był dostępny dla każdego także przed 24 lutego. Jeśli ktoś przejrzał na oczy dopiero teraz, to znaczy, że wcześniej w ogóle się Rosji nie przyglądał. A kto się nią interesował, ten od dawna wiedział, że tamtejsze władze szykują kraj do wojny. To było widać, słychać i czuć – od pierwszych militarystycznych koszulek z Putinem i policyjnej aury na lotnisku Szeremietiewo.

Niemniej, podążając za trendem, ja także przypominam sobie, że litewscy przodkowie Bunina z własnej woli oddali się na służbę Moskwie w okresie zbierania ziem ruskich, a on był z tego raczej dumny. Odrębność kulturowa zaś to nie to samo co odrębność narodowa, więc, w gruncie rzeczy, diabli wiedzą, jakie stanowisko zająłby dzisiaj w sprawie Ukra-

iny. Czy nie okazałby się jednym z tych przysłowiowych rosyjskich demokratów, którzy kończą się tam, gdzie zaczyna się kwestia ukraińska.

A za kogo uważałaby się dzisiaj Kuzniecowa: za Rosjankę czy Ukrainkę? Czy jej imienia nie powinnam transkrybować zgodnie z wymową ukraińską: Hałyna?

Gdzieś w Odessie zostały dzienniki Bunina. Zakopał je tam przed ucieczką do Francji. Teraz Odessa szykuje się na rosyjski desant.

Żywi i umarli

Najłatwiej jest z pisarzami żyjącymi. Zajęli jasne stanowiska: Głuchowski, Sorokin, Akunin i Lebiediew są przeciw inwazji na Ukrainę; Prilepin jeździł ostatnio do podbitego Chersonia czcić pamięć księcia Potiomkina, pogromcy Kozaków za panowania Katarzyny Wielkiej. *Nihil novi* i nie mam z tym problemu: Prilepina nie znoszę, książki tamtych należą do moich ulubionych.

Gorzej z artystami nieżyjącymi. Co prawda Dostojewski i Tarkowski obrzydli mi jeszcze przed wojną, bo niezależnie od całej złożoności i piękna (zwłaszcza u Tarkowskiego), ich radykalizm religijny i wielkoruskie przekonanie o niższości duchowej Zachodu za dobrze rymują się z „duchownymi skriepami" putinizmu oraz językiem polskich prawicowych populistów.

Na podobnej zasadzie, ale całkiem na odwrót, nie przestałam lubić Sofii Parnok – rosyjskiej poetki srebrnego wieku – z jej literacko-życiowym projektem ujawnionej nieheteronormatywności, zakończonym przedwczesną śmiercią, w przededniu wejścia w życie rozporządzenia Berii o represjach wobec gejów i lesbijek.

Ale weźmy Josifa Brodskiego. Ludzie, którzy dopiero dzisiaj przeczytali jego wiersz z 1992 r. „Na niepodległość Ukrainy", rzucają mi go w twarz, domagając się potępienia autora, jakby to on bombardował ukraińskie szpitale. Wiersz jest istotnie brutalny. Zieje nienawiścią i pogardą. Autor posyła Ukraińców „w rosyjskie trzy litery" – tam, gdzie słynni obrońcy Wyspy Węży odprawili rosyjski okręt wojenny. Za pomocą Puszkina (wydaje mu się, że) miażdży Tarasa Szewczenkę. W jakimś sensie obraża nawet mnie osobiście: w szyderczej frazie „żółto-błękitny Lenin ponad Konotopem" pojawia się nazwa miejscowości, w której urodził się mój „chachłacki" dziadek

EL CZERWIN / WIKIPEDIA.ORG

RENATA LIS jest pisarką i tłumaczką. Opublikowała dwie książki parabiograficzne: „Ręka Flauberta" (2013) i „W lodach Prowansji. Bunin na wygnaniu" (2015, ukazał się już przekład rosyjski) oraz tom esejów „Lesbos" (2017). Przełożyła i opracowała tom próz Iwana Bunina „Późna godzina", zawierający jego opowiadania emigracyjne, oraz „Nieszczęsne dni", dziennik z lat 1918-1919, przetłumaczyła też esej Leonida Bieżyna „Anton Czechow. Droga na wyspę katorżników" i bajkę Siergieja Kozłowa „Jeżyk we mgle". Mieszka w Warszawie.

(a w 1659 r. odbyła się bitwa, w której wojska ukraińskie pokonały Moskali). Tę frazę mógłby spokojnie zacytować Putin w swoim wojennym wystąpieniu.

Kiedy noblista Brodski czytał ten wiersz po raz pierwszy w Jewish Community Center w Palo Alto, asekurował się słowami: „Jest to trochę ryzykowne, niemniej przeczytam". Później jednak prezentował go jeszcze kilka razy, nie był to więc eksces choleryka. „Odrzucenie imperium sowieckiego z całą jego brzydotą i szarością nie oznaczało dla Brodskiego odrzucenia imperium rosyjskiego, a przede wszystkim jego kultury" – zauważa Irena Grudzińska-Gross. Leszek Szaruga tłumaczy postawę poety wobec Ukrainy kompleksem młodszego brata (Moskwy wobec Rusi Kijowskiej).

„Wiem, że nie należy stawiać znaku równości między państwem a językiem" – pisał ten sam Brodski w gniewnym eseju „W półtora pokoju". Tekst powstał w Stanach jako spóźnione pożegnanie syna ze zmarłymi w Rosji rodzicami, rekompensata za spotkanie, do którego nie doszło z winy radzieckiego państwa. „Piszę to po angielsku – wyjaśniał Brodski – ponieważ chcę im ofiarować pewien margines wolności (...). Nie przywróci ich to do życia, ale angielska gramatyka może przynajmniej okazać się lepszą drogą z kominów państwowego krematorium niż rosyjska. Pisanie o nich po rosyjsku byłoby tylko przedłużeniem ich niewoli, redukowaniem ich do mizerii i mechanicznym unicestwieniem".

Można przyjąć Brodskiego w jego niedoskonałości albo odrzucić. Każdy wybiera sam. Ja nigdy nie wyrzeknę się jego szerokiej frazy poetyckiej i gorzkich esejów autobiograficznych, takich jak „Dyptyk petersburski. Przewodnik po przemianowanym mieście" – jeden z najlepszych portretów północnej stolicy (w Pitrze poznali się moi pradziadek i prababcia).

Na podobnej zasadzie nie wyrzekłam się Brunona Jasieńskiego, choć jego winy w służbie Stalina były nawet większe niż winy Brodskiego. Niekonsekwencje, skazy i pęknięcia są najciekawsze. To w nich kryje się prawda ludzkiego losu.

Imperialny rasizm

W czasie wojny słucham rosyjskich pisarzy nie mniej uważnie niż ukraińskich. Ciekawe rzeczy opowiadają.

Władimir Sorokin, autor konceptualnych dystopii „Dzień opryczników", „Cukrowy Kreml" czy „Zamieć", w niedawnym tekście dla europejskich mediów objaśnia, jak i dlaczego wizerunek Putina ewoluował od „oświeconego autokraty" z początku pierwszej kadencji do potwora z 24 lutego. Zwraca uwagę, że za kształt polityki wewnętrznej i zewnętrznej dzisiejszej Rosji odpowiada niezmienna od czasów średniowiecza oraz Iwana Groźnego struktura społeczna w kształcie piramidy, na szczycie której stoi jeden człowiek o nieograniczonych uprawnieniach, połączona z niewyobrażalnym dystansem między kastą panującą a eksploatowanymi bez litości „zasobami ludzkimi".

Putin to jego zdaniem rosyjski führer, spełnienie rojeń kolaborującego z Hitlerem filozofa Iwana Iljina. Przejął imperialną schedę po Związku Radzieckim, a ona jak toksyna zmieniła go na własne podobieństwo. Wraz z nim zmieniał się kraj, aż w końcu narodził się wielogłowy faszystowski smok ze stężałą twarzą czekisty. „Monstrum rosło stopniowo – pisze Sorokin – z roku na rok przybierając ↦

↦ na sile, nasycając się własną absolutną władzą, imperialną agresją, zawziętością podżeganą przez resentyment wobec upadku ZSRR i nienawiścią do zachodniej demokracji".

Dmitrij Głuchowski nadał swojej krytyce rosyjskiego społeczeństwa (w tekście dla „Nowoj Gaziety", dzisiaj już zamkniętej) formę listy „korzyści" z życia w strasznych czasach: „Teraz na własne oczy widzimy, jak odczłowiecza się ludzi, zanim się ich pożre: poprzez natrząsanie się, przez oczernianie, przez wypaczanie ich słów i motywów oraz negowanie samej możliwości myślenia i czucia przez nich. (...) Uczymy się nie współczuć ofierze, a przy tym współczuć agresorowi. (...) Uczymy się nie zauważać postępującego szaleństwa rządzących i przekonywać samych siebie o ich mądrości i dalekowzroczności". Bo historia niczego nie uczy i Rosjanie dopiero na własnej skórze dowiadują się, przez co i za jaką cenę przeszły starsze pokolenia.

Borys Akunin – poczytny na całym świecie autor retrokryminałów oraz własnej historii Rosji – w rozmowie dla „Gazety Wyborczej" podkreśla z kolei, że Rosja to nie tylko Putin i putiniści. „Dotarło do niego – mówi o rosyjskim dyktatorze – że im lepiej i bezpieczniej będzie się Ukraińcom żyło, tym szybciej Rosjanie zorganizują Majdan u siebie". Jednak możliwość demokracji w Rosji po Putinie widzi Akunin jedynie pod warunkiem zmiany struktury państwa: „Z hiperscentralizowanego imperium musiałoby zmienić się w prawdziwą federację, być może nawet w konfederację".

Wreszcie Siergiej Lebiediew – przenikliwy badacz i interpretator skonstruowanej przez putinizm *quasi*-religijnej ideologii zwycięstwa nad faszyzmem, autor przetłumaczonej na kilkanaście języków powieści „Granica zapomnienia", w której opisał proces indywidualnego przepracowania zbrodniczej przeszłości własnego narodu. W tekście rozesłanym do europejskich gazet Lebiediew wyznaje, że nie wierzy już w moc ujawniania stalinowskich zbrodni i „przywracania imion" ofiarom represji. Oczywiście zabiegi te są niezbędne, jednak omijają one jądro ciemności, jakim jest w Rosji (post)imperialny rasizm, przekazywany w sposób niezakłócony z pokolenia na pokolenie i wymierzony we wszystkie narody kiedykolwiek zależne od państwa rosyjskiego.

„Przez 70 lat ustrój sowiecki postulował »przyjaźń« i równość narodów – pisze Lebiediew. – W rzeczywistości były to okupacje, masowe deportacje narodów, tłamszenie niepodległościowych ruchów narodowościowych, popieranie wszelkimi sposobami kolaboracjonizmu i rezygnacji z tożsamości narodowej na rzecz »sowieckiej«, jakoby nadnarodowościowej. Niestety, to represyjne instrumentarium nie było specyfiką wyłącznie sowieckiego projektu komunistycznego. (...) wielopostaciowy rasizm jest bezpośrednim następstwem rosyjskiej imperialnej historii i polityki kolonialnej".

Dlatego Rosjanie – także „przyjaciele Moskale" – nie mają prawa prosić Ukraińców i świata o wybaczenie, dopóki nie przeprowadzą gruntownej rewizji swojej kultury i mentalności. Trudno o większą uczciwość wobec własnego plemienia.

Zaplątanie

Od zawsze, więc i na zawsze jesteśmy tu w Europie Wschodniej w siebie zaplątani: Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Bałtowie. Splątane są nasze historie, kultury i korzenie, a często też języki. Jechałam ostatnio rowerem przez Las Kabacki, łowiąc uchem dialogi nowaczek i nowaków z Ukrainy, i uśmiechałam się do myśli, że mój rosyjski na pewno wkrótce się zukrainizuje. Uwielbiam ten słowiański bazar, kiedy Polacy, Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie rozmawiają ze sobą w swoich językach i mimo różnic dobrze się rozumieją. To prawda, że w tym zaplątaniu Rosja była i wciąż jest dla pozostałych partnerem przemocowym. Dlatego chronimy się przed jej ciosami w antyrosyjskich stereotypach i uprzedzeniach.

Ukraińcy znajdują się obecnie w sytuacji, w której każda reakcja obronna jest dobra, o ile pozwala im przetrwać. My – mimo wszystko – na razie w takiej sytuacji nie jesteśmy.

Odkąd trwa wojna w Ukrainie, czuję, że żąda się ode mnie nienawiści. Jakby tylko ona była gwarancją, że stoję po właściwej stronie.

Nie mam w sobie nienawiści i nie chcę mieć tak długo, jak to możliwe. Nie muszę nienawidzić Rosjan i kultury rosyjskiej, żeby właściwie oceniać ich działania oraz współczuć i pomagać ofiarom. Żeby pomóc tonącemu, nie mogę sama być tą, która tonie.

Co do reszty, patrz punkty 1-4.

© RENATA LIS

Rady dla bezradnych

ALEKSANDRA TERPIŃSKA, REŻYSERKA:

Żyjemy po to, by pracować, i cały czas czujemy, że gonimy w piętkę. Wciąż nie spełniamy oczekiwań – czyichś lub własnych.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pani film „Inni ludzie" na podstawie poematu Doroty Masłowskiej właśnie miał premierę. Inni ludzie to ci, którzy obwiniają drugich za niepowodzenia?

ALEKSANDRA TERPIŃSKA: Na których zwalamy winę i odpowiedzialność. Robi to często Kamil, główny bohater filmu. Trudno mu spojrzeć w siebie, łatwo – dostrzegać swoje problemy u innych. Nienawiść raz zasiana przenosi się na ludzi obok. Promieniuje, zatacza kręgi – to nie główny, ale istotny wątek „Innych ludzi".

Czyli inni ludzie są w nas?

Inni są dokładnie tacy sami jak my, z tymi samymi pragnieniami i potrzebami, które nie zawsze potrafią spełnić, nie mają do tego narzędzi, umiejętności.

Ale spełnienie potrzeb idzie w parze z możliwościami finansowymi. W „Innych ludziach" wyraźnie zaznaczony jest podział klasowy: na majętnych i ubogich, tych, którzy mają wszystko, i tych, którzy nie mają prawie niczego.

Oni wszyscy są zdewastowani emocjonalnie, miotają się. Problemy mają identyczne – potrzebę akceptacji, bezpieczeństwa, budowania własnej wartości, wyznaczania granic. Jedyną różnicą jest fakt, że tym, którzy mają pieniądze, łatwiej opłacić sobie pomoc – trafić na terapię,

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

ALEKSANDRA TERPIŃSKA (ur. 1983) jest reżyserką i scenarzystką. Za swoje filmy krótkometrażowe dostała około 50 nagród na festiwalach międzynarodowych (m.in. nagrodę CANAL+ oraz Rail d'Or za „Najpiękniejsze fajerwerki ever"). Pierwszy film fabularny, jaki zrealizowała, „Inni ludzie" na podstawie poematu Doroty Masłowskiej (2021), przyniósł jej nagrodę w kategorii „najlepszy debiut reżyserski" na festiwalu w Gdyni. W styczniu została nagrodzona Paszportem „Polityki".

która coś nam w nas samych uświadamia. Ale ostatecznie to nie pieniądze decydują o tym, czy potrafimy kochać. Mając mniej pieniędzy, możemy tworzyć kochającą się rodzinę i dostać te wszystkie wartości – akceptację, spokój, bezpieczeństwo – w prezencie. Choć trudniej myśleć o dobrobycie psychicznym, kiedy pracuje się na dwóch etatach i nie ma czym zapłacić czynszu.

Jak się odnajduje w tym pokolenie, którego część dzieciństwa przypadła na PRL, a kolejne dekady na Polskę demokratyczną i wolnorynkową?

Chyba jest w nas sporo złości i rozczarowania, że daliśmy się wmanewrować w mityczną pogoń za sukcesem i ostatecznie niewiele z tego mamy. Funkcjonujemy w świecie, gdzie żyje się po to, by pracować – cały czas gonimy w piętkę. Ciągle nie spełniamy oczekiwań – czyichś lub własnych. Świat rozpada się na naszych oczach. Ja czuję się bezradna i jedyne, o czym czasem marzę, to spokój. Wchodziliśmy w życie w boomie lat 90., kiedy wszystko wydawało się możliwe, szybko jednak okazało się, że nie zawsze i nie dla każdego. Nie chcę generalizować na temat całego pokolenia, zapewne są w nim także ludzie szczęśliwi, spełnieni i tacy, którzy mają poczucie sensu tego, co robią – są więc spokojni. Ja tego nie mam, ale może to kwestia perspektywy.

Czasem zazdroszczę ludziom starszym, którzy mają w sobie właśnie większy spokój i otwartość – rozmawiają na ulicach, potrafią zagadnąć kogoś obcego – to wspaniałe. I to też jedna z cech, którą, mam wrażenie, jako pokolenie utraciliśmy.

Dlaczego?

Bo jesteśmy skoncentrowani na sobie, przebodźcowani, nie chcemy dostarczać sobie kolejnych informacji, nie mamy miejsca, przestrzeni, odporności. I pewnie się też boimy. A dla starszych człowiek jest punktem odniesienia, oni wiedzą, że warto nawiązać kontakt. *Small talk* na przystanku, przed sklepem, w parku. Ten przejaw otwartości i życzliwości jest według mnie odwagą i pięknem, choć może też bierze się z samotności i wielkiej potrzeby pogadania z kimkolwiek. W moim pokoleniu to raczej się nie wydarza. Świat sprzyja temu, by się odcinać od ludzi, by się zamykać w swoich grupach towarzyskich, w bańkach, nie wychodzić poza komfort bezpieczeństwa.

Wrogi świat pokazała Pani też w krótkometrażowych „Najpiękniejszych fajerwerkach ever". To dzień z życia przyjaciół, którzy w obliczu konfliktu zbrojnego muszą wejść w nowe role: ktoś jako żołnierz idzie na front, ktoś inny jako lekarz do szpitala. Film powstał w 2017 r., ale ma się wrażenie, że opowiada Pani o tym, co się dzieje dziś za wschodnią granicą.

„Fajerwerki..." były inspirowane sytuacją na Majdanie, powstały z tlącego się we mnie lęku przed wojną i są próbą zmierzenia się z tym, że wojna to nie jest coś daleko, tylko może dotyczyć też nas. Wzięły się też z potrzeby opowiedzenia o tym, jak łatwo wpaść w narrację konfliktu i nastawić przeciwko sobie grupy, które jeszcze przed chwilą koegzystowały w pokoju. Te mechanizmy są nam znane od wielu lat, a jednak wciąż im ulegamy.

Obie należymy do pokoleń, w których wojenna opowieść jest mocno obecna, znamy ją z drugiej ręki – od dziadków, pradziadków.

Te opowieści wojenne są w naszym DNA. Może stąd we mnie ten lęk. Trochę tak, jakbyśmy to doświadczenie miały gdzieś głęboko schowane w głowie. Z perspektywy tego, co się teraz dzieje, wojna wydaje mi się traumą nie do przepracowania. ↦

MATERIAŁY PRASOWE

Sebastian Fabijański jako Jezus i Sonia Bohosiewicz jako Iwona w filmie Aleksandry Terpińskiej „Inni ludzie"

Nawet częściowo?

Kiedy dział się Majdan, docierało do mnie wreszcie, że konflikt może dotyczyć nas bardziej, niż się tego spodziewamy. Przez fakt, że żyjemy we w miarę bezpiecznym skrawku Europy, tracimy czujność na to, co się dzieje na jej obrzeżach.

Utrata obywatelskiego obowiązku kontrolowania władzy właśnie zaczyna wychodzić nam bokiem. Nic nie usprawiedliwia odbierania ludziom praw człowieka. W „Fajerwerkach..." chodziło mi o pokazanie gorzkiego absurdu: możemy w jednej chwili zostać podzieleni przez jakąś ideologię, która kompletnie nie odzwierciedla naszego dotychczasowego życia. Że to jest narzucone, sztuczne, nie nasze, ale staje się treścią istnienia. Konfliktuje, polaryzuje.

Skądś to znam.

Kiedy toczył się Majdan, jeżdżąc na dokumentację z producentką Beatą Rzeźniczek i operatorem Bartkiem Bieńkiem zastanawialiśmy się, co by było, gdyby taka wojna zaczęła się u nas. Wtedy też rozpędzała się radykalizacja postaw w „wojnie polsko-polskiej". Ważne jest, żeby nie dać się w to wciągnąć i sprawdzać, czy przypadkiem my sami nie ulegamy mechanizmowi dehumanizowania jakiejś grupy.

Co jeszcze można robić, by świat choć trochę naprawić?

Czasem wydaje mi się, że jedyne, co jest wartościowe, to dbanie o tych, którzy są nam bliscy, i spędzanie czasu z ludźmi, którzy nas budują. Ale, prawdę powiedziawszy, wobec spraw świata czuję się bezradna.

Bardziej niż kiedyś?

Moja bezradność rośnie z wiekiem.

Psychologia, którą Pani studiowała, nie daje kluczy do tej bezradności?

Psychologia wzięła się z fascynacji człowiekiem w ogóle. Przy czym koncentrowałam się bardziej na psychologii społecznej i poznawczej, wobec czego bardziej interesowały mnie mechanizmy rządzące społeczeństwem.

Na reżyserię zdałam, mając już trochę poszerzoną wiedzę o człowieku, co na pewno procentuje w mojej pracy filmowca.

Na ostatnim roku reżyserii zaczęła Pani pracować na planach filmów Wojtka Smarzowskiego.

Tak, i to było świetne doświadczenie. Wojtek otacza się ekipą, która go rozumie, chce z nim pracować. On to docenia, okazuje, jest pełen szacunku. A tego nie uczy się studentów w szkole filmowej. Uczy się inscenizacji, konstruowania scenariusza, ale nie pracy w dużych zespołach, gdzie pojawiają się napięcia, sytuacje poza kontrolą i gdzie nie ma wiele miejsca na błędy. Do całkiem niedawna panowało przekonanie, że reżyser musi wszystkich rozstawiać po kątach i krzyczeć, co kto ma robić. A na planie Smarzowskiego wszyscy wykonywali swoją robotę najlepiej, jak potrafią, bo uważali, że pracują nad ważnym filmem.

Skąd wziął się impuls do nakręcenia ,,Ameryki", Pani szkolnej etiudy, w duchu Smarzowskiego, opowiadającej o Polsce prowincjonalnej? Dwie nastolatki znudzone codziennością wyruszają w podróż autostopem. Niewinna przygoda zamienia się w ryzykowną seksualną grę z obcym mężczyzną.

Bardzo chciałam opowiedzieć o sytuacji, w której ludzie młodzi testują rozmaite sfery swojego życia, w tym seksualną. Nastoletniość jest nieobliczalna: hormony buzują, każdy stroszy piórka i nikt nie chce wyjść przed rówieśnikiem na gorszego, a w sumie wszyscy są debiutantami. To też czas, kiedy się konstruujemy i stajemy się kimś, kim niekoniecznie jesteśmy, tylko dlatego, by nie stracić estymy wśród kolegów i koleżanek.

Równocześnie, choć nie zawsze o tym pamiętamy, mamy prawo stawiać granice. Chciałam opowiedzieć o tym, co powinno być oczywistością, że seks można przerwać w każdym jego momencie. Szokiem po seansie „Ameryki" było dla mnie to, jak jeden z kolegów ze szkoły filmowej rzucił komentarz: „Ale przecież ona go uwodziła!".

Czyli, w domyśle, powiedział: jest winna tego, że on ją zgwałcił?

Wstrząsające, że można powiedzieć takie zdanie, żyjąc w dzisiejszym świecie, a jednak ono wciąż zaskakująco często powraca w różnych wariantach i sytuacjach.

Na planach filmowych oraz w szkołach artystycznych przekracza się przecież granice na różne sposoby – występuje przemoc i psychiczna, i fizyczna. Zdolni są do tego tak samo mężczyźni, jak i kobiety.

Przez lata było na to przyzwolenie i wszyscy traktowali to jako coś normalnego, a w dodatku nie jesteśmy nauczeni stawiania granic i wsłuchiwania się w swoje potrzeby. Albo nie mamy na to szansy. Na pewno warto przyjrzeć się sobie i eliminować zachowania przemocowe, jeśli widzimy je u siebie, lub reagować, jeśli widzimy je u innych. Mogłoby pomóc komunikowanie swoich potrzeb, swoich trudnych momentów. Przecież każdy z nas może mieć gorszy dzień, może stresować się zadaniem bardziej, niż się tego od niego oczekuje, może być mu ciężko, bo ma kłopoty rodzinne albo pies mu choruje – warto o tym rozmawiać, inni nie muszą od razu widzieć, jak ciężki nosimy plecak.

Pani to potrafi?

Uczę się.

Od kiedy?

Mniej więcej od dwóch lat. Ale z umiarkowanym sukcesem. W pracy potrafię doprowadzić się do skrajnego zmęczenia i zapominać o tym, że kiedy nie będę miała przestrzeni dla siebie, zacznie mi jej za chwilę brakować dla innych.

W naszej rozmowie wraca sprawa granic. Pani doświadczyła ich przekraczania w szkole filmowej?

Pewnie każdy jakoś doświadczył. Tym bardziej że nasz system nauczania przesiąknięty jest takim podejściem, że studenta trzeba najpierw przeczołgać.

Kiedyś przekraczanie granic było normą w szkołach, od podstawowej po wyższą, szczególnie artystyczną. **Myśl o tym, że ludzi nie wolno „łamać", jest stosunkowo nowa.** Wszystkim nam się wydawało, że to jest norma, że „tak musi być".

Mówi się o tym coraz głośniej.

Kiedyś to przekraczanie granic było normą w szkołach, od podstawowej po wyższą, szczególnie artystyczną. Myśl o tym, że ludzi nie wolno „łamać", jest stosunkowo nowa. Wszystkim nam się wydawało, że to jest norma, że „tak musi być", ale dajmy sobie szansę nauczyć się nowych reguł. Wyobrażam sobie, że ci wszyscy ludzie, którzy byli tak kształceni, tak ich uczono i tak oni sami nauczają, nawet się nie zorientowali, że coś jest nie tak, że robią źle, że można inaczej. Dlatego potrzeba tej drugiej strony do stawiania granic i to się teraz dzieje. Pamiętajmy, że często w szkołach artystycznych uczą artyści, a nie nauczyciele. Oni są świetni w swoim fachu, ale z tym, jakimi są pedagogami, bywa naprawdę różnie. Wierzę jednak, że ta zmiana nadejdzie.

To możliwe?

Zmiana nie wydarzy się z dnia na dzień, ale jestem pewna, że się wydarzy. Wierzę, że można pracować w sposób merytoryczny, krytykować nie raniąc, nie łamiąc serc. Musimy się tego nauczyć, bo to nie zostało nam przekazane, więc chodzi o pracę z sobą samym.

A czym jest dla Pani samo kręcenie filmów?

Trud przygotowań, niesamowita adrenalina, spotkanie z ludźmi, poczucie, że coś się robi wspólnie, ale też, że to, co się robi, będzie dla kogoś ważne. Jednocześnie wiem na pewno, że robienie filmów to jest ciągłe dealowanie z porażką, nieustająco trzeba się z niej podnosić. „Inni ludzie" to też była seria niepowodzeń. Teraz romantyzuje się ten film, bo jest gotowy, w dystrybucji, dostał nagrody. Lecz próba znalezienia właściwego dla niego języka była strasznym wysiłkiem, co rusz coś nie wychodziło. Ilość rzeczy, która się wywraca, negatywnie weryfikuje, jest tak ogromna, że trzeba sobie wciąż odpowiadać na zasadnicze pytanie: czy w ogóle chcesz to dalej robić? Mnie się chce. Dlatego z Dorotą Masłowską pracujemy nad kolejnym scenariuszem.

Jaki temat?

Cały czas to samo: ludzki świat, w którym jest samotność, a nie ma miłości.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

PODZIĘKOWANIE

Pragniemy podziękować

Pani Profesor Beacie Piątkowskiej-Jakubas

oraz

Panu Profesorowi Wojciechowi Szczeklikowi

za oddaną, pełną empatii i ludzkiej troski opiekę nad

Zofią Gołubiew

Dzięki Państwu i całemu personelowi medycznemu
Kliniki Hematologii UJ oraz Kliniki Intensywnej Terapii i Anestezjologii
Szpitala Wojskowego w Krakowie nasza Mama i Żona
odeszła w spokoju, bez nadmiernego lęku i cierpienia.

KATARZYNA BARAŃSKA, WŁODZIMIERZ GÓRSKI

Latający dywan

KAJETAN PROCHYRA

Muzyka improwizowana była przez lata odgradzana od publiczności, bo to przecież jakaś „awangarda" czy „fryta" (od free jazz). Ale poszukiwanie wolności przez improwizację jest wciąż żywe i przekracza granice gatunków.

Trębacz i improwizator Don Cherry, siedząc na trawie w śmiesznej czapce i wyszywanej kamizelce, mówił w 1975 r. do kamery norweskiej telewizji: „Muzyka klasyczna, muzyka ludowa, muzyka poświęcenia: Bóg dał nam wolność, byśmy mogli połączyć to wszystko w jedno". Niespełna 40-letni wtedy artysta to jazzowy gigant, znany z własnych nagrań dla słynnego Blue Note Records, a może bardziej z albumów, gdzie występował u boku Johna Coltrane'a czy Ornette'a Colemana. Teraz grał na trawniku, w parku w niewielkim norweskim Kongsbergu, i przemierzał Skandynawię pociągiem w towarzystwie sekundujących mu lokalnych adeptów: saksofonisty Jana Garbarka i kontrabasisty Arilda Andersena – dziś gigantów europejskiego jazzu i filarów wytwórni ECM.

Bodhisattwa z Tagarp

„Improwizacji uczyłem się żyjąc w mieście. Teraz interesuje mnie uprawa ziemi" – dodaje Cherry, a po chwili gra i śpiewa ze swoim Organic Music, stawiając pytania o to, jak to jest być Jezusem, Mahometem czy Buddą. W telewizyjnym nagraniu za plecami artysty widać zawieszony na drzewie gobelin przedstawiający uśmiechnięte, medytujące bóstwo.

Gobelin ten jest jednym z najbardziej charakterystycznych obiektów na wystawie „File Under Freedom" w Bergen. To praca Moki Cherry (Moniki Karlsson) – szwedzkiej artystki wizualnej i projektantki kostiumów, od końca lat 60. partnerki artystycznej i życiowej Dona Cherry'ego. Praca jest długa na cztery i szeroka na trzy metry. Przedstawia uśmiechniętego bodhisattwę Chenrezig. Dwie ręce ma złożone na piersi, dwie kolejne lekko uniesione. W lewej kwiat lotosu, w prawej *mālā* – tybetański sznur modlitewny. Charakterystyczne długie uszy przypominają, że jego imię tłumaczy się jako „słuchający płaczów świata". W buddyzmie mahajany i wadżrajany postać ta uosabia współczucie. U jej stóp Moki Cherry wyszyła charakterystyczny dla skandynawskiego krajobrazu czerwony, drewniany domek. To budynek szkoły w Tågarp – wsi 40 km na północ od Malmö. W opuszczonej szkole Don i Moki stworzyli dom dla siebie i swojej sztuki. Tam przez dekadę organizowali koncerty, spektakle i wystawy; prowadzili warsztaty, gościli artystyczne bratnie dusze z całego świata, a nawet nagrywali programy dla dzieci na zlecenie szwedzkiego radia i telewizji.

Gobeliny Moki Cherry były nie tylko scenografią dla łączących kultury i tradycje muzycznych poszukiwań Dona. Same w sobie były wyrazem tego, że długotrwały, pełen pietyzmu proces twórczy jest formą medytacji. Tkaniny dawały rodzinie Cherrych wolność, także w wymiarze praktycznym: całą scenę, jak dywan, mogli zwinąć w rulon, wrzucić do busa i wyruszyć w dalszą trasę-podróż-pielgrzymkę.

W zeszłym roku działający na Brooklynie kolektyw Blank Forms wydał bogato ilustrowaną książkę dokumentującą prace Dona i Moki pt. „Organic Music Societies", a także dwie płyty z niepublikowanymi dotąd nagraniami audio. Praktykę łączenia muzyki improwizowanej i sztuki tkanin kontynuują dziś chicagowscy artyści Lisa Alvarado i Josh Abrams. W Bergen Kunsthall zaprezentowane zostały dwie prace Alvarado z cyklu „Thalweg", wykorzystujące techniki tkackie praktykowane w Meksyku. Jedna z nich zdobi okładkę najnowszej płyty Natural Information Society Abramsa, zatytułowanej „Descension (Out of Our Constrictions)". Lider gra tu na gimbri – tradycyjnym trzystrunowym instrumencie muzyki Gnawa z północno-zachodniej Afryki – partneruje mu zaś nestor brytyjskiej improwizacji, saksofonista Evan Parker.

Skatalogowano: wolność

W pastelowym pejzażu portowego Bergen funkcjonalistyczny budynek Kunsthall wyróżnia się nie tylko miętowym kolorem elewacji. To jedna z najważniejszych galerii sztuki współczesnej w Skandynawii. Od 1953 r. odbywa się tu doroczna Festspillutstillingen (wystawa festiwalowa), będąca największą monograficzną prezentacją prac współczesnych norweskich artystów – wydarzenie porównywane rangą z brytyjską Nagrodą Turnera. W tym roku bohaterką wystawy będzie reżyserka i artystka multimedialna Lene Berg. Od piętnastu lat kuratorem wystaw jest tu Steinar Sekkingstad.

– Niezależnie od tego, nad czym w danej chwili dyskutowaliśmy, Steinar zawsze potrafił podeprzeć swoją tezę argumentem ze świata muzyki improwizowanej. Zaproponowałem mu więc, by przygotował wystawę poświęconą właśnie temu zjawisku – mówi dyrektor Bergen Kunsthall, Axel Wieder.

Zwiedzanie „File Under Freedom" zaczyna się od sterty kilkudziesięciu książek poświęconych improwizacji. Pochodzą one z domowego księgozbioru Steinara. Sekkingstad jest raczej małomównym rozmówcą. O muzyce opowiada z perspektywy historyka sztuki, jednak doskonale widać, że ma za sobą ćwiczenia

THOR BRODRESKIFT / MATERIAŁY PRASOWE X2

praktyczne: grał na gitarze w alternatywnych zespołach, jest diggerem – kolekcjonuje płyty winylowe – a przede wszystkim ekspertem w dziedzinie styku sztuki współczesnej i dźwięku. W Bergen założył galerię Lydgalleriet.

– Zależało mi, by była to wystawa wizualna: szukałem prac, które będą pełnoprawnymi dziełami sztuki, a nie tylko dokumentacją na marginesie procesu twórczego muzyków – mówi. Na wystawie można było zobaczyć m.in. obrazy olejne Roscoe Mitchella – saksofonisty, jednego z filarów chicagowskiego ruchu AACM, członka słynnego Art Ensemble of Chicago – a także drewniane instalacje giganta europejskiej sceny free Petera Brötzmanna, inspirowane jazzem rzeźby Thaddeusa Mosleya czy partytury graficzne saksofonisty Matsa Gustafssona i norweskiej malarki Sidsel Paaske. Obszerną prezentację miały też poszukiwania Milforda Gravesa, zmarłego w ubiegłym roku perkusisty, badacza naturalnego ludzkiego rytmu – Graves tworzył m.in. kompozycje oparte na wynikach badań EKG – ale także artysty wizualnego, praktyka akupunktury (zanim jeszcze zalegalizowano ją w USA) czy twórcy własnych technik sztuk walki wręcz.

Tytuł wystawy „File Under Freedom" tłumaczyć można jako „Skatalogowano pod hasłem: wolność".

– To nawiązanie do tego, jak układa się płyty w sklepach muzycznych: na półkach z napisem pop, rock, jazz itd., podczas gdy muzyka w rzeczywistości wymyka się takim gatunkowym etykietkom – mówi Steinar. – Bardzo zależało mi, by już w tytule wybrzmiało słowo „wolność", bo o niej jest ta wystawa: o wolności politycznej, estetycznej, wolności od komercyjnego wymiaru twórczości. To wspólny mianownik dla wszystkich prezentowanych tu artystów.

Powyżej: rzeźby Thaddeusa Mosleya „Rhizogenic Rhythms", 2005, „Floating World", 2010. W głębi praca Lisy Alvarado z cyklu „Thalweg", 2020.

Zestaw perkusyjny Milforda Gravesa, ok. 1970.

Prorok Abshalom

Wystawie towarzyszy program edukacyjny skierowany do młodzieży szkolnej.

– Co znaczy dla 12-latka wolność wyrażania myśli, wolność do wypowiadania swoich przekonań? – pyta dzieci Hilde Marie Pedersen, kierowniczka działu edukacji Bergen Kunsthall. Od wolności przechodzi do rozmowy o improwizacji: doświadczenia działania bez planu, np. pozwolenia, by pędzel prowadził rękę, a nie na odwrót.

– Dzieciom zawsze najbardziej podoba się „Prorok Abshalom" – dodaje Pedersen. Autorką instalacji jest Emilija Škarnulytė – urodzona w Wilnie, mieszkająca w norweskim Tromsø artystka wizualna. W dużej, wyciemnionej sali prezentowany jest jej 14-minutowy film, opowiadający historię Abshaloma Ben Shlomo – starszego czarnoskórego mężczyzny, który w dziwnym, błyszczącym stroju, z saksofonem w rękach przemierza pustynię Negew.

Abshalom urodził się w Chicago jako Virgil Pumphrey. Na początku lat 60. w jednym z lokalnych klubów zobaczył czarnoskórego muzyka grającego na elektrycznych organach. To był Sun Ra – jedna z najbarwniejszych postaci amerykańskiej sceny jazzowej: muzyk, filozof i poeta, który twierdził, że na ziemię przybył z Saturna, by krzewić pokój. Jego zadaniem było wyzwolenie czarnoskórych Amerykanów poprzez sztukę: odzyskanie ich podmiotowości i prawa do opowiadania o własnej historii i doświadczeniu w pierwszej osobie. Sun Ra był pionierem afrofuturyzmu – nurtu przeżywającego od kilku lat renesans, by wspomnieć tylko kinowy hit z 2018 r. „Czarna Pantera".

Młody Pumphrey dołącza do Sun Ra Arkestra. Koncertują po całym świecie, grając w kostiumach przybyszów z innej planety. Po drodze trafia na Black Hebrew Israelites – wyznawców judeo-chrześcijańskiego Kościoła, głoszących, że właśnie czarnoskórzy są potomkami biblijnego narodu wybranego. Artysta przyjmuje imię Abshalom Ben Shlomo i wyjeżdża do Izraela.

Film Emilii Škarnulytė oglądamy leżąc na gąbkowych leżakach. Za nami na kilku ekranach wyświetlane są pejzaże pustyni Negew. Ściany sali ozdabiają – korespondujące ze strojem bohatera filmu – złote kurtyny. Wszystko to odbija się w ciemnym, zawieszonym pod sufitem zwierciadle. Zadaniem widza jest więc kontemplacja wszystkich bodźców, niespieszne zwiedzanie tego odrealnionego, kosmicznego krajobrazu. Jednocześnie pustka przestrzeni sprawia, że jesteśmy tu jakby w dworcowej poczekalni, zatrzymani na chwilę w niekończącej się międzyplanetarnej wędrówce w poszukiwaniu tożsamości.

Sun Ra Arkestra koncertuje do dziś. Dyrygentem zespołu jest obecnie 97-letni saksofonista altowy Marshall Allen.

Muzyka improwizowana, czerpiąca z tradycji czarnych Amerykanów, ale także z muzyki tradycyjnej praktycznie każdego regionu świata – ludowego śpiewu Saamów *joik* czy polskich oberków – ma wolność zakodowaną w swoim DNA. W świecie przesytu i nadprodukcji samotny marsz z saksofonem przez pustynię czy zawinięty w dywan muzyczny teatr stanowią lekcję wolności, nie tylko dla galeryjnego świata sztuki. ©

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygn. akt I Ns 727/21 toczy się postępowanie z wniosku Władysława Krzemińskiego o zasiedzenie nieruchomości położonych w obrębie 0001 Baranów Sandomierski, oznaczonych jako działki ewidencyjne: nr 1188 o pow. 0,1941 ha, nr 1189 o pow. 0,0195 ha, nr 1237 o pow. 0,0127 ha, nr 611 o pow. 0,0811 ha, nr 612/3 o pow. 0,3001 ha, nr 1850/1 o pow. 0,3111 ha i nr 1850/2 o pow. 0,0072 ha. Aktualnym posiadaczem nieruchomości jest wnioskodawca.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 395/21 toczy się postępowanie z wniosku Michaliny Bystrzejewskiej o stwierdzenie nabycia na jej rzecz przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości, położonej w Odrzywole, gm. Odrzywół, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 233/1 o pow. 0,1500 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.I.6621.2091.2021.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 263/21 postępowanie z wniosku Bogusława Ferenza i Hanny Ferenz o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Dobieszczyźnie, oznaczonej geodezyjnie jako działki 547, arkusz mapy 2, o powierzchni 1,43,00 ha, dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 1204/21 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Danucie Bronisławie Przybylskiej, nazwisko rodowe Przybylska, ur. 25 grudnia 1942 r. w Wilnie, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Zielonej Górze, zm. 26 lutego 2021 r. w Bolesławcu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zielonej Górze i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu spadkowym i w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 480/21 toczy się postępowanie z wniosku Anny Lato, z udziałem Tadeusza Kozłowskiego, Mariana Gęsieniec, Edwarda Gęsieniec, o zasiedzenie nieruchomości położonej w msc. Ceteń, gm. Odrzywół, składającej się z działki nr 768 o pow. 0,1030 ha, przedstawionej na mapie przechowywanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze za nr. GK.III.6621.2.57.2018 przez Annę Lato.

Wzywa się osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 1598/21 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Romanie Piotrze Szczęsnym, zm. 21 kwietnia 2020 r. w Zielonej Górze, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Zielonej Górze.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zielonej Górze i wykazali swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu spadkowym i w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli, I Wydział Cywilny, do sygn. akt I Ns 172/21 toczy się postępowanie z wniosku Heleny Partyki z udziałem Jana Bednarczyka, Józefa Bednarczyka, Antoniny Bednarczykowej, Karoliny Bednarczykówny, Maryjanny Bednarczykówny o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Kotowej Woli, stanowiącej działkę nr ewid. 766 o pow. 0,3083 ha, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta, a która powstała z części pgr 424/1 i części pgr 424/2 objętych lwh 335 gminy katastralnej Kotowa Wola.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególnosci Jana Bednarczyka, Józefa Bednarczyka, Antoninę Bednarczykową, Karolinę Bednarczykównę, Maryjannę Bednarczykównę lub następców prawnych tych osób oraz następców prawnych Piotra Bednarczyka, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie pominięci zostaną w toczącym się postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

Ukryta wspólnota

ANITA PIOTROWSKA

Dziś inne kontynenty oddaliły się od nas jeszcze bardziej. Z pierwszych stron gazet zniknęły także prawa kobiet. Nie czas żałować mieszkanek biednego kraju w sercu Afryki, kiedy obok płoną miasta?

Film „Lingui" czadyjskiego reżysera Mahamata-Saleha Harouna wbrew pozorom wcale nie jest tak od nas odległy. Chociaż zdjęcia kręcone były w Republice Czadu, oglądamy koprodukcję europejską. Z prostej przyczyny – w Czadzie prawie nie istnieje przemysł filmowy. Haroun (rocznik 1961), mieszkający od lat we Francji i regularnie powracający z kamerą do ojczyzny, uchodzi za jednego z pionierów kinematografii odradzającej się po wojnach domowych.

Wcześniejsze wyreżyserowane przez niego tytuły, jak „Susza" (2006) czy „Krzyczący mężczyzna" (2010), zdobywały nagrody w Wenecji i Cannes. W „Lingui", zrobionym z dużą pokorą wobec opisywanej rzeczywistości, reżyser ponownie stara się przekroczyć konwencje kina festiwalowego. Tworzy się je zazwyczaj pod gusta zachodniego widza, głodnego etnograficznych ciekawostek. Tu z ekranu słychać co prawda głównie francuski, ale to jeden z dwóch języków urzędowych Czadu, obok miejscowej odmiany arabskiego, i nie ma wątpliwości, że dociera do nas uczciwy głos „stamtąd".

Fabuła sprawdziłaby się z grubsza w różnych, choć na szczęście nie wszystkich, szerokościach geograficznych. Kiedy Amina (Achouackh Abakar Souleymane) dowiaduje się, że jej piętnastoletnia córka Maria (Rihane Khalil Alio) zaszła w ciążę, świat wali się im obu na głowę. Samotna matka nie chce, żeby Maria poszła w jej ślady, pozbawiając się prawa do edukacji – dziewczynę wyrzucono ze szkoły za sianie zgorszenia – i żeby spotkał ją podobny ostracyzm ze strony muzułmańskiej społeczności. Na przedmieściach Ndżameny, stolicy kraju, rządzą imamowie (ponad połowa mieszkańców Czadu wyznaje islam), którzy potępiają pozamałżeńskie ciąże i jednocześnie ich przerywanie uznają za ciężki grzech. Do tego dochodzi obowiązujący przed 2017 r. całkowity zakaz aborcji, zliberalizowany potem do kilku wyjątków. Oczywiście, istnieje aborcyjne podziemie, aczkolwiek cena za wykonanie zabiegu zwala z nóg. Zwłaszcza kobietę zarabiającą na życie wyplataniem drucianych koszy.

Już w pierwszych minutach widzimy, jak Amina za pomocą maczety rozpruwa stare opony, by wyszarpać z nich metalowe pręty. Gwałtowność tego obrazu zapowiada determinację, z jaką kobieta, mimo strachu i religijnych przekonań, walczyć będzie za chwilę o dobro swego dziecka. Równocześnie Haroun językiem kamery podkreśla kobiecą samotność. Albowiem matka i córka nie od razu chwytają się za ręce w solidarnym geście. Maria nosi w sobie ponurą tajemnicę, którą poznamy dopiero bliżej finału, podczas gdy Amina widzi w córce lekkomyślną nastolatkę, która rujnuje swoją przyszłość i okrywa dom kolejną hańbą. Lecz w tej sytuacji są całkowicie na siebie skazane. Film mówi dobitnie, że ciałami kobiet zarządzają tutaj mężczyźni, tak zwani „bracia w wierze", ale w sytuacjach naprawdę kryzysowych mogą one liczyć jedynie na pomoc innych kobiet. Słowo „siostrzeństwo" powtarza się nagminnie w komentarzach do „Lingui".

Pojawia się też wątek obrzezania dziewczynek, praktykowanego na dużą skalę w tej części Afryki. Często rękami kobiet. Haroun pokazuje sposoby na przechytrzenie tego okrutnego zwyczaju, na sabotowanie okaleczeń, dając jeszcze

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

Rihane Khalil Alio jako Maria i Achouackh Abakar Souleymane jako Amina w filmie „Lingui”

jeden przykład kobiecej wspólnotowości. Bo to właśnie oznacza tytuł filmu – głębokie więzi. Wytwarzają się nawet pośród kobiet całkowicie sobie obcych, należących do różnych pokoleń i grup społecznych, mających jednak poczucie wspólnego losu. Haroun nie epatuje przy tym terrorem religijnym ani państwowym. Operuje tonem stłumionym, jakby przepuszczał tę opowieść przez tiulową moskitierę, odsłaniając tylko zarysy problemu. Najważniejsze wydarza się między Aminą, Marią, Fantą, położną.

Wiele sugeruje scena, w której zdesperowana matka wędruje pośród slumsów i glinianych domów w poszukiwaniu ratunku dla córki. Mija wysypisko śmieci – w takich właśnie miejscach znajduje się martwe noworodki. Artykuł o takim makabrycznym znalezisku zainspirował Harouna do napisania scenariusza „Lingui”. Sam z wykształcenia jest również dziennikarzem, a stąd już blisko do kina dokumentalnego, które reżyser także z powodzeniem uprawia. I trzeba przyznać, że czasem lepiej u niego pracuje ręka dokumentalisty niż opowiadacza inscenizowanych historii.

Narracja w najnowszym filmie bywa chwilami czytankowo uproszczona, naturszczycy zaś nie zawsze potrafią udźwignąć ciężar swoich ról. Bywa wszelako, że owa nieporadność i prostota przydają autentyzmu. Dołóżmy do tego uchwycony „na gorąco” lokalny klimat, czyli gwarne bazary i zakurzone ulice afrykańskiego miasta czy te wszystkie intensywnie kolorowe, dzielone z hołubionymi zwierzakami domostwa, gdzie toczą się po cichu wielkie dramaty. Filmuje to Haroun unikając pornografizacji biedy czy, dla odmiany, nadmiernej jej estetyzacji, co bywa częstą przypadłością spojrzenia z zewnątrz na Afrykę.

W lutym 2017 r. reżyser objął tekę ministra kultury w czadyjskim rządzie, ale po dwunastu miesiącach zwątpił w skuteczność narzędzi politycznych, które mogłyby odmienić jego kraj. Powrócił zatem do kina, by dalej pełnić funkcję kronikarza lub orędownika zmian. W „Lingui” nie ma mowy o feminizmie, bo takie słowo pewnie nie zdążyło zaistnieć w tamtejszych słownikach. Są za to akty spontaniczne i całkowicie oddolne. Z filmu można wnioskować, że w jednym z najsłabiej rozwiniętych krajów świata, rządzonym nadal przez wojskową juntę, targanym etnicznymi konfliktami, państwowe hasło „Jedność, praca, postęp” realizuje się najczęściej w formie kobiecej samopomocy. A za ukryte motto mogłoby służyć to z niedawnych protestów w Polsce: „Kiedy państwo mnie nie chroni, mojej siostry będę bronić”.

Bo film Harouna, dzieło wrażliwego i empatycznego mężczyzny, mimo wszystko pozostawia nas z jakąś nadzieją. Warto obejrzeć napisy końcowe, by wsłuchać się w dochodzący zza kadru dziewczęcy śmiech. Może nie całkiem beztroski, lecz trochę oczyszczający atmosferę. Duszną i – aż chciałoby się użyć tego „suchara” – zaczadzoną. ©

LINGUI *(Lingui, les liens sacrés) – reż. Mahamat-Saleh Haroun. Prod. Niemcy/Francja/Belgia 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 8 kwietnia.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wszystkie nasze strachy

Dramat, reż. Łukasz Ronduda, Łukasz Gutt, Polska 2021, VoD

Poprzez postać artysty Daniela Rycharskiego (w tej roli Dawid Ogrodnik) film opowiada o tym, jak sztuka, wiara i tęcza mogą zostać wykorzystane, żeby łączyć, a nie dzielić. Bez przerysowań czy uprzedzeń twórcy konfrontują ze sobą różne światy, konteksty społeczne i wrażliwości – z nadzieją, że inna, bardziej otwarta Polska jest możliwa. Zwycięzca festiwalu w Gdyni.

2. Sukienka

Krótkometrażowy, reż. Tadeusz Łysiak, Polska 2020, Player, Premiery CANAL+

Nie otrzymał spodziewanego Oscara, ale ten skromny studencki film zdecydowanie zasłużył na wszelkie nagrody. Znakomita Anna Dzieduszycka wciela się w postać niskorosłej pokojówki z przydrożnego motelu, która – jak każda kobieta – marzy, planuje i pragnie, ale rzeczywistość okazuje się dla niej szczególnie brutalna.

3. W pętli ryzyka i fantazji

Nowelowy, reż. Ryûsuke Hamaguchi, Japonia 2021, Nowe Horyzonty VoD

Reżyser obsypanego nagrodami „Drive My Car” jest także mistrzem krótkich form. Bohaterkami każdej z trzech nowelek są współczesne Japonki, których życie zmienia się pod wpływem ślepego przypadku, ważnego spotkania czy intymnej rozmowy. Precyzyjnie skonstruowane historie zapętlają ścieżki ludzkich losów, w ciekawy sposób dopełniając się nawzajem.

4. Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun

Komedia, reż. Wes Anderson, USA/ /Niemcy 2021, VoD

Kolejna inteligentna błyskotka od twórcy „Moonrise Kingdom”, tym razem wpisana w nostalgiczną opowieść o zanikającym dziś etosie prasy drukowanej. Bohaterami są francuscy korespondenci fikcyjnego dziennika z USA, a tak naprawdę plejada barwnych indywiduów mających bardzo dziwaczne przygody w niezwykle oryginalnej scenerii.

JAN

Klata:
Spadł śnieg

No, spadł, i – uprzedzając pytanie – osobiście uważam, że to jak najbardziej w porządku. Że w kwietniu? Śnieg na kwieciu może być piękny, śnieg na pączkach urzeka, o ile powiemy „tak" czemuś niebanalnemu. W sumie, ostatnimi czasy w latach ZOZI oraz ZOZZ mieliśmy do czynienia z tyloma stadami czarnych łabędzi, anomaliami, syngularnościami i generalnymi dopustami, że kwietniowy śnieg jest OK. Dobrze jest mieć taki problem, dobrze rwać włosie z tego powodu, że – uprzednio złośliwie powstrzymawszy się od opadów w bardziej banalnych miesiącach – kropnął śnieżek. Przecie plecień, nieprawdaż?

Ziemia łaknęła wilgoci jak kania dżdżu, więc dobrze się stało, jak się stało. Ale jest i druga strona medalu. Śnieg spada na ludzi, mokry, zbity w czapy – czy jak tam się te śniegopociski nie nazywają, zasadza się na dachach i bach w dół, gdzie na dole chodnik. Po chodniku – jak sama nazwa wskazuje – chodzą ludzie, nie zawsze zadzierając głowy. Boleśnie konkretny przykład z soboty. Spaceruję ulicą w centrum miasta Warsa i Sawy... i co widzę? Przechodzień przede mną o mało nie dostał w czapę śnieżnym nawisem o dużej wadze. Gruchnęło jak w sylwestra, człowiek najadł się strachu i z duszą na ramieniu pomaszerował dalej, kusząc los, licząc na łut szczęścia i fartowny powrót do domu, możliwie bez hospitalizacji. We mnie wzbudził się sprzeciw i postanowiłem zapukać do konsjerża kamienicy przy ulicy Chocimskiej 18A, aby naświetlić problem. Konsjerż okazał się konsjerżką, która urzędowała za marmurowym blatem w efektownym hallu i udawała Greka. W sensie, że nad wejściem do budynku wisiała grecka flaga, ale Polka w środku z początku zupełnie, ale to zupełnie nie wiedziała, o co chodzi na chodniku (choć widziała, jak to coś spada). Zacząłem drążyć temat, prosząc o interwencję polegającą na zorganizowaniu objazdu ze stosowną tabliczką ostrzegawczą bądź sprokurowaniu ekipy zrzucającej śnieg... W odpowiedzi usłyszałem coś głęboko charakterystycznego: „Ale przecież nie tylko z naszego budynku spada!". Amen. Mane, tekel, fares. Whatever. ©

Lektor:
Dom na Krupniczej

▪ *Jan Polewka*
DOM POD WIECZNYM PIÓREM. LEKSYKON LEGENDARNEGO DOMU LITERATÓW W KRAKOWIE
Iskry, Warszawa 2022, ss. 452.

Koniec wielkiej wojny był bliski, kiedy do podbocheńskiej wsi dotarł list od Jana Gebethnera. Adresatką była pisarka Hanna Mortkowicz-Olczakowa – po tułaczce na fałszywych papierach znalazła wraz z matką, wdową po wielkim wydawcy Jakubie Mortkowiczu, przystań we wsi Leszczyna. 16 marca 1945 r. przyjechała do Krakowa, zgodnie z radą Gebethnera szukać pomocy w Związku Literatów na Krupniczej 22. Nie wiedziała, że będzie to jej adres przez następne lata. Aż do śmierci.

Kamienica zbudowana w 1911 r. dla adwokata Adolfa Liebeskinda to miejsce niezwykłe, choć dziś trudno się domyślić, że patrzymy na ucieleśniony podręcznik historii powojennej literatury. Zarekwirowana przez Niemców i przerobiona na hotel urzędniczy, potem zajęta na krótko przez Armię Czerwoną, trafiła na cztery dekady w ręce literatów. Powraca we wspomnieniach i anegdotach prawdziwych i zmyślonych, ale dopiero Jan Polewka – scenograf i reżyser, syn pisarza Adama Polewki, mieszkający na Krupniczej od urodzenia – metodycznie uporządkował to, co wiemy o lokatorach Domu Literatów. A była ich rzesza, w jednym mieszkaniu kwaterowano po kilka rodzin, niektórzy mieszkali tam krótko, czasem też wędrując z lokalu do lokalu. Andrzejewski, Czycz, Dygat, Gałczyński, Kisielewski, Maria i Jerzy Kwiatkowscy, Lipska, Maj, Mrożek, Otwinowski, Poświatowska, Różewicz, Słomczyński, Szaniawski, Szymborska, Świrszczyńska i wielu innych... Jan Polewka stara się uporządkować faktograficzny chaos – to naprawdę jest słownik! – nie rezygnując jednak z odtworzenia klimatu codziennego życia w tym pisarskim ulu i w zajmującym parter klubie – stołówce. Polemizuje też z obrazem Domu Literatów jako „kołchozu" stworzonego na wzór sowiecki, by nagradzać (i pilnować) pisarzy wspierających nowy ustrój. U źródła była po prostu chęć pomocy ludziom, którym wojna zabrała wszystko, a młody prozaik Tadeusz Kwiatkowski, inicjator stworzenia Domu, uczestniczył w wojennej konspiracji bynajmniej nie komunistycznej. No i jakiegóż to wsparcia nowa władza mogła oczekiwać od weteranów Młodej Polski, jak Artur Górski czy Ignacy Nikorowicz, od wdów po Stanisławie Brzozowskim i Witkacym, czy od felietonisty „Tygodnika Powszechnego" Kisiela, toczącego nieustanne spory z sąsiadem-komunistą Adamem Polewką? Pamięci Stefana i Lidii Kisielewskich oraz ich syna, pianisty Vacka dedykowana jest zresztą ta książka. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Zwierzęco proste

Siedem tysięcy czterysta czternaście razy uczeni z międzynarodowego konsorcjum badawczego podchodzili z mikrofonem do ponad czterystu świń w dziewiętnastu sytuacjach – od narodzin przez różne perypetie w chlewiku, aż po drogę do rzeźni. Tak zebrany materiał pozwolił specjalistom od statystycznej analizy różnych przejawów behawioralnych wyregulować algorytm, który umie teraz rozpoznać, czy dany kwik lub chrumknięcie sygnalizuje pozytywne lub negatywne emocje oraz o jakiej w przybliżeniu korzystnej sytuacji lub zagrożeniu nas informuje.

W rzadkich wolnych chwilach, kiedy wszystko mam pozmywane, a pieczyste w piecu samo dochodzi na obiad, skradam się do biurek kolegów pełniących w redakcji funkcje bardziej umysłowe. Ostrożnie, żeby nie pobrudzić palcami upapranymi burakiem, kartkuję w dziale kultury nowe powieści i albumy, na przykład ostatnio katalog wspaniałej wystawy Vilhelma Hammershøia. Kolegom z działu naukowego podkradam zaś czasopismo „Nature", jego tytuł jako jedyny mnie nie onieśmiela. Zakładam mianowicie, że działając w kuchni na styku botaniki, zoologii, fizyki ciał stałych i płynów (gazem jeszcze nikt się nie najadł), chemii, fizjologii ze szczególnym uwzględnieniem perystaltyki oraz neurologii, stoję poniekąd w samym centrum natury, niczym kierownik zmiany w nastawni wielkiej stacji węzłowej. A zatem znajdę coś jako tako zrozumiałego w czasopiśmie z naturą w tytule.

W przypadku raportu z badań nad fenomenologią kwiku moja naiwność oberwała słusznego klapsa. Okazuje się, że dbałość o dobrostan świni i zrozumienie jej emocjonalnych wyrazów wymaga nie tylko panowania nad zaawansowaną statystyką, ale i tęgiej gimnastyki pojęciowej rozkładającej na drobne klocki świat uczuć. „Emocje u zwierząt nie są automatycznym procesem odruchowym, można je za to wyjaśnić w ramach podstawowych procesów poznawczych. Wyzwalane są, gdy osobnik dokonuje ewaluacji informacji ze swojego otoczenia". A jakież to mianowicie może być otoczenie? Na szczęście tylko dwóch rodzajów. Negatywne, które „obniża przystosowanie w naturalnych sytuacjach życiowych (np. stres, stłoczenie, walka, izolacja)" – oraz pozytywne, które to przystosowanie zwiększa (bycie razem, ocieranie się, zabawa).

Świnia ma szczególnie aktywną „wokalizację emocji" w porównaniu z resztą żywego inwentarza. Wystarczy nie zatykać uszu i zaufać intuicji, by zarejestrować, w jakim stanie jest nadawca przeciągłego wysokiego pisku albo przerywanego basowego chrumkania. Cały ten badawczy projekt, pomyślałem w pierwszej chwili po lekturze artykułu, nauczył komputer rozpoznawać coś, co każdy hodowca, przebywający na co dzień wśród swoich świń, wyczuwa doskonale na ucho, rezonując empatycznie z własnymi emocjami, które w podstawowej warstwie są u nas „zwierzęco" proste, jak np. strach. Co jednak, kiedy nie ma żadnego hodowcy w chlewiku, tylko zautomatyzowany hangar na kilka tysięcy zwierząt? Automatyczny analizator odgłosów może pomóc wtedy w reagowaniu (przez inne automaty) na sytuacje kryzysowe w stadzie. Czy jednak wpłynie na dobrostan zwierząt pojęty w tradycyjny, nienaukowy sposób?

Na szczęście, jeśli chodzi o hodowlę ludzi, to na razie każdy jest pasterzem tylko siebie samego oraz, ewentualnie, małych dzieci lub osób zadanych nam jako obiekt troski. Nie grozi więc, że naukowcy za rok przyczepią nam do skóry czujniki, które przekażą dane do aplikacji w smartfonie – ta zaś dopiero orzeknie, czy jest nam zimno, czy ciepło, po czym wskaże, o ile guzików wolno rozpiąć nam kurtkę albo ile łyków brandy należy pociągnąć z piersiówki. Na razie wiemy to sami, bez pomocy sformalizowanych procesów.

Wiedza intuicyjna, życiowe oczywistości, emocjonalny elementarz – to wszystko jest w coraz głębszej defensywie. Nie tylko z powodu stopnia, w jakim technika i kluczowe dla niej liczbowe abstrakcje zastępują nam pozrywane tradycyjne więzi z ekonomią pierwotnej ludzkiej gromady. Mam wrażenie, że przy okazji wojny co i rusz okazuje się, że tylko pozornie mówimy tym samym językiem, co nasi znawcy i władcy. Kiedy amerykański prezydent powiedział: „na miłość boską, ten człowiek nie powinien być u władzy", zaraz wielki aparat państwowy i medialny rzucił się wyjaśniać, że miał na myśli coś zupełnie innego. Żałosna pokrętność tych tłumaczeń była dla mnie pociechą, że jednak zimna błona dyplomacji i ekspertyzy nie jest w stanie całkiem szczelnie zasłonić pewnych oczywistości. Współczując politykom i ich pomocnikom, którzy muszą, owszem, kluczyć i sięgać po zaokrąglenia, eufemizmy, a czasem wręcz kłamstwa, sami wolni od tych kajdan powinniśmy co dzień głośno powtarzać, tak żeby nas dobrze tam na górze słyszeli: na miłość boską... ©℗

W naturze, o której niekoniecznie „Nature" wam wszystko powie, paroksyzmy zimy nie zakłócają rytmu karmiącego nas tym, co kwiecień ma najlepszego. W cieplejszych rejonach kraju możecie już zbierać pierwszą młodą pokrzywę, taką z jeszcze brązowymi listkami. Pamiętajcie o rękawiczkach, krótko sparzcie wrzątkiem i jedzcie po posoleniu z cytryną i oliwą. Jeśli macie jej dużo, można przygotować na zapas krem, który daje się całkiem dobrze mrozić i np. późną jesienią stanie się dobrą pigułką witalności.

Dusimy kilka minut na oliwie posiekaną cebulę, marchew, pół główki selera (albo dwie gałązki naciowego), solimy, zalewamy ok. pół litra bulionu warzywnego, gotujemy 5 minut, wrzucamy ćwierć kilo umytej pokrzywy, albo i więcej, gotujemy minutę, po wystudzeniu miksujemy. Dla zagęszczenia można dodać do warzyw pokrojonego ziemniaka albo pod koniec wrzucić garść ugotowanej fasoli.

MELIHA GOJAK / ADOBE STOCK

Opal Whiteley Park w Cottage Grove, Oregon, USA, kwiecień 2021 r.

ROK DZIKIEGO SERCA

Według starej krajoznawczej anegdoty należy zamknąć oczy, a chwilę potem je otworzyć. „Boże, jak tu pięknie!" – powie nam się samo.

ADAM ROBIŃSKI

Jedno zdanie, a tak bezlitośnie definiuje okoliczności: „Jak będę duża, to napiszę książkę o podróży kropli deszczu". Autorka tych słów musi być młoda, a jej głowa bujać w obłokach. Od razu włącza się też człowiekowi jakieś politowanie. Dobrze, dziecko, a teraz idź się pobawić. Opal Whiteley jest rzeczywiście dzieckiem. Kiedy pisze te słowa, ma niecałe siedem lat i głowę huczącą od myśli. Do tego kredki i skrawki papieru, na których je zapisuje. I całą masę zwierzęcych przyjaciół.

To wszystko dzieje się w zupełnie innym świecie niż ten dzisiejszy. Sto lat temu dziecięce oczy nie szukają ekranów, a bodźców dostarcza im zewnętrzny świat. Żywy, oddychający, czasem pachnący, częściej śmierdzący, zwykle brudzący kolana i ręce. W tym przypadku – do kwadratu, bo miejscem akcji jest odludna osada drwali gdzieś w lasach północnoamerykańskiego Oregonu. Mając tak zarysowany szeroki plan, możemy domyślać się reszty: dni mijają Opal na wędrowaniu pośród drzew, karmieniu zwierząt i wykonywaniu prac domowych, o których dziś powiedzielibyśmy, że znacznie przekraczają możliwości dziecka.

Gdzieś w tym wszystkim mieści się także czas na naukę. W wieku trzech lat uczy się pisać i czytać, na wyrywki recytuje Biblię, więc to, że jako sześciolatka notuje już całe akapity, nie powinno nikogo szokować. Dziwić może tylko upór, z jakim to robi, mozolnie gromadząc najdrobniejsze nawet skrawki papieru. Nadaje się wszystko, na czym zostaje wyraźny ślad kredki.

Kapturki listków

„Dziś wielka sosna machała do mnie swoimi rękami. A gałązki krzaków robiły mi przyjacielskie poklepki po policzku" – pisze jednego dnia. „Przyszły już dni brązowych listków. Spadają z drzew, trzepoczą na ziemi. Kiedy brązowe listki trzepoczą, to wtedy opowiadają różne historie. Rozmawiają z wiatrem. Słyszę, jak opowiadają o swoich dniach urodzinkowych, kiedy przyszły na ten świat jako listki. I szepczą o kapturkach, które wtedy nosiły. Ja je widziałam – liczyłam je, jak szłam do szkoły" – notuje kiedy indziej. Kiedy w wieku osiemnastu lat trafi na uniwersytet, kampus okrzyknie ją geniuszem, ale na razie mamy do czynienia z dzieckiem, które jest najzwyczajniej w świecie ciekawe świata.

„Pamiętnik rozumiejącego serca" ukazuje się, gdy Opal jest już dorosła. Ma za sobą liczne pogadanki religijno-przyrodnicze, z którymi jeździła po stanie, ale jej sława trochę przygasła. Dzieciństwo w lesie najwyraźniej nie przygotowało jej na prozę dorosłości. Po roku w Los Angeles, gdzie próbowała kariery aktorki, brak sukcesów skłonił ją do spisania tego, o czym kiedyś opowiadała. Ale przyrodnicze gawędy lokalnej gwiazdki z Oregonu nie przypadają do gustu redaktorowi miesięcznika „The Atlantic", któremu je pokazuje. Zamiast je publikować, pyta, czy Opal nie ma jakiegoś dziennika. Kobieta przypomina sobie wówczas o zostawionych w Los Angeles pudełkach, w których upchnęła przerobione przez kuzynkę na konfetti karteluszki dziecięcego pamiętnika. Urzeczony osobowością Whiteley naczelny miesięcznika węszy wydawniczy przebój. Opal rozpoczyna mozolne, wielomiesięczne sklejanie pasków swojej pisaniny. Słowa, które zapisywała fonetycznie, bo tylko tak umiała, musi przetłumaczyć na dorosły angielski.

Zaraz po wydaniu w 1920 r. „Pamiętnik rozumiejącego serca" staje się sensacją. Ale z innych powodów, niż chciałby tego wydawca. Okazuje się, że autorki są tak naprawdę dwie. Opal Irene Whiteley przedstawia się bowiem jako osierocona francuska księżniczka Françoise Marie de Bourbon-Orléans. Jej ojcem miał być prawnuk króla Ludwika Filipa, podróżnik i przyrodnik, odkrywca źródeł rzeki Irawadi, który zginął pod Sajgonem. Matka – być może arystokratka, być może anonimowa kobieta z ludu – zginęła rzekomo w wypadku na łodzi, tonąc na oczach córki. Opal przekonuje, że została przez Whiteleyów z Oregonu adoptowana.

Sto lat po fakcie możemy oczywiście tylko gdybać, jak było naprawdę. Zestawiać historię młodej dziewczyny z argumentami jej krytyków. Zastanawiać się, skąd w języku sześciolatki z oregońskiego buszu tyle francuskich naleciałości. I encyklopedycznej, salonowej wiedzy. Zwracać uwagę na tajemnicze postacie Anioła-Taty i Anioła-Mamy, które w paru miejscach przemykają przez narrację. Albo przeciwnie, autorytarnie uznać, że pamiętnik jest doskonałą mistyfikacją, która wyszła spod pióra dwudziestoparoletniej, głodnej literackiego sukcesu Amerykanki. I tym samym zderzać się z dowodami kalibru, jakiego nie widziały najgłośniejsze denuncjacje w historii biografistyki. Jak ten, że kredki, którymi na ścinkach papieru pakowego kreślono koślawe litery, wyprodukowano jeszcze przed I wojną światową.

Współczesna lektura pamiętnika – od marca możliwa także po polsku, za sprawą przekładu Filipa Łobodzińskiego – pozwala wysnuć jeszcze jeden scenariusz. Być może tekst paroletniej Opal jest autentyczny, ona sama zaś cierpiała na zaburzenia schizoidalne. Jednak aż chce się wierzyć w wersję o adopcji, gdy czyta się pojawiające się w niemal każdym rozdziale wzmianki o karach cielesnych, które dziewczynce serwuje matka. Kiedy nie wędruje po okolicy, Opal właściwie ciągle leży pod łóżkiem. To również forma dręczenia.

Jazzowa dynamika

W opublikowanym dekadę temu artykule w tygodniku „The New Yorker" Michelle Dean zwraca uwagę na śledztwo, które przeprowadził Steve Williamson, zajmujący się zdrowiem psychicznym. Williamson analizował twórczość Whiteley, m.in. weryfikując detale, takie jak lokalizacja opisanych w książce budynków. Doszedł do wniosku, że dzieło jest autentyczne, a jego autorka znajdowała się w spektrum autyzmu.

Jakkolwiek by było, okazja jest wyśmienita – świat przyrody widziany oczami sześcioletniego, zadziwiająco oczytanego nadwrażliwca to dla XXI-wiecznego dorosłego relacja z obcej planety. Trzeba się tylko przedrzeć przez jej atmosferę: językową gimnastykę, neologizmy, całą masę błędów, które również w zręcznym przekładzie odtwarzają dziecięcy słowotok, lawinę zdrobnień, narrację na jednym wdechu. W słowniku Opal są odkrywanki, rozmawianki, spatki, odwracanki i przystawanki. To język – jak zauważa w przedmowie Łobodziński – „zarazem dziecinny i dojrzały, przejrzysty i dziwaczny".

Łobodziński przyznaje, że biorąc się – razem z córką Marią – za przekład musiał nie tyle przetłumaczyć język Opal, co raczej wymyślić go na nowo, tyle że po polsku. A potem zapętlić te same sformułowania i frazy, które „nadają prozie Opal specyficzny rytm, niemal jazzową dynamikę, gdzie swobodne ↦

GINA KELLY / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

↦ improwizacje rozdzielone są nawrotami tematów". To wyjątkowo celne spostrzeżenie – ciąg myślowy dziecka bywa swobodny jak popis muzyka w czasie *jam session*.

A dowody, że to wszystko nie jest konfabulacją? Tego po prostu nie mogła napisać osoba dorosła – przekonuje tłumacz. Nikt z doświadczeniem paru dekad na karku nie będzie tak zachwycony światem, tak nim zainteresowany, i to we wszystkich jego przejawach: koniem, ropuchą, jodłą, strumieniem i chmurą.

W zbiorze „Wardęga. Opowieści z pobocza drogi" krajoznawca Lechosław Herz wspomina postać gimnazjalnego profesora, oryginała o niezwykłym imieniu Innocenty, który prowadzał swoich podopiecznych – w tym autora, przyszłego nestora mazowieckiej turystyki – na wycieczki ku podmiejskiej przyrodzie. Zdarzało mu się zdecydowanym gestem zatrzymywać klasę w jakimś nieoczywistym miejscu. Kazał wszystkim zamykać oczy, a kiedy już to zrobili, po prostu je otworzyć. „Boże, spójrzcie, jak tu jest pięknie!" – wołał. „Wiele lat musiało upłynąć, nim zrozumiałem, jak bardzo niestosowne były nasze uczniowskie chichoty" – bije się w pierś Herz.

A więc czysty, duchowy zachwyt. Niepoparty żadnymi racjonalnymi argumentami dotyczącymi rachunku zysków i strat. Współczesna narracja o przyrodzie często sięga po pojęcie usług ekosystemowych. To nie jest nowa idea, już Platon rozumiał, że las to coś więcej niż widok, a wycinając drzewa, osuszamy studnie. Ale XX wiek potrzebował czegoś więcej. Na końcu długiego wywodu o korzyściach płynących z natury znalazła się praca Gretchen Daily, ekolożki z Uniwersytetu Stanforda, która włożyła tę myśl w ekonomiczne ramy. Pozaludzki świat stał się w niej usługodawcą człowieka, źródłem pożytków.

Ale kiedy dziś sięgamy po pojęcie usług ekosystemowych, to głównie po to, by przekonywać, że przyrodę warto oszczędzać. Że to się będzie opłacać. Wydaje się, że dorosły nie ucieknie od takiego myślenia. Coś o tym wiem. Pisząc, dajmy na to, o bobrach, przekonuję, że warto się z nimi zaprzyjaźnić, bo skutecznie retencjonują wodę. Albo dlatego, że powstałe za sprawą zapór rozlewiska są tyglem biologicznej różnorodności, w myśl zasady, że ziemskie życie nie obejdzie się bez wody.

Czasem tylko, gdy gdzieś z dala od zabudowań i innych dorosłych nie zapanuję nad myślami, przychodzą mi do głowy zupełnie inne kategorie. Dotyczą piękna bobrzych mikrokosmosów, egzoplanetarnych krajobrazów, których podwaliny tworzą największe europejskie gryzonie. No bo czy bóbr jest równy bobrowi? A może są wśród nich zarówno surowi pragmatycy, spod łap których wychodzą konstrukcje solidne, acz nudne, jak też artyści, na których polegać się nie da, ale jak już coś impulsywnie zmajstrują, to klękajcie narody?

DARA MCANULTY:

Piaskowce mają biało-czarne upierzenie i grafitowy grzbiet, głowę w białe i czarne paski. Przylatują do Irlandii na zimę z podbiegunowej Arktyki, lecąc bez przerwy przez ponad trzy tysiące mil.

Szorstki hornfels

Nie porozmawiam o tym z Opal Whiteley. Ale chciałbym kiedyś zadać to pytanie komuś innemu. Dara McAnulty jest trochę starszy od francuskiej księżniczki z Oregonu z czasów jej pamiętnika. Jeśli spojrzeć na metrykę, lada moment będzie można mu zarzucić dorosłość. „Dziki rok. Zapiski młodego przyrodnika" powstały, gdy Dara miał czternaście lat. Geneza książki jest podobna, jak w przypadku Opal. Nastolatek pisze z potrzeby serca, bo w światach przyrody i języka znajduje refugia. Zaczyna prowadzić blog, który z czasem zauważa potencjalny wydawca.

Ale zestawiam ze sobą te postacie nie tylko z uwagi na ich wiek. Współczesny świat ma dla ludzi takich jak Opal i Dara starannie opisane szufladki. To, czego w przypadku oregońskiej dziewczynki możemy się tylko domyślać, młody Północny Irlandczyk ma wpisane w diagnozę. Spektrum autyzmu dotyka zresztą cztery piąte rodziny McAnultych. A jednak długowłosy, zasłuchany w punk rocku, noszący czarne koszulki Ramonesów chłopak kłóci się z naszym wyobrażeniem kogoś, kto w przyrodzie spędza większość swojego czasu. Być może dlatego, że Dara wciąż chodzi do szkoły.

I tak jak na kartach swojej książki Opal zmagała się z karami cielesnymi wymierzanymi przez matkę, tak i on daje nam świadectwo okrucieństw tego świata. „Minęły dwa tygodnie bez nękania. Dwa tygodnie. To najdłuższy okres w życiu, jakiego doświadczyłem bez obelg, drwin i ciosów pięści. Czuję się dziwnie, aż strasznie. Przygotowałem się na najgorsze, ponieważ właśnie tego się spodziewałem" – pisze po przenosinach do nowej szkoły. Opresyjni są rówieśnicy, ale i sam system, kompletnie nieprzygotowany do sprostania wymogom odbiegającym od standardowych.

„Czwarty arkusz ocen w tym roku oderwał moje stopy od ziemi i trawy i wpędził mnie w cykl egzaminów, gdzie swoboda nie istnieje. Szkolne klasy są klaustrofobiczne. W dusznym powietrzu bombardują mnie skrzypnięcia, westchnienia, ruchy, szelesty głośne jak grzmoty. Sale są jasne, tak jasne, że czerwienie i żółcie kłują mnie w siatkówkę oczu. Jarzeniówki przyćmiewają naturalne światło. Nie mogę wyjrzeć na zewnątrz. Jestem zamknięty, uwięziony jak dzikie zwierzę w klatce. Chociaż naprawdę lubię lekcje hiszpańskiego, sala jest ohydna i całkowicie uniemożliwia koncentrację".

Skupienie przychodzi za to w przydomowym ogródku, gdzie można się pochylić nad konikiem polnym i zadumać, jakie to wspaniałe mieć uszy na brzuchu, wciśnięte pod skrzydłami. Gdzie od razu da się dostrzec, że piosenki ptaków stały się z tygodnia na tydzień mniej intensywne i bojowe. Gdzie ulgę przynosi chłód i szorstkość sylurskiego hornfelsu, na którym można przysiąść.

O ile pamiętnik Opal jest czymś na kształt owianego tajemnicą skarbu, na który składają się niemal wyłącznie opisy przyrody, o tyle książka Dary daje o wiele więcej: pozwala wejrzeć w głąb umysłu funkcjonującego na zupełnie innych zasadach i obrotach. Młody Irlandczyk jest partnerem do rozmowy, a stopień jego refleksji onieśmiela dorosłego. W końcowych akapitach dziękuje redaktorom, że nie próbowali udoroślić jego głosu. Tymczasem sam w sobie jest o wiele bardziej dojrzały, niż sugerowałby to nastoletni wiek. „Państwa syn nigdy nie będzie potrafił jasno sformułować myśli, nie mówiąc już o napisaniu spójnego akapitu", usłyszeli kiedyś państwo McAnulty od jednego z nauczycieli. „A tu proszę. Głos we mnie kipi jak w wulkanie, a kiedy piszę, mogę dać ujście wszelkim frustracjom i pasji", złośliwie komentuje Dara. Ma powody do satysfakcji, potwierdzone prestiżową Wainwright Prize for Nature Writing i paroma innymi nagrodami.

„Kiedy my (»my«, czyli autystycy) zaczynamy się czymś interesować, większość ludzi nazwałaby to obsesją. Tak naprawdę jednak to nie jest obsesja. Nie jest to niebezpieczne, wręcz przeciwnie. Jest wyzwalające i kluczowe dla pracy mojego mózgu. Uspokaja i wycisza: zbieranie informacji, odnajdywanie wzorów, układanie i porządkowanie to moje ćwiczenie mięśni". Zapamiętajmy to sobie: nie obsesja, tylko pasja.

OPAL WHITELEY:

Przyszły już dni brązowych listków. Spadają z drzew, trzepoczą na ziemi. Kiedy brązowe listki trzepoczą, to wtedy opowiadają różne historie. I szepczą o kapturkach, które wtedy nosiły.

Narodziny aktywisty

Urzekająca, choć podskórnie bolesna historia Opal Whiteley ma ponure zakończenie. Łobodziński nazywa je kilkudziesięcioma latami smutku i jest to bardzo celne podsumowanie. Zarzuty o apokryficzny charakter jej książki i ogólna wrogość, z jakimi spotkała się po publikacji „Pamiętnika rozumiejącego serca", tylko spotęgowały jej wycofanie ze świata. Przez jakiś czas szukała spełnienia w poezji, podróżowała do Francji, Anglii, Indii. W 1928 r. osiadła na stałe na Wyspach. Żyła w samotności, zatracając się w książkach. Do tego stopnia, że dwadzieścia lat później w stanie bliskim śmierci głodowej zamknięto ją w szpitalu psychiatrycznym. Spędziła w nim – jako Françoise d'Orléans, ze zdiagnozowaną schizofrenią – resztę swojego życia. Długiego – zmarła dopiero w 1992 r., w wieku 94 lat, od dawna pogrążona w mentalnym niebycie, nieświadoma popularności, jaką z czasem zyskał jej pamiętnik.

Społeczne tło opowieści Dary jest oczywiście zupełnie inne. Wspierający rodzice i świat, w którym zawczasu odkryty geniusz może mimo wszystko liczyć na pewną empatię i zrozumienie, pozwoliły mu rozwinąć skrzydła.

Druga połowa jego książki, osadzona w jesieni i zimie, to relacja ze stawania się aktywistą klimatycznym. Nastolatek organizuje w szkole ekogrupę, przyrodnicze kółko zainteresowań, w prace którego angażuje kilkanaście osób. Jest coraz aktywniejszy w mediach społecznościowych, chodzi na protesty. Jedzie do Dublina na marsz Extinction Rebellion, a potem do Londynu, żeby na 10 Downing Street apelować do sumienia przedstawicieli władzy. Nie da się w jego kontekście nie pomyśleć o Grecie Thunberg, rok starszej od Dary Szwedce, pomysłodawczyni szkolnych strajków na rzecz klimatu, która w parę lat stała się głosem pokolenia.

Nie zapytam Dary McAnulty'ego o to, czy widzi wśród bobrów artystów, a w ich rozlewiskach małe dzieła sztuki. Nie tylko dlatego, że to zwierzę wciąż jest w Wielkiej Brytanii rzadkością, więc być może chłopak nie miał okazji się nad tym zadumać. Chodzi o to, że troskliwi rodzice skutecznie separują go od niepotrzebnych bodźców. I słusznie. Mogę się tylko domyślać, że co rusz ktoś pragnie wejść do jego głowy czy zadać niecierpiące zwłoki pytanie. Zresztą na kartach książki Dara przyznaje, że dostaje masę maili z prośbami o wsparcie jakiejś kampanii medialnej czy promowanie idei. Ogarnianie zobowiązań medialnych syna stało się dla jego matki pracą na cały etat. Zwłaszcza gdy chłopak został felietonistą „The Irish Times" i wydał kolejną książkę. Pozostaje śledzić jego dokonania i garściami czerpać z tego, co już nam zostawia.

Dlatego odpowiedź na moje niezadane pytanie wyczytuję sobie między wierszami „Dzikiego roku": „Piaskowce [wędrowne ptaki z rodziny bekasowatych – red.] mają biało-czarne upierzenie i grafitowy grzbiet, głowę w białe i czarne paski. Przylatują do Irlandii na zimę z podbiegunowej Arktyki, lecąc bez przerwy przez ponad trzy tysiące mil. Ich ruchy są absolutnie hipnotyzujące, szczególnie kiedy skupiam się na jednym ptaku i obserwuję, jak porusza się niezmordowanie z niezwykłą szybkością między falami a brzegiem, dziobiąc w tym czasie piasek, i powtarzają to wszystko, kiedy fala się cofa, i znów, i znów, i znów. Co za nieustępliwość. Nie jestem pewny, jak bardzo produktywne są te działania, ponieważ piaskowce nie przestają nawet na sekundę i muszą zużywać wiele energii z każdym kursem od fali na brzeg. W myślach porównuję je do brodzących ostrygojadów, które stale robią sobie krótkie przerwy, jakby chciały rzucić okiem na krajobraz albo szybko porozmyślać o życiu. Tak, wiem, że to głupie. Każdy gatunek przystosował się do swojego środowiska, ale uważam, że te wszystkie różnice są niezwykłe, a obserwowanie ich – fascynujące".

© ADAM ROBIŃSKI

Opal Whiteley **HISTORIA OPAL. PAMIĘTNIK ROZUMIEJĄCEGO SERCA**, *przeł. Filip Łobodziński, Wydawnictwo Kosmos Kosmos 2022*

Dara McAnulty **DZIKI ROK. ZAPISKI MŁODEGO PRZYRODNIKA**, *przeł. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Wydawnictwo Poznańskie 2021*

STANISŁAW

Mancewicz:
Stereotyp i typ

Zwykło się uważać – rzecz jasna słusznie – że stereotyp jest krzywdzącym, bardzo uproszczonym przeświadczeniem, wynikającym zresztą ze skłonności do myślenia (a może niemyślenia) spontanicznego. W Wikipedii znajdujemy przyjazną każdemu rozumowi definicję stereotypu. Każdy w niej znajdzie i coś dla siebie, i oczywiście – o sobie. Słowem, warto na definicję tę rzucić okiem, choćby po to, by nieco oczyścić umysł ze stereotypowego widzenia siebie. Ponieważ nie jest to tekst o rewolucyjnej terapii psychologicznej, polegającej na czytaniu haseł w internetowej encyklopedii, przejdźmy do rzeczy.

Chodzi nam o obecne w tutejszej pamięci społecznej stereotypowe przeświadczenia na temat behawioru armii rosyjskiej, zwanej ongiś Czerwoną czy radziecką. Określanie tego wojska jako barbarzyńskiego wydawało się już od dawna nieaktualne. Że to stare dzieje. Przez ostatnie dziesięciolecia skupiano się raczej na zdolności armii rosyjskiej do modernizacji, czyli – jak to się powiada – na jej raźnym wchodzeniu w XXI wiek. Ot, można było przeczytać w różnych – też w polskich – mediach zajmujących się wojskowością bardzo fachowe analizy. Że jest to teraz wojsko dlatego niebezpieczne, że arcyprofesjonalne i nowocześnie wyposażone, z szokującą ewentualnych przeciwników sprawnością, mobilnością i pozaziemskimi możliwościami rakietowymi. W nawale specjalistycznych terminów wątków na temat morale było stosunkowo niewiele, a na temat np. zachowywania się rosyjskich żołnierzy na zajmowanych terenach nie wiadomo było zgoła nic, no bo skąd. Działo się tak chyba z powodu oddalenia i egzotyki konfliktów, w których armia rosyjska brała ostatnio udział, na pewno z powodu barier komunikacyjnych i w sumie z bardzo słabego zainteresowania owymi działaniami opinii publicznej Zachodu. W telewizji oglądaliśmy, jak to gdzieś na Kaukazie, może na Krymie (nikt tego na Zachodzie nie rozróżnia) jedzie czołg, idą żołnierze, jak się dymi dom i lata śmigłowiec. Tyle. W dużym skrócie, ale przecież niewiele więcej.

Polski, niewygasły stereotyp zachowania żołnierza rosyjskiego w okupowanym miasteczku czy na wsi, oparty na doświadczeniu sprzed ośmiu dekad, wydawał się zbyt starożytny i nieaktualny. Tymczasem nie jest inaczej, ku zdumieniu absolutnie wszystkich, czyli i znawców, i amatorów, i wielbicieli, i wrogów, supernowoczesna rzekomo armia rosyjska na ukraińskich terenach okupowanych zachowuje się jak z owego stereotypowego obrazu. I nie jest to tylko fantazja czy fobia, ale zeznania mnóstwa świadków i tysiące filmów. Głodni i obdarci wojacy, rozstrzeliwania cywilów, gwałty, łapanki i wywożenie ludzi w głąb Rosji, ale też rabowanie kur, jajek, zabieranie – tak! – zegarków, telewizorów, futer, kołder, biżuterii, zwitków banknotów. Nawet pojawił się gdzieś napis „Na Berlin". No i picie. Czegokolwiek. Ciągle brakuje w tym wszystkim dźwięku harmoszki i tańców, ale pewnie i to zobaczymy. Rzec trzeba, że ta replikacja, powielenie wizerunku i zachowania się armii znanego z odległej historii, jest co najmniej frapujące, zapewne do szerszego zbadania i być może do opisania przy okazji – oby – sądzenia sprawców.

Tak czy owak, dzięki możliwości rejestrowania obrazu i dźwięku przez niemal każdego człowieka, wojna w Ukrainie, po zaledwie ponad miesiącu trwania, powiedziała światu o armii rosyjskiej więcej, niż ów świat o niej wiedział – śmiemy to stwierdzić – odkąd ta armia w ogóle istnieje, czyli, załóżmy, od czasów Tuchaczewskiego.

Dużo tu było o stereotypach. Zasadne jest teraz pytanie: gdzie jest tytułowy typ? Odpowiedź jest krótka jak strzał z kałacha. Bum: Macierewicz wrócił. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Suwerenni dzięki Wam!

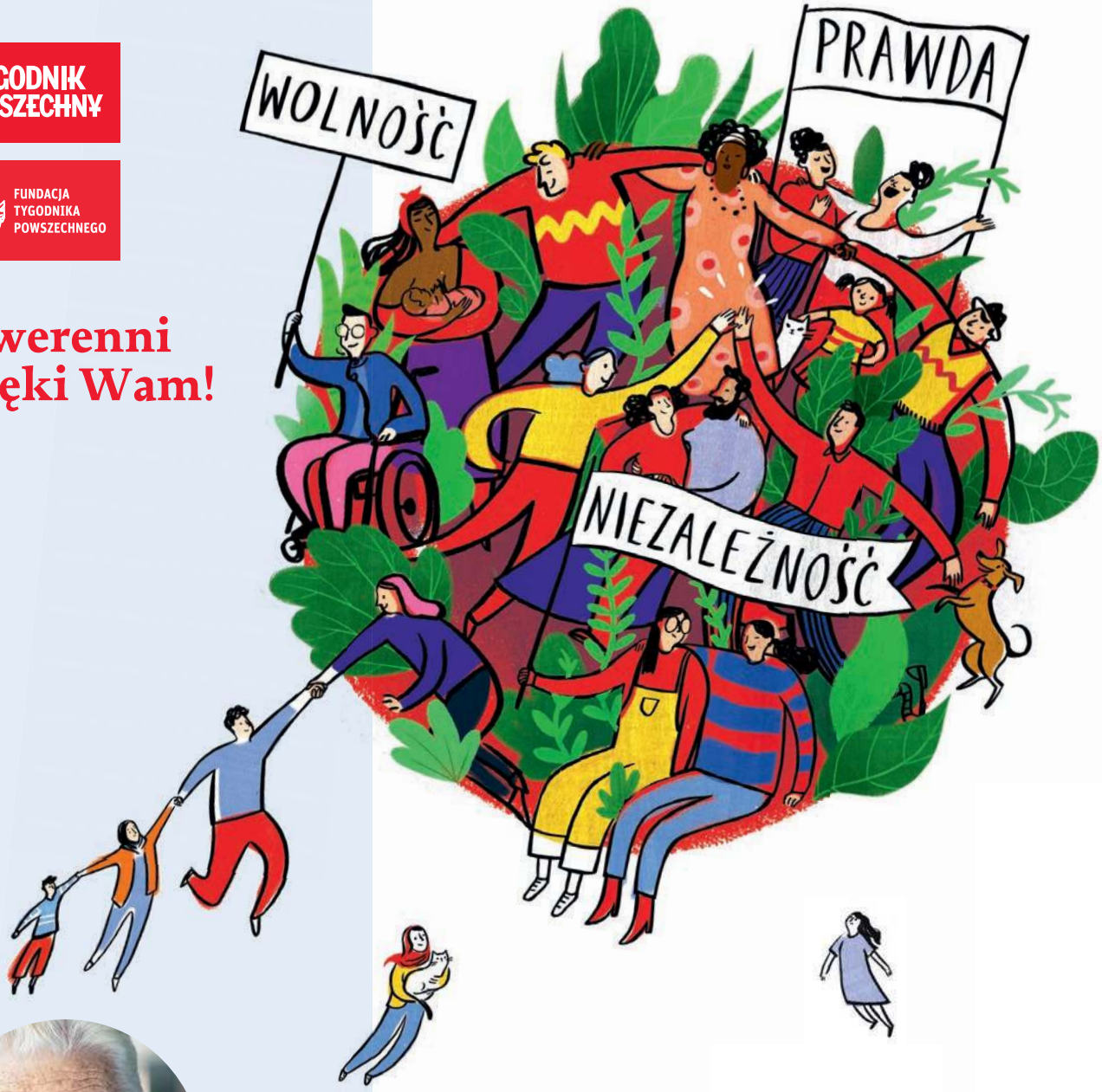

Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

Ks. Adam Boniecki

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji:
powszech.net/dar

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY

zasiej nadzieję!

Już w wydaniu na majówkę – **prezent** dla naszych Czytelniczek i Czytelników – saszetka z nasionami najpiękniejszych kwiatów łąkowych: lnu, ogórecznika, żmijowca greckiego, facelii błękitnej, nagietka czy krokosza barwierskiego.

Łąka Powszechna dostępna już od **27 kwietnia**, wyłącznie z podwójnym wydaniem wiosennym „Tygodnika Powszechnego".

Białystok pani łąka RMF CLASSIC KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // RYS. ANNA PRUSIEIWICZ / DOLASU